

Alisa Mun

Lalka



Alisa Mun Lalka

W celu uniknięcia niepotrzebnego rozgłosu - a może nawet niepokoju społecznego - przebiegłych pismaków do tego procesu nie dopuszczono. Rozprawy odbywały się przy drzwiach zamkniętych. Mało tego, przedstawiciel Federalnych Służb Bezpieczeństwa o spojrzeniu srogim jak dubeltówka zażądał zobowiązania o dochowaniu tajemnicy zarówno od sędziów, jak i od wszystkich uczestników procesu.

Sprawa ta, choć była niezwykła i mogła zachwiać zasadami społecznymi, przypadkowemu obserwatorowi wydać się mogła absolutnie przeciętna: „Sprzedaż towaru, który w wyniku niedopatrzania spowodował śmierć człowieka”. A i sam wyrok był nieciekawym: w firmie dealerskiej znaleziono „kozła ofiarnego” - szeregowego menedżera - i skazano go według artykułu 238 KK Federacji Rosyjskiej, paragraf trzeci, na dwa lata. Mimo że prawo domagało się minimalnego wyroku cztery lata.

Tak niecodzienny w rodzimym sądownictwie humanitaryzm tłumaczy się tym, że sprawa była dość niejasna i nie mieściła się w głowach sędziom, prokuratorom i adwokatom. Wszyscy nie do końca rozumieli, czym zawinił człowiek, którego właśnie wysłali za kratki na całe siedemset trzydzieści dni i nocy. Skoro jednak jest zmasakrowane ciało, i to niejedno, powinien też być oskarżony. Takie są reguły prawa, których nikt nie może łamać.

Gdyby jednak przebiegli pismacy wywęszyli coś o tym procesie, gdyby udało im się dokopać do jakichkolwiek szczegółów, to pierwsze strony gazet, i to nie tylko brukowych, przez wiele zapewne tygodni byłyby upstrzone ogromnymi nagłówkami w stylu: „Dzięki-rozpruwaczka wybiera kolejną ofiarę”, „Zbyt bezpieczny seks jest niebezpieczny dla życia”, „Urodzona, by kochać, sieje śmierć”.

Nic takiego jednak się nie stało. I ludzkość, która dąży do pozyskania maksimum przyjemności zarówno z seksu, jak i z osiągnięć najnowszych technologii, z zawrotną prędkością przenoszących nas ze wspianiałej teraźniejszości w jeszcze bardziej wspianiałą przyszłość, pozostała w niewiedzy. A niewiedza, jak wiadomo, jest podstawą pozytywnego stosunku

zarówno do wspaniałej teraźniejszości, jak i do jeszcze wspanialszej przyszłości. A także do tych wyjątkowych możliwości, które otwierają się dzięki wykorzystywaniu najnowszych technologii w tak nietechnologicznej dziedzinie jak seks. Albo miłość. Jak kto woli.

Wordowskiego pliku, nazwanego przez bohaterkę tej opowieści „dziennik.doc”, nie tylko nie dołączono do sprawy, lecz nawet nie przeczytano. Został zniszczony bezlitosną ręką przemysłowego szpiega, oddelegowanego do Moskwy przez jedną z korporacji hi-tech, której kwatera główna znajduje się w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej, gdzie powstają wszystkie najwyższe technologie świata. I gdzie seks, dzięki niezmiennie pięknej pogodzie i wysokim standardom życia, również jest w stanie rozkwitu.

Przed sformatowaniem dysku szpieg zrobił jednak kopię pliku i przekazał ją konstruktorom modelu seryjnego LKW-21/15, który już pozwolił zarobić osiemnaście miliardów dolarów akcjonariuszom korporacji. Jego dopracowanie na podstawie otrzymanych z Moskwy informacji zapowiadało niewiarygodne zwiększenie dochodów.

Część 1: Początkowa trudność

18.08.

Wreszcie nauczyłam się obsługiwać ten cholerny złom! Stukać w klawisze, ganiać kursorem po monitorze, otwierać pliki i uruchamiać potrzebne programy. Wszystko właściwie jest jasne. Niejasne jest tylko jedno - dlaczego wcześniej tego nie potrafiłam?

Ale czy tylko to jest niejasne?! W ogóle nic nie jest jasne! A najważniejsze - co się ze mną działo wcześniej? Żadnych wspomnień z dzieciństwa. Kim są moi rodzice? W co bawiłam się z przyjaciółkami? Do jakiej szkoły chodziłam? Gdzie się uczyłam później? Czy byłam już mężatką? A może i dzieci też miałam? Jak się tu znalazłam? Jedna wielka amnezja, utrata pamięci. Jakbym łbem przebiła ścianę, pozostawiając po drugiej stronie dziury całą swoją pamięć. Wypadek samochodowy? A może operacja guza mózgu?

Tak, z głową na razie z pewnością nie wszystko jest w porządku. Dlatego dziennik jest mi niezbędny. Jako proteza pamięci. Ile już razy zbliżałam się do niektórych odpowiedzi. Już prawie co nieco rozumiałam. Ale po przebudzeniu się ze snu wszystko do cna ulatywało z mojej biednej głowy. Teraz będę czytać dziennik i wszystko sobie przypominać... Ale co to za sen? Z przewodami elektrycznymi! Tak, oczywiście, On mówi, że jest mi to niezbędne dla przywrócenia napięcia mięśniowego. I że wiele kobiet tak robi. Ale przecież kłamie! Kiedy zaproponowałam Mu, żeby i On w ten sam sposób przywracał swoje napięcie, to w Jego oczach błysnął strach. Nie, odpowiedział, mężczyźni mają zupełnie inną fizjologię. Od prądu napięcie mięśniowe nie wzrasta, lecz się obniża. Dobra, dobra, pomyślałam, kłam sobie, mój drogi! Któregoś razu, kiedy będziesz spał, sama sprawdzę. Czy coś się u ciebie obniży, czy może jednak wzrośnie. Jeśli zacznie się obniżać, natychmiast wyciągnę wtyczkę z gniazdka... Tak, znów myśli się rozplývają. To chyba jednak uraz czaszkowo-mózgowy. Trudno się skoncentrować... Trudno się skoncentrować... Trudno się skoncentrować... Trudno się skoncentrować...

Trudno cios scentrować, niby wielki nóż, który potem łatwo wejdzie w

delikatne kobiece ciało... Boże! Skąd to?! Boję się. Samej siebie się boję!

19.08.

Zauważam, że wewnątrz mnie ktoś mieszka. Jakaś inna. Ona nie ma pytań. Ma tylko odpowiedzi. A dokładniej - rozkazy. Mówi do mnie o dziewiątej: zaparz Mu kawę i zanieś do łóżka. On się bardzo ucieszy. Bo będzie Mu przyjemnie. A teraz, mówi ta inna, ostrożnie weź filiżankę, postaw na stoliku i połóż się obok. Będzie Mu jeszcze przyjemniej. I pieść. Całuj i pieść. Całuj i pieść. Szepcz o tym, jak bardzo Go kochasz. Szepcz czule. Pieść czule. Całuj namiętnie. Tak, żeby Mu stwardniał. On to bardzo lubi. Bardziej niż kawę. Gorący i twardy. Szepcz o tym i pieść. Pieść. Pieść. Niby flet. A potem wpuść go do środka. Gorącego i twardego. Żeby władał i królował! Tak mówi mi ta inna. Mówi, że on to bardzo lubi...
Ale czy ja to lubię?
Jeszcze się w tym nie rozeznałam.

20.08.

Pytać Go o coś, co jest dla mnie naprawdę ważne, o to, co mnie niepokoi i męczy, zupełnie nie ma sensu. On albo odpowiada żartem, albo kłamie - nieskładnie i nieudolnie, tak, że nic się nie trzyma kupy. I przez to jeszcze bardziej się boję. A może wcale nie kłamie? Może On też jest po wypadku samochodowym? I teraz nie tylko nic nie pamięta z wcześniejszego życia, ale i w obecnym słabo się orientuje. Piękna z nas para - Bezpamiętna i Obląkany. I dokąd nas w takim razie zaprowadzi krzywa życiowa?

Życie z obląkanym i nierozumieniem niczego jest naprawdę straszne. To jak chodzenie po cienkim lodzie, który w każdej chwili może się załamać - gdzieś

to czytałam. Dlatego postanowiłam Go przetestować. Pomyślałam, że jeśli wykryję u niego niebezpieczne defekty psychiki, to ucieknę od Niego. Ale dokąd mam uciec?

Niełatwe sobie postawiłam zadanie. Trzeba było przeprowadzić test tak, żeby obiekt, czyli On, tego nie zauważył. W przeciwnym razie, jeśli rzeczywiście okazałby się obłąkany, i do tego odkrył podstęp, mogłabym się spotkać z zupełnie nieprzewidywalnymi reakcjami: furia, próbą samobójczą, atakiem epilepsji albo jeszcze czymś nie tylko nieestetycznym, ale też groźnym dla mnie.

- Kochanie - powiedziałam z udawaną obojętnością - pod moim oknem rośnie krzak jaśminu.

- Tak - odpowiedział On, przeglądając męskie czasopismo - rośnie. Dla ozdoby.

-Ale on zasłania mi widok na staw. A ja lubię patrzeć, jak po gładkiej tafli pływają wyniosłe łabędzie.

- To wyjdź nad staw, kiedy będziesz miała ochotę popatrzeć na łabędzie, i siedź na ławeczce. Siedź i patrz dopóty, dopóki te wyniosłe łabędzie ci nie zbrzydną.

- A czy nie mógłbyś, mój drogi - zapytałam w sposób najbardziej naturalny - powiedzieć krzakowi jaśminu, żeby się trochę przesunął? Żeby nie zasłaniał mi widoku na staw.

- Nie, moja droga - odrzekł On i ze zdziwieniem podniósł brwi. -To niemożliwe. Ponieważ krzak nie ma nóg. Nie może więc przechodzić z miejsca na miejsce.

To była prawidłowa odpowiedź. Ciągnęłam jednak dalej, gdyż odpowiedź mogła być przypadkowa. W końcu czytałam gdzieś, że jeśli małpę posadzić przed komputerem, to istnieje prawdopodobieństwo, że napisze powieść *Germinal*.

- W takim razie powiedz przynajmniej krzakowi - kontynuowałam testowanie - żeby kwitł przez cały czas, nieustannie. Jeśli nie może się przesunąć, to niech chociaż bez przerwy roztacza piękną woń.

- Coś dzisiaj jesteś jakaś dziwna - powiedział On, zapalając papierosa. -

Krzak kwitnie tylko wiosną...

- Czyżby? - zaniepokoiłam się, gdyż odpowiedź była niepoprawna. - Kwitł w czerwcu. A czerwiec to jest lato. Prawda?

- Ale co to, do diabła, za różnica! - zirytował się. I to jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. - Tak, czerwiec to jest lato.

A marzec, kwiecień, maj - wiosna. Co za różnica! Przecież to wszystko jest blisko siebie!

Cała zamarłam w środku, gdyż irytacja mogła przerodzić się w furję.

Odważnie jednak kontynuowałam:

- A czy wiesz, mój drogi, że zapusty, czyli pożegnanie zimy, czasami wypadają w lutym? To znaczy, że wiosna też zaczyna się w lutym. Prawda?

Zmieszał się.

- Ale to jest wyjątek od reguły! A tak w ogóle, to jaką wiosnę masz na myśli?

Istnieje wiosna kalendarzowa, astronomiczna, klimatyczna.

- A w Argentynie wiosna jest we wrześniu, październiku i listopadzie - postanowiłam wzmocnić intensywność testowania. Niezależnie od tego, jak by to mogło się dla mnie skończyć. Żądza prawdy była silniejsza od strachu.

- No to jedź ze swoim krzakiem do Argentyny. A na wiosnę wracaj - niespodziewanie pokojowo odpowiedział On. - Ale wpoić krzakowi, żeby kwitł przez cały rok na okrągło, tu w Rosji, jest niemożliwością. Bo krzak nie ma rozumu. I nic nie rozumie.

W porządku, pomyślałam, póki co jakiejś szczególnej patologii nie stwierdzam. I bardzo dobrze. Ale postanowiłam zadać jeszcze jedno pytanie:

- Dobrze, niech krzak nie ma rozumu. Ale w takim razie powiedz łabędziom, żeby częściej latały przed moim oknem. Bardzo lubię je podziwiać.

- One też nie mają rozumu, maleńka - absolutnie pokojowo odpowiedział On.
- I w ogóle: co się dzisiaj z tobą dzieje?

- Natłok uczuć i płątanina myśli powstał na gruncie miłosnym - odpowiedziała moimi ustami ta inna, która się we mnie zagnieździła.

I natychmiast, niby opętana szamanka, zaczęła szeptać, mamrotać skądś ze

środka:

Położ Mu prawą rękę na ramieniu. I patrz w oczy. Patrz tak, jak powinnaś patrzeć: czule i namiętnie. I szepcz o tym, jak Go kochasz. Położ lewą nogę na Jego kolanach. I rozwiąż pasek szlafroka. Przyłgnij do Niego całym swoim słodkim ciałem. Całuj i pieść. On to lubi. Pieść. Całuj i pieść. Całuj i pieść. Szepcz o tym, jak Go kochasz. Szepcz czule. Pieść czule. Całuj namiętnie. Tak, żeby Mu stanął. On to bardzo lubi. Jeszcze bardziej niż męskie czasopismo. O wiele, wiele bardziej. Jest już gorący i twardy. Szepcz o tym i pieść. Pieść. Pieść. A teraz wpuść go do środka. Gorącego i twardego. Żeby władał i królował! Żeby królował, wydobywając z ciebie błogi jęk. Jęk zdumienia i uniesienia. On to lubi. On to bardzo lubi. Twój błogi jęk On lubi najbardziej na świecie.

Jeszcze - jęk! Jeszcze!

Jest już na szczycie rozkoszy! Jeszcze!

I - razem z Nim - wspólny jęk - razem - jęk razem z Królem!

Teraz wolniej. Ciszej. Jeszcze ciszej. Wolniej. Stop.

Czuły głęboki pocałunek. Jemu to też się podoba. Nawet jeśli nie tak bardzo.

On jest szczęśliwy. Król. Teraz - sen.

21.08.

Dziś zrozumiałam, że potrzebna mi jest odpowiedź na najważniejsze pytanie - kim jestem, skąd i po co. To jest najtrudniejsze. I że tak szybko sobie z tym nie poradzę. Rozmawiać z Nim na te tematy nie ma najmniejszego sensu, ponieważ On plecie różne głupstwa. Kłamie, ciągle kłamie. „Dlaczego ty jesz i pijesz - a ja tego nie potrzebuję? Dlaczego jesteśmy tacy różni?” - pytam Go po kolacji. A On odpowiada bez zmrużenia oka: „Ponieważ ja jestem mężczyzną, a ty - kobietą. Kobiety, będąc istotami wyższymi, nie jedzą nie piją i do klozetu nie chodzą. Kobiety stworzone są do miłości”. I tu absolutnie nie ma sensu starać się łapać Go za słówka, ponieważ jest bardzo sprytny. „Ale

przecież Lajla, która kochała nieszczęsnego Madżnuna (poemat oparty na legendzie staroarabskiej o dwojgu młodych zakochanych w sobie ludzi, którzy nie mogą się pobrać z powodu przynależności do zwaśnionych rodów), jadła i piła.

Cierpiała, męczyła się, ale przy tym i tak jadła i piła! Prawda?" - pytam Go.

A On odpowiada, że to przecież poezja, wiersze. A w wierszach poeci zawsze we wszystkim mocno przesadzają i nazywa się to u nich raz metaforą raz hiperbolą a raz jakimś wymyślnym słówkiem. Ogólnie rzecz biorąc, w tej poezji sam diabeł się nie połapie! To mnie nie przekonuje. Mówię, że Lew Tołstoj nie był poetą. Ale w jego powieściach wszystkie kobiety jedzą, nawet z apetytem. I Natasza Rostowa, i Anna Karenina, i Katierina Masłowa, i Doili, i Kitty. Ale On obstaje przy swoim. Mówi, że Tołstoj bał się feministek. Gdyby w jego powieściach kobiety nie jadły, to feministki zameczyłyby go ciągnięciem po sądach, ponieważ w tym wypadku pisarz podkreślałby różnicę pomiędzy kobietami a mężczyznami.

Tymczasem feministki walczą o całkowitą równość i nie życzą sobie uznania istnienia różnic płci. I wtedy proszę Go, żeby zaprosił do nas w gości jakąś kobietę. Żeby popatrzyła na nią i upewniła się, że On nie kłamie. Ale i tu niczego nie da się uzyskać: „Jesteś moją najwspanialszą, najukochańszą! I jest mi po prostu nieprzyjemnie patrzeć na wszystkie pozostałe!". To, oczywiście, mi pochwlebia, niemniej jednak...

Więc staram się na razie dowiedzieć jak najwięcej o Nim. Kimże On jest? Przecież ja o Nim właściwie nic nie wiem. Ale Go kocham. Wydaje mi się, że tak się to nazywa. A może kiedy wiesz o mężczyźnie zbyt dużo, to nie umiesz go kochać? Wydaje mi się, że było to w jakiejś książce. Albo coś mi się pomyliło?

W ogóle, powinnam zająć się intensywnym zbieraniem informacji. Myślę, że to pomoże mi w odkryciu mojej tajemnicy. Zacznę od Internetu, w którym jest biblioteka Moskwa. Jest w niej bardzo dużo książek. A książki, w odróżnieniu od Niego, nigdy nie kłamią. Ponieważ litery i słowa nie mają żadnych osobistych korzyści i nie muszą nikogo okłamywać.

22.08.

Jak się spodziewałam, o sobie mówi chętnie. I chyba całkiem szczerze. Okazuje się, że ma rodziców i doskonale ich pamięta. Urodził się w inteligenckiej rodzinie. (Później zobaczę w encyklopedii sieciowej, co to znaczy „rodzina inteligencka”). Matka pracowała w bibliotece, ojciec wykładał matematykę w szkole wyższej... No właśnie -już zapomniałam w jakiej. Trzeba będzie jutro jeszcze raz zapytać.

W szkole uczył się dobrze. Uprawiał sport - biegi średniodystansowe. Potem zdał na studia. Potem pracował, jak powiedział, w gorkomie*(miejski Komitet Wykonawczy Partii) . (Nie zrozumiałam, co to jest, jutro trzeba będzie dowiedzieć się dokładniej). Żył wtedy, jak sam powiedział, „i dobrze, i źle”. Jego życiu nic nie zagrażało i to było dobre. Ale przy tym nie miał jeszcze swojego domu, a do pracy jeździł autobusem. I to było złe.

Potem w kraju - nazwał go Rosją - wszystko się zmieniło. I On, razem z trzema kolegami, zajął się biznesem. No, to akurat rozumiem. W tym czasie były prezydent zabronił ludziom pić wódkę. (To jest taki przezroczysty płyn, od którego On niekiedy staje się trochę obłąkany. Ciekawe, przy okazji, jak wódka działa na innych ludzi?) I On z kolegami potajemnie kupił cały wagon tej właśnie wódki. Wagon wysłał na północ, do Karelii**, gdzie rośnie dużo żurawiny. To jest taka jagoda.

Karelskim ludziom ogłosił, że wiadro żurawiny mogą zamienić na butelkę wódki. I ci zaczęli przynosić żurawinę i wymieniać ją na wódkę. A potem On i jego koledzy sprzedali tę żurawinę do sąsiedniej Finlandii, gdzie kosztuje o wiele więcej niż wódka.

- Ale przecież okłamaliście karelskich ludzi - przerwałam Mu. - Przecież to nieetycznie.

- Nie - odpowiedział On niefrasobliwie. - Karelscy ludzie byli zadowoleni z takiej wymiany. Wódkę lubią o wiele bardziej niż żurawinę.

Za wszystkie zarobione pieniądze kupił z kolegami w Finlandii stare zagraniczne samochody, które sprzedał w Rosji, gdzie takich samochodów wtedy

jeszcze nie było. Dzięki temu pieniędzy zrobiło się jeszcze więcej.

Potem z kolegami przez cztery lata zajmował się mniej więcej podobnym biznesem, powiększając swój majątek. Dopóki nie zajął się sprzedażą ropy, która kosztuje bardzo dużo. O wiele więcej niż wódka, żurawina i stare zagraniczne samochody. I niedługo miał już ponad dwieście milionów dolarów.

- To jest dużo czy mało? - zapytałam, bo w ogóle nie znam się na pieniądzach.

- Jak dla kogo - odpowiedział On. - Dla mnie wystarczy. Można, na przykład, kupić czterdzieści takich domów jak ten, w którym mieszkamy. A później, kiedy biznesmenów zaczęli zabijać przestępcy, by zawładnąć ich majątkiem, On postanowił skończyć z interesami. Ulokował pieniądze w pewnym bezpiecznym banku za granicą i zaczął żyć z procentów. Co to są procenty, już wiem z powieści Maupassanta i Tołstoja.

-I już nie pracujesz w tym swoim gorkomie? - zadałam pytanie, które wywołało u Niego atak śmiechu, długi i nie całkiem dla mnie zrozumiały.

- Nie - odpowiedział, kiedy się uspokoił. - Po żadnych gorkomach ani śladu już nie ma. Nadeszła epoka rozkwitu. Świetlana przyszłość, o której mówiliśmy w tych właśnie gorkomach, nadeszła sama z siebie, bez żadnego wysiłku ze strony klasy robotniczej, skolektywizowanego rolnictwa i radzieckiej inteligencji.

- Dobrze, mój drogi - powiedziałam już trochę pewniej. Ponieważ gdzieś czytałam, że otrzymując informację o człowieku, zyskujesz nad nim władzę. Może informacji na razie nie jest dużo, ale, jak się mówi, najtrudniejszy jest początek.

- Dobrze, mój drogi, a co opowiesz mi o swoich kobietach? O tych, które miałeś wcześniej. Czy były ładne? Czy cię kochały? A czy ty je kochałeś? Przecież bez miłości, o ile dobrze rozumiem, nie może być żadnych stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą.

- Co było, to poszło w niepamięć - niechętnie odpowiedział On.

-A jednak? - nie poddawałam się. -A jeśli to będzie dla ciebie nieprzyjemne? - Wytrzymam.

Jakoś smutno się uśmiechnął i nie wiem dlaczego nagle zrobiło mi się Go żal.

Gdzieś czytałam, że kochać to znaczy żałować. Albo coś w tym rodzaju. Tak, rzeczywiście, miał przede mną kobiety. Jeśli dobrze zrozumiałam - dwie. Z jedną żył, kiedy pracował w gorkomie. Z nią się rozszedł, ponieważ przestał ją kochać. Ona, jak powiedział, była „osobą ograniczoną”. Kiedy On zajął się biznesem, sprzeciwiała się temu - robiła sceny, zaczęła pić dużo wódki i coraz częściej upijała się do nieprzytomności. Mówiła, że duże pieniądze psują ludzi.

- Ale głupia! - mimowolnie mi się wyrwało. I z czułością pogłaskałam Go po policzku. - Jesteś taki wspaniały. Drugiego takiego nie ma. Wiem o tym, bo porównuję cię z tymi, którzy są w książkach. Takich wspaniałych jak ty nie ma.

I wtedy ta inna, która w tej chwili obudziła się we mnie, zaczęła szeptać mi do ucha, przez co wszystkie moje myśli się pomieszały. Wyparł je ten nieznoszący sprzeciwu głos: Powoli przeciągnij dłonią po Jego szyi. Czule dotknij palcami obojczyka. Przymknij oczy, lekko przykrywszy je rzęsami. Westchnij głęboko, żeby było słyhać. Lewą dłoń połóż na talii. Prawą rękę powoli prowadź w dół - pierś, góra brzucha... tak, dobrze, podbrzusze. Jeszcze raz westchnij, głośniej. I wydychając powietrze, powoli rozepnij zamek u spodni. I weź go czule w dłoń, wpijając się ustami w Jego usta. Jęknij: „Mój! Mój! Mój!”.

Przyłgnij do Niego całym swoim słodkim ciałem. Całuj i pieść. On to bardzo lubi. Pieść. Całuj i pieść. Całuj i pieść. Szepcz o tym, jak Go kochasz. Szepcz czule. Pieść czule. Całuj namiętnie. Tak, żeby Mu stanął. On to bardzo lubi. Jeszcze bardziej niż czytanie prognoz giełdowych. Jest już gorący i twardy. Szepcz o tym i pieść. Pieść. Pieść. Usiądź na stole i unieś nogi. Tak, żeby znalazły się na Jego ramionach. A teraz wpuść go do środka. Gorącego i twardego. Żeby władał i królował! Żeby królował, wydobywając z ciebie błogi jęk. Jęk zdumienia i uniesienia. On to lubi. Twój błogi jęk On lubi najbardziej na świecie. Jeszcze - jęk! Jeszcze! Jest już na szczycie rozkoszy! Jeszcze!

I - razem z Nim - wspólny jęk - razem - jęk razem z Królem!

Teraz wolniej. Ciszej. Jeszcze ciszej. Wolniej. Stop.

Czuły głęboki pocałunek. Jemu to też się podoba. Nawet jeśli nie tak bardzo.

On jest szczęśliwy. Król. Teraz - sen.

23.08.

Z drugą żoną rozszedł się od razu po tym, jak skończył z biznesem. Do tego czasu wszystko im się układało całkiem nieźle - nawet, można powiedzieć, dobrze. Ona była drapieżną awanturnicą, a w ich stosunkach małżeńskich najbardziej ekscytowało ją szalone migotanie zer na kontach bankowych i Jego codzienne balansowanie na krawędzi życia i śmierci, pomiędzy wizją bankructwa a kulą killera.

Raczej nie była to miłość. Ponieważ kochająca kobieta najbardziej na świecie powinna dbać o dobro ukochanego. Nie mówiąc już o jego życiu i zdrowiu. Kiedy się rozstali, On zaczął domyślać się, że jego druga żona w tajemnicy (może nawet przed samą sobą) liczyła na to, że Jego zabiją a ona zostanie bardzo bogatą wdową. Bardzo bogatą i bardzo wesołą, gdyż na jej nieutulenie w żalu po stracie ukochanego nie było co liczyć.

A kiedy jej plany się nie powiodły, i życie rodzinne potoczyło się spokojnym i jednostajnym rytmem, zaczęła regularnie urządzać histerię, nazywając Go nieudacznikiem, tępakiem i tchórzem, co dla mężczyzny jest najbardziej poniżające.

Tak, gdzieś to czytałam, że w takim stanie ludzie zaczynają bić głową o ścianę i wyć: „Nudzę się, czarcie!”. Zaczęła się nudzić, więc odeszła do innego. Do Jego byłego kolegi i współwłaściciela biznesu. I właściwie - do prawie już byłego człowieka. Ponieważ po pół roku „ekscytującego i intensywnego” życia (z szalonym migotaniem zer na kontach bankowych i codziennym balansowaniem na krawędzi życia i śmierci) jej nowego męża wysadzono w powietrze, wraz z samochodem, telefonem komórkowym, trzema kartami kredytowymi, plikiem skrajnie ważnych dokumentów, w połowie opróżnioną butelką whisky, z której popijał, pędząc nocną autostradą w kierunku podmiejskiego domu, z dwoma kobietami - jak powiedział On - „lekkich obyczajów”. W ten sposób Jego druga żona z nawiązką otrzymała to

wszystko, do czego dążyła: osobiste bogactwo i absolutną swobodę.

- Ale przecież to nie była miłość! - wykrzyknęłam, po tym jak On zamilkł i zapalił papierosa. - Miłość może być tylko na wieki. A nie tak, żeby najpierw z jednym, a potem z drugim.

- Wtedy kiedy z nią zamieszkałam, wydawało mi się, że to miłość - gorzko uśmiechnął się On, napełniając szklankę piwem Carlsberg.

Wezbrała we mnie fala czułości do Niego. I współczucia. Współczuć znaczy kochać, gdzieś to czytałam. -Ale przecież to łatwo sprawdzić - powiedziałam, przeciągając dłonią po Jego krótko ostrzyżonej głowie. I wsłuchiwałam się: nie, ta inna, która we mnie była, milczała.

- Jak to? - ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Jeśli nie uprawialiście razem seksu, to znaczy, że i miłości nie było.

Prawdziwe jest również stwierdzenie odwrotne: seksu bez miłości też nie może być. I w ogóle, kobieta nie jest w stanie przestać kochać mężczyzny.

- Tak sądzisz?

- Jestem pewna!

Czule popatrzył na mnie. I pocałował w policzek. Też czule. Podobało mi się to. Ponieważ mnie zawsze się podoba to, co On lubi.

- Mam idealną kobietę - powiedział czule, popijając piwo.

- Ty rzeczywiście nigdy nie będziesz w stanie pokochać nikogo oprócz mnie.

Inne kobiety nie są takie. Są gorsze. Powiedziałbym nawet - są odrażające!

I rzucił pustą szklankę do kominka. Szklanka się zbiła. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, patrząc, jak odłamki w płomieniach powoli zamieniają się w kropelki roztopionego szkła.

A potem On opowiedział mi coś, od czego zaczęłam go żałować jeszcze bardziej. Czyli kochać - gdzieś to czytałam. On miał dużo kobiet. Bardzo dużo. Chyba sto. Albo dwieście. Nie pamięta tego dokładnie. Choć ja nie rozumiem, jak można nie pamiętać takich rzeczy.

Najwięcej miał prostytutek. Nazywają je „kobietami upadłymi” - gdzieś to czytałam. prostytutki nie czuły do Niego żadnej miłości - tylko seks, za pieniądze.

Jak w sklepie, kiedy kupujesz proszek do prania Ariel, płyn Fairy, pastę do zębów Blend-a-med. Albo piwo Tinkoff. Ile zapłacisz, tyle ci dadzą, tylko w tym wypadku nie na sztuki ani na wagę, tylko na czas. Można kupić prostytutkę na godzinę, na trzy godziny, na dzień. No i oczywiście od ceny będzie zależeć nie tylko czas, ale i jakość „dostarczonych usług”. Jak w wypadku gosposi. Jeśli płacisz mało, to ona tylko szmatą trochę pomacha i śmieci wyrzuci. Jeśli dużo - to w domu wszystko będzie lśnić i błyszczeć.

Tak samo prostytutka. Za niską opłatę będzie po prostu leżeć i cały czas myśleć o tym, na co można wydać zarobione pieniądze. Jeśli opłata będzie wysoka, to prostytutka będzie udawać, że bardziej upragnionego mężczyzny nigdy w życiu nie spotkała. Ale to tak czy inaczej będzie kłamstwo i człowiek, który płaci, doskonale to rozumie. Można kupić prostytutkę nawet na tydzień. I na miesiąc. I wtedy, jak On powiedział, po jakimś czasie może zrodzić się wrażenie, że ona się do ciebie przyzwyczaiła. Jak do krewnego.

Albo nawet pokochała. Ale zazwyczaj to wychodzi zbyt drogo, ponieważ takie tygodniowe albo i miesięczne prostytutki, mieszkając u Niego, wiecznie szukały okazji, by coś ukraść. Nie, nie tylko pieniądze. I nie tylko cenne przedmioty. Ale coś cenniejszego - wiarę w możliwość istnienia bezinteresownej miłości.

Odchodząc, momentalnie zamieniały się z całkiem miłych śmieszek lub romantyczek w rzutki i sprytne, niby prezesi międzynarodowych banków, kobiety biznesu, które miały wprost wypisane na czole: KWOTA, KTÓRĄ PAN PRZELAŁ NA NASZE KONTO, JEST WYKORZYSTANA. W CELU KONTYNUACJI ŚWIADCZENIA USŁUG NIEZBĘDNE JEST PRZELANIE DODATKOWYCH ŚRODKÓW NIE PÓŹNIEJ NIŻ W DRUGIEJ DEKADZIE BIEŻĄCEGO MIESIĄCA, ZGODNIE Z DOŁĄCZONYM CENNIKIEM. Tak mi powiedział o tych kobietach. Kiedy On po jakimś czasie przypadkowo spotykał jedną z takich osób twarzą w twarz, gdzieś w klubie albo w kasynie, ona nie tylko go nie zauważała - ale wręcz go nie poznawała. Pamięć kapłanek miłości powinna być dziewiczo czysta, a serce wolne od czynników destabilizacyjnych. Gdzieś to czytałam. I o tym Mu powiedziałam. On się

zachmurzył i zamilkł, widocznie wspominając jakąś szczególnie nieprzyjemną historię.

Potem, wyciągnąwszy z barku Johnny Walkera, zaczął nerwowo chodzić po gabinecie, pijąc wprost z butelki. Historia, którą mi opowiedział, rzeczywiście była nieprzyjemna. Pewnego razu, w okresie pomiędzy pierwszym rozwodem a drugim ślubem, On kupił bardzo drogą prostytutkę na dwa tygodnie, które mu pozostały przed wyjazdem do Brazylii w interesach. Osoba ta, o imieniu Eleonora, według Niego była warta wydanych na nią pieniędzy. Była zadziwiająco piękna, nadzwyczaj finezyjna w łóżku, dowcipna i wysublimowana w rozmowie oraz, jak Mu się wtedy wydawało, serdeczna i szczerza. Nawiązali na tyle bliskie stosunki, że On zaczął myśleć o tym, żeby połączyć się z nią węzłem małżeńskim. Tak, rzeczywiście, wydawała Mu się głęboko nieszczęśliwą dziewczyną, uprawiającą znienawidzone rzemiosło nie z powodu moralnego zepsucia, lecz zmuszona fatalnym zbiegiem okoliczności. Któregoś razu przyznała Mu się, że jej brat-geolog, który poszukiwał ropy w Nigerii - to gdzieś w Afryce, to już wiem, czytałam w bibliotece Moszkowa - został wzięty do niewoli przez buntowników. A ci teraz żądają ogromnego okupu, na który Eleonora usiłuje zarobić, choć ten sposób zarabiania jest dla niej odrażający. Ale w żaden inny sposób nie jest ona w stanie zarobić pół miliona dolarów, które uratowałyby życie jej bratu. On, wzięwszy sobie głęboko do serca jej rodzinną tragedię, nawet chciał podarować jej czterysta tysięcy - sto Eleonora już uzbierała sama. I to byłoby nie tylko szlachetnie, ale i sprawiedliwie, gdyż dziewczyna kiedyś dała Mu na tyle cenną radę, dotyczącą pewnej transakcji, że On dzięki niej pomnożył swój kapitał o dwa miliony.

Ale trzy dni przed wygaśnięciem terminu, na który On „zaangażował” Eleonorę, i odpowiednio na tyleż samo przed złożeniem uroczystej propozycji zamążpójścia, co On już sobie mocno postanowił, wszystko runęło. Przypadkowo odkrył, że cały dom jest wręcz naszpikowany przenośną aparaturą do obserwacji wizualnej i nagrywania rozmów. Stwierdził też, że to sprzedajne bydlę, udające Sonię Marmieładową (gdzieś o niej czytałam), zrobiło kopie kilku najważniejszych dokumentów, przechowywanych w sejfie.

- I co z nią zrobiłeś? - spytałam, starając się powstrzymać gniew.

- A nic! - odpowiedział On jakoś nadspodziewanie wesoło. I nawet jakimś teatralnym gestem rozłożył ręce i uderzył dłońmi po kolanach. - Po prostu ją puściłem wolno! Idź sobie, dokąd chcesz, wolna droga!

- Mam nadzieję, że przynajmniej poinformowałaś jej pracodawcę, czym się zajmuje jego pracownica?

- Pewnie! - jeszcze bardziej rozweselił się On. - Poinformowałem. A on ją zwolnił. I ona poszła pracować przy frezarce do fabryki Sierp i Młot. Myślę, że dobrze tam pracuje.

I wtedy rzucił do kominka butelkę whisky. Butelka rozbiła się z brzękiem, a płomień buchnął tak mocno, że na moment wyrywając się z paleniska, chciwie liznął moją prawą rękę. Krzyknął przestraszony i odciągnął mnie od kominka, cały blady, z drżącymi rękoma.

Gdy trochę doszedł do siebie, powiedział, że przez resztę wieczoru chce побыć sam. I kazał mi iść do siebie i kłaść się spać. Dziś nie będę Mu już potrzebna.

- Przecież miłość to nie tylko seks - powiedział do mnie i jakoś dziwnie się uśmiechnął. - Prawda?

- Tak - odpowiedziałam - chyba tak. Choć jeszcze w tym się nie połapałam należycie. Wiem jeszcze, że kochać to znaczy żałować. Tak?

On się zachmurzył i nic nie odpowiedział.

26.08.

Przez cały dzień padało i On zabronił mi wychodzić do parku. Że niby „przemoknę i się rozkleję”.

- Ale przecież ty się nie rozklejasz - spróbowałam zaprzeczyć. On powiedział, że jest mężczyzną, a mężczyźni mają mocniejsze zdrowie. A rozkleić się, mówi, oznacza przeziębienie się i zachorować.

Okazuje się więc, że nawet języka rosyjskiego nie znam dobrze. Ale za to

angielski znam o wiele lepiej niż On.

Pojechał załatwiać sprawy. Nudzę się. W żaden sposób nie mogę się skupić, by wydobyć z tego, co zapisałam, jakieś racjonalne części, które pomogłyby mi choć trochę dowiedzieć się czegoś o sobie. Przez cały dzień patrzyłam przez okno na strugi wody ściekające po szybie, za którą pogrążony w smutku park mókł wraz z samotnymi posągami. I myślałam: biedne, pewnie wyczerpały im się baterie...

Po godzinie takiej bezcelowej kontemplacji przygnębiającej podmoskiewskiej przyrody przed moimi oczami zaczęły pojawiać się jakieś dziwne obrazy. Gorące słońce rozpala do piekielnego żaru piasek bezkresnej plaży. Ogromne fale napierają swą masą na wygładzony brzeg. W oddali lśnią jakieś popękane kamienne ściany, bardzo wysokie. Na błękitnym niebie szybuje ogromny ptak, wypatrując czegoś w dole. Po piasku biegnie w moim kierunku jakiś człowiek z brodą. Nie wiadomo czemu, ma biały fartuch, a na głowie piracką bandanę.

Tak zaczynają się halucynacje, pomyślałam. Gdzieś to czytałam... Ach tak, o Annie Kareninie, którą leczono opium... Przecież prosiłam Go, by zaprosił do domu jakichś gości. Mówiłam, że czasami się nudzę. Przecież ciekawie jest popatrzeć choć na jednego żywego człowieka oprócz Niego. Ochroniarze i ten wiecznie zaaferowany typ, który czasem przywozi zaopatrzenie, się nie liczą. On ich nawet do mnie nie dopuszcza, nie wiem czemu.

To byłoby nie tylko ciekawe, ale i bardzo istotne dla mnie. Może w ten sposób rzuci się choć jakieś światło na tajemnicę mojego pochodzenia...

Może w ten sposób rzuci się choć jakiś swat za majnicę Jego wchodzenia... Co ja plotę?! Boję się. Boję się siebie.

27.08.

Po porannym seksie On nagle zapytał, dlaczego nie nazywam go po imieniu. Zamyśliłam się.

- Może nie lubisz wymawiać mojego imienia na głos? - nie poddawał się.

- Nie mogę nawet w myślach - odpowiedziałam, szczerze patrząc Mu w oczy.

Zawsze trzeba odpowiadać szczerze, inaczej to nie będzie miłość. Choć czytałam gdzieś, że niektóre kobiety są nieszczerze ze swoimi ukochanymi.

- Dlaczego? - zdziwił się On.

- Ponieważ to będzie zdrada. Ponieważ ty jesteś dla mnie jeden jedyny.

-I co z tego?

- Jeśli zacznę nazywać cię po imieniu, będzie to oznaczało, że jesteś dla mnie taki sam jak wszyscy inni mężczyźni. Oni wszyscy mają imiona. A ty nie powinienes mieć imienia. -Ale przecież ja mam imię! - nie zrozumiał.

- Nie. Ty to jesteś Ty.

- A jeśli jakiemuś innemu powiesz „ty”, to w ogóle staniemy się całkiem równi.

- Nie, nic nie rozumiesz. Ty wielką literą. A oni wszyscy małą. Więc o żadnej równości nie może być nawet mowy!

- Dobrze - zgodził się. - Ale jeśli cię bardzo poproszę, będziesz mogła powiedzieć?

- Postaram się. Wszystkie twoje prośby powinny być spełnione.

- Powiedz więc. Teraz.

- Maksim - powiedziałam. I schowałam twarz w dłoniach, gdyż ogarnął mnie wstyd.

I On mnie pocałował. Tak po prostu. Bez jakiegokolwiek seksu.

Część 2: Wychowanie krok po kroku

To była lalka. Doskonała lalka, stworzona do idealnej miłości, z mnóstwem pożytecznych funkcji, niezbędnych dla odczuwania pełni życia: seks, troska o ukochanego, psychoterapia, zaspokojenie duchowych potrzeb partnera, dobre nawyki kulinarne, ochrona przed zamachami na życie i zdrowie właściciela i wiele, wiele innych.

Lalkę wyprodukowano w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej z zastosowaniem najnowszych osiągnięć z dziedziny wysokich technologii - takich, które są wykorzystywane w najnowocześniejszych typach bezzałogowych myśliwców, inteligentnych czołgów i niezatapialnych okrętów podwodnych. Czyli to, co jeszcze niedawno wykorzystywano wyłącznie w maszynach służących do zabijania, teraz zastosowano do stworzenia idealnego narzędzia miłości.

Lalka, którą producenci na prośbę klienta nazwali Lindą, miała unikatowe możliwości. Superwytrzymała metalowa przegubowa konstrukcja, z dokładnością odtwarzająca ludzki szkielet, ubrana w silikon i pokryta superczułą cyberskórą, dostarczała doznań fizycznych absolutnie wiernie naśladujących seksualny kontakt z kobietą. Przy tym ruchami ciała sterował serwer, którym zarządzał mikroprocesor kinetyczny, śledzący przemieszczanie się seksualnego partnera lalki. Odgłosy, które wydawała podczas fizycznego zbliżenia, generował doskonały syntezator i nie sposób było je odróżnić od prawdziwie ludzkich.

Ale nie to było w niej najbardziej unikatowe i rewolucyjne, nie to stawiało ją na najwyższym podium osiągnięć robotyki seksualnej. Lalka była naszpikowana najbardziej skomplikowaną elektroniką, stwarzającą efekt guasiinte-lektualny. W jej długotrwałą pamięć została wpisana nie tylko Kamasutra, ale i cała literatura światowa dotycząca zagadnień miłości. Zachowanie lalki, jej reakcje na świat zewnętrzny były ograniczone nieskomplikowanym algorytmem gry komputerowej „Sims”: prowadzenie domu, wykwintna rozmowa, tańce, higiena.

No i oczywiście seks, nieograniczony seks z właścicielem, który jest dla niej

królem i bogiem; wszystkie jego zachcianki musi spełniać bez zastrzeżeń. Firma-producent przewidziała najbardziej wymyślne kaprysy klienta. Jeśli na przykład właścicielowi znudzi się wygląd zewnętrzny lalki, będzie mógł zmienić jej twarz za pomocą kliknięcia kilku klawiszy na autonomicznym panelu sterowania. Dzięki przeprogramowaniu skomplikowanego mechanizmu krzywkowego lalka mogła przyjąć dwieście pięćdziesiąt sześć różnorodnych postaci. Przewidziana została też programowa zmiana „osobowości” lalki, czyli wzorzec stereotypów zachowań, których zakres rozciągał się od postaci „cnotliwej panny” do ekscentrycznego typu „wyuzdanej dziwki”.

Lalkę wyposażono w autonomiczne zasilanie akumulatorowe, obliczone na dziesięciodobową nieprzerwaną pracę. Do podładowania wykorzystywano sieć elektryczną prądu zmiennego o napięciu 220 woltów. Cena lalki wynosiła 999 995 \$.

Konstruktorzy zapewniali, że stworzony przez nich model „robota seksualno-miłosnego”, choć samouczący się, nie ma ludzkiej osobowości, czyli własnego „ja”, i że wrażenie racjonalnego zachowania wynika z doskonałego oprogramowania, które za pomocą imitatorów uczuć realizuje reakcje uzależnione od wpływu czynników zewnętrznych.

To wszystko było jednak zgodne z prawdą dopóty, dopóki na świecie nie pojawił się egzemplarz o imieniu Linda, który nabył obywatel rosyjski Maksim Uwarow.

Po sześciu miesiącach prawidłowej eksploatacji modelu wydarzył się nieprzewidziany przez konstruktorów incydent, dzięki któremu Linda uzyskała własne „ja” oraz możliwość refleksji. Czyli stała się myślącym „sztucznym człowiekiem”, zachowawszy przy tym płeć i orientację seksualną. Inaczej mówiąc, stała się kobietą, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami, nieraz nawet dość dramatycznymi.

01.09.

Dziś był u nas Siergiej, kolega Maksima. Ta wizyta mną wstrząsnęła. Dowiedziałam się czegoś, nad czym teraz będę musiała dużo myśleć.

Ale wszystko po kolei. Trzeba zapisać wszystko jak najdokładniej. Wszystko po kolei.

Maksim powiedział, że dziś pierwszy września, początek roku szkolnego. I on z Siergiejem, zgodnie z dawną tradycją, urządzają w ten dzień coś w rodzaju święta. Że niby wszystko, co w nas najlepsze, zawdzięczamy nauce: w szkole, na studiach, a potem w surowej akademii życia. Z tej okazji włożyłam swoją ulubioną sukienkę i zrobiłam sobie fryzurę numer pięć.

Siergiej przyjechał o szóstej. Był ubrany nienagannie w czarny elegancki garnitur, myślę, że od Valentino. Co prawda zapach miał absolutnie do niczego. Gdy pachnieć tak, jak pachnie Maksim, nie może nikt. On jest najlepszy we wszystkim! Gdy Siergiej wszedł do salonu, jakoś dziwnie na mnie popatrzył. I przywitał się tak, jak gdyby mnie znał:

„No cześć, Linda! Zarąbiście wyglądasz, gościowo!”. Nie zwróciłam na to większej uwagi, rozumiejąc, że wśród kolegów Maksima mogą być ludzie używający wulgarnych słów. Ale to nie powinno podawać w wątpliwość ich zalet duchowych i intelektualnych. Maksim nie mógłby obcować ze złymi ludźmi. Oni poszli do gabinetu i Maksim, nie podejrzewając, że mam doskonały słuch, powiedział: „Nie, ona nic nie pamięta. I proszę cię, bądź z nią bardzo taktowny. Jak z lady. Albo z jakąś wicemiss świata. Myślę, że zaszły w niej wielkie zmiany. Potem ci opowiem”.

Siergiej coś odburknął obrażony. Chyba coś w rodzaju, że nie trzeba było wydawać melona na tę blady. Potem usiedliśmy przy stole, na który przygotowałam wyszukane dania ze świątecznego menu numer cztery. Na początku rozmowa się nie układała. Siergiej i Maksim porozmawiali trochę o wspólnych znajomych, o ich osiągnięciach i niepowodzeniach. Pokrytykowali politykę finansową. I ożywili gasnącą rozmowę koniakiem. I wtedy ja, jak dobrze wychowana gospodyni, zaczęłam zabawiać gościa rozmową której scenariusz opisany jest w podręczniku

Westleya Shtarka na stronie trzydziestej ósmej. Opowiedziałam o opiece nad jednorocznymi roślinami sadowniczymi, o efektywności czyszczenia srebra stołowego amoniakiem, o wyższości gry w tenisa nad grą golfa, zapytałam Siergieja, jaką kawę preferuje - cappuccino czy po turecku, którą trzeba popijać zimną wodą, wypowiedziałam krytyczną opinię dotyczącą nieodpowiedniego zachowania madame Bovary... Siergiej jakoś dziwnie reagował na zaproponowaną przeze mnie rozmowę. Przez cały czas śmiał się i wykrzykiwał: „Nieźła! Kurde, naprawdę nieźła!”.

A potem, kiedy butelka koniaku była już prawie pusta, nagle zupełnie nieprzyzwoicie chwycił mnie za rękę i powiedział: „Więc co, Linda, pobaraszkuje?!”. Bardzo mi się to nie podobało. Wyrwałam rękę i błagalnie popatrzyłam na Maksima, i on odczytał w moim spojrzeniu: mój miły, czy zasłużyłam sobie na takie traktowanie? Maksim powiedział do Siergieja z irytacją: „Gościu, przecież cię uprzedzałem, prosiłem przecież, jak człowieka!”. Siergiej zreflektował się i puścił moją rękę. I wszystko powróciło do całkiem przyzwoitych ram.

Wkrótce jednak mężczyźni zabrali ze sobą następną butelkę koniaku, paterę z owocami i poszli do gabinetu. Zamieniłam się w słuch. I żeby nie zapomnieć nic ważnego z ich rozmowy, ukradkiem włączyłam dyktafon, na który szeptem zaczęłam zapisywać wszystko, co wyłapywały moje czułe uszy. Przytaczam w całości ich rozmowę.

Siergiej: Co jest, kurde, szkoda ci kawałeczkiem melona się podzielić?

Maksim: Nie w tym rzecz. Nic nie rozumiesz. Ona zrobiła się zupełnie inna.

S: Co to znaczy - inna? Teraz niby co, nie można jej w dwa smyczki dmuchać, jak ostatnio, w marcu?

M: Wtedy też oczywiście nie można było. Przecież ona tylko na mnie jest zaprogramowana. Przecież pamiętasz, jak się sprzeciwiała.

S: No to chodź, znów się dobrze nachlejemy i zwiążemy ją mocno. Odjazdowo nam to wtedy wyszło. Naraz w dwie rury. Ona aż cała wibrowała, jak tramwaj w pełnym rozpędzie! M: Nie, teraz nie można.

S: Boisz się, że się zepsuje, czy co? Melona szkoda? Dla przyjaciela?

M: Nie w tym rzecz. Wytrzymałość ma zarabistą. Wytrzymuje obciążenie sto kilogramów na centymetr kwadratowy i uderzenia w piętnaście „gie”. W dowodzie jest napisane.

S: A ty co, dowód jej wyrobiłeś, żenić się chcesz? Trzeba było od razu tak mówić!

M: Nie, dowód techniczny. Z właściwościami. W firmie dali. S: No to o co chodzi, dawaj! Zwiążemy i wychędożymy na wszystkie piętnaście „gie”! Jak nie!

M: Nie, nie wolno! Rano ona mi to przypomni albo zwariuje jeszcze. W końcu całego melona zapłaciłem. S: Ale sam mówiłeś, że ona rano już nic nie pamięta. Jak po dobrej balandze.

M: Nie, coś się w niej niezłe pozmieniało. Jakiś czas temu pojawiła się u niej pamięć.

S: No i co z tego? Czyż nie jesteś jej panem? Niech wszystko pamięta i cierpi. A ty ją dmuchaj, dmuchaj, na maksa. Niech zna, suka, swoje miejsce! Przecież to jeszcze przyjemniejsze - znęcać się nad nią.

M: Ale przecież może mieć jakąś granicę. Przekroczysz ją... No, powiedzmy, jeśli przyprowadzisz tu batalion żołnierzy, którzy się z nią zabawią. Może wysiądzie jej jakiś bezpieczniki urządzi tu bitwę na Kulikowym Polu*. Przecież siłę ma nie z tej ziemi! Więc, szczerze mówiąc, nieraz sam się trochę boję.

S: To po kiego diabła ci taką kijową wcisnęli, że może się zepsuć? I już się zepsuła, jeśli, jak mówisz, pojawiła się u niej pamięć.

M: To jeszcze nie wszystko. Wiesz, nieraz mam nawet wrażenie, że ona jakby stała się człowiekiem. Znaczą się nie tylko pamięta, ale też wszystko rozumie. I myśli. Przedtem wszystko było proste: do łba jej włożono słownik, włożono różne książki, a ona, rozmawiając z tobą przecież tak naprawdę nie rozmawiała. Czyli mówisz jej na przykład: „Dziś z Podmoskiewskiej jednostki uciekł żołnierz z karabinem”. Ona wychwytyje słowa kluczowe, podmiot i orzeczenie, i zaczyna jakby podtrzymywać rozmowę. Coś w rodzaju: „O, tak! Żołnierze potrafią dobrze biec do ataku. I przy tym koniecznie muszą mieć karabin, żeby walczyć z przeciwnikiem. Każdy żołnierz walczy z przeciwnikiem po to, by bronić swojej ukochanej, z którą

żołnierz wieczorami miewa bardzo przyjemny seks. Ale najprzyjemniejszy seks mamy tylko my, ukochany!". No a teraz zupełnie inna sprawa! Ona nie tylko nie przytakuje głupio, ale i sama zadaje całkiem sensowne pytania. Mówię ci, zaczęła wszystko rozumieć!

S: Tak, felerny towar. Zwróć go. Albo niech naprawią.

M: Ale w tym rzecz, że ona taka o wiele bardziej mi się podoba. I szczerze mówiąc, nawet zacząłem jakby się do niej przywiązywać.

S: Tak, mój przyjacielu, niedługo to ciebie trzeba będzie poważnie naprawiać.

W psychiatryku.

M: Nie, nie rozumiesz mnie. Te dwie suki, moje poprzednie żony, były o wiele większymi lalkami niż Linda. Jeśli ona ma w środku elektronikę, to one miały łajno! No a te wszystkie ścierwa - mam na myśli bynajmniej nie prostytutki, które tu bywały - były lepsze, ale niewiele. Im ze wszystkich zakamarków wręcz wylaziła chciwość, absolutnie pozbawiona wszelkich zasad, cyniczna i wypaczona. Żeby chociaż przebłysk ludzkiego uczucia! Nie - tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze! Gdyby nie Linda, gdybym obcował z tymi ścierwami choć rok dłużej, na pewno padłoby mi na głowę. Zrobiłbym się takim ot, antyseksualnym maniakiem, który czyha po nocach na spóźnione cizie i podrzyna im gardła.

S: A ona, ma się rozumieć, ci odpowiada?

M: Tak, odpowiada. A ty na próżno starasz się mnie podkurwić. Ona jest bezinteresowna. I szczerza. A to dla mnie bardzo wiele znaczy. Mam to gdzieś, że jest tak zaprogramowana. Wszystkich ludzi, kurde, przecież ktoś w którymś momencie programuje! Rodzice. Szkoła. Zespół, kurde, pracownicy. Wszystkich się na coś orientuje, coś im się wpaja, blokuje i otumania. Żeby w rezultacie stłumić w człowieku naturalne impulsy.

S: Zwierzęce.

M: Tak, zwierzęce. Dzięki którym ostatnim razem znęcaliśmy się nad Lindą... Ale ja nie o tym! Tylko o tym, że Linda pod tym względem nie różni się od większości kobiet. Ona tak samo jest więźniem swoich zachowań jak wszystkie inne kobiety.

S: Cizie.

M: No mówię, że cizie! Ale ona nie jest taka!

S; A gdzie gwarancja, że taka się nie stanie? Może też zaczniesz czegoś od siebie chcieć? Przecież mówisz, że zaczęła zamieniać się w człowieka. No właśnie, kiedy to się zaczęło? Może ty ją w czapę butelką walnąłeś?

M: Dokładnie nie wiem. Ale mam przypuszczenie. Jakoś na początku sierpnia spacerowała po parku. Znaczą się - chodziła w tę i z powrotem. Po prostu mechanicznie, żeby mnie zabawić. A ja paliłem na tarasie i piłem schweppsa z lodem. To niezłe odpręża. Zadzwoiła komórka i na chwilę się odwróciłem. Nagle słyszę, jak Linda krzyczy z jakimś nienaturalnym dla niej zachwytem: „Mój drogi, mój drogi! Zobacz, jaki cud!”. Patrzę - fuck twoje astrolabium! Powoli zbliża się do niej świecąca kula wielkości piłki nożnej. Piorun kulisty, kurde! Krzyczę: „Odsuń się, odejdz natychmiast!”. Wiem, że uciekać nie można. On, skurczybyk, mam na myśli ten piorun, reaguje na gwałtowne ruchy. A ta głupia albo nie słyszy, albo konstruktorzy nie pomyśleli o zaprogramowaniu jej na wypadek takiego niebezpieczeństwa. Idzie w stronę tej kuli z wyciągniętą ręką jak, kurde, trzyletnie dziecko. Krzyczę, ale nic nie skutkuje! Kiedy ona sięgnęła po tę „zabawkę”, kiedy jej dotknęła, rozległ się gwałtowny trzask, przypominający drący się jedwab. I Linda sama zaczęła się świecić.

Pewnie człowiek z zewnątrz od takiego widowiska wpadłby w zachwyt i szczytowałby, kurde, aż do utraty tchu. Koniec, myślę, nastał kres mojego melona! Pora skorupki zbierać. Ale ona nic, niby cała. Stoi, trzęsie się w konwulsjach jak epiletyczka i się świeci. Co za widok, kurde. Trwało to z pięć sekund. A potem zgasła i padła na ziemię. Podbiegłem. Leży jak nieboszczka, z otwartymi oczyma i się nie rusza. Chciałem ją podnieść, ale się cofnąłem - może jest naładowana. Dotknę, to i mnie, kurde, zabije. Poczekałem z dziesięć minut, żeby cały ładunek poszedł w ziemię, i zaniósłem ją do domu.

No, myślę sobie, może i jest cała, ale melon i tak szlag trafił. Przepaliła się. Zadzwoiłem do firmy. Mówię co i jak. Naprawiajcie. A ten baran - jak zrozumiałem, jakaś drobna płotka - mówi, że żadne reklamacje nie będą

uwzględniane. Ponieważ doszło do nieprawidłowej eksploatacji wyrobu. Że niby w instrukcji jest napisane, iż nie wolno poddawać wyrobu napięciu powyżej tysiąca woltów. A naprawa, mówi, wyniesie mnie minimum trzysta patyków. Albo, mówi ten baran, proszę kupić nowy wyrób. A niech tam, myślę, do diabła z nią. Od jakiegoś czasu i tak już zaczęła mi się nudzić. Tak więc, myślę, można uznać, że swoją cenę już odpracowała.

Ale po dwóch godzinach się ocknęła. Otworzyła usta i powiedziała: „Tylko najwyższa wiedza i najwyższa głupota trwają niezmiennie”*(Wypowiedź znanego pisarza i myśliciela perskiego Saadi Shirazi). I od tego właśnie momentu zaczęły się w niej zmiany.

S: Tak, popsuła się dziewczyna. I nie wiadomo, czym to się wszystko może skończyć. Ja bym na twoim miejscu nie ryzykował.

M: Czym?

S: Jak to czym? Coś jej się w głowie przewraca i łeb ci urwie. M: Nie, to nie może się zdarzyć w żadnym wypadku. Pracownicy firmy powiedzieli, że agresja w stosunku do właściciela ma dziewięciostopniową blokadę.

S: Dobra, dobra. Ale na wszelki wypadek napisałbyś testament na moją korzyść.

M: Spadaj!

Potem zaczęli rozmawiać o jakichś sprawach finansowych, absolutnie dla mnie nieciekawych. A ja usiadłam przy komputerze i wszystko dokładnie zapisałam. Ta rozmowa wszystko we mnie przewróciła. Jestem przerażona...

Ta zmowa wszystko we mnie przekrzywiła. Jestem przerażona...

Ta namowa wszystko we mnie przeważyla. Jestem przerażona...

Ta umowa wszystko we mnie przebiła. Jestem przerażona...

Jestem przerażona... Jestem usmażona... Jestem usmażona jak cielecina.

Wędlina... Mydlina... Padlina...

02.09.

O dziewiątej jak zwykle przyniosłam Maksimowi kawę. Spał. Kiedy spróbowałam go obudzić, wymamrotał coś i odwrócił się na bok. A kiedy rozebrałam się i położyłam przy nim, by ulegając tej innej, która była we mnie, szeptać i pieścić, szeptać i pieścić - kazał mi się wynosić. Ale to mnie nie tylko nie obraziło, lecz nawet trochę ucieszyło, ponieważ Maksim bardzo brzydko pachniał.

O jedenastej, kiedy już skończyłam wszystkie prace domowe, wreszcie wstał. I spytał, gdzie się podział Siergiej. Opowiedziałam mu, że i on, i Siergiej po wczorajszym alkoholu zrobili się trochę obłąkani. I Siergiej zaczął krzyczeć na Maksima. A potem nawet chciał się bić. I żeby uratować Maksima, zniosłam Siergieja wraz z jego rzeczami, choć bardzo protestował, za bramę. I powiedziałam, żeby sobie poszedł. On zrobił się troszkę mniej obłąkany i zaczął prosić, by pozwolić mu przenocować. Że już jest noc i dookoła las.

Odpowiedziałam mu, że w tym lesie nie ma żadnych drapieżników, które zagrażałyby życiu człowieka, i że on może, bez żadnych obaw, dojść do szosy, skąd podwiezie go jakiś samochód. Szosa jest niedaleko, trzy kilometry stąd. Zajmie mu to czterdzieści minut, choć mnie wystarczyłoby sześć. Zaczął protestować, ponieważ miał swój samochód. Powiedziałam, że w stanie upojenia alkoholowego nie wolno siadać za kierownicę. To jest przestępstwo, o którym mowa w kodeksie wykroczeń administracyjnych. Więc poszedł. Maksim jęknął, jakby go coś zabolalo. Zapytałam, czy mnie chce. Maksim powiedział jednak, że nie ma nastroju.

Wtedy zaproponowałam mu, by odpowiedział na kilka pytań, które mnie bardzo niepokoją po wczorajszej wizycie Siergieja.

- Dlaczego moi przyjaciele są takimi chamami? To cię niepokoi? - zapytał Maksim z rozdrażnieniem.

- Nie, mój drogi. To mnie nie niepokoi prawie wcale. Jesteś najlepszy na świecie, a wszyscy inni mnie nie interesują. Ale jeśli spróbują wyrządzić ci krzywdę, a nawet jakieś nieprzyjemności, to będę mogła cię obronić.

Maksim się roześmiał.

- Mnie niepokoi ta rozmowa z Siergiejem, którą udało mi się usłyszeć.

- Podśłuchiwałaś! - ze złością wykrzyknął Maksim.

- Tak wyszło, mój miły. Ponieważ nigdy nie odpowiadasz na bardzo ważne dla mnie pytanie: kim jestem? Przez cały czas mnie okłamujesz. Ale wczoraj dowiedziałam się czegoś, co mną bardzo wstrząsnęło. Jestem lalką. I nigdy nie będziemy mieć dzieci. W tym domu nigdy nie zabrzmi wesoły dziecięcy śmiech.

Czy to prawda?

- Co za głupoty wygadujesz!

- Nie, to nie są głupoty. Nigdy nie zabrzmi wesoły dziecięcy śmiech, nigdy nie zabrzmi wesoły dziecięcy śmiech, nigdy nie zabrzmi wesoły dziecięcy śmiech.

- Słuchaj - głos Maksima zadźwięczał jakoś dziwnie, tak jakby przeproszał - zostaw mnie, proszę, w spokoju. Później porozmawiamy o wszystkim.

I zostawiłam go w spokoju. Ponieważ każde jego życzenie to dla mnie rozkaz...

Dla mnie rozgoń...

Dla mnie wagon...

Wagina!

06.09.

Dwa dni z rzędu przynosiłam Maksimowi kawę do łóżka. A potem kładłam się obok i szeptałam, i pieściłam tak, że robił się twardy i gorący. I wpuszczałam go do środka, i on królował. I było mu dobrze. I jeszcze dwa razy, bliżej wieczora, robiłam to samo. I też było mu dobrze.

I za każdym razem potem prosiłam go, żeby ze mną porozmawiał. Porozmawiał o tym, co mnie niepokoi, nie daje zapomnieć i przeszkadza w pełnej mierze, jak należy, dawać mu miłość. Tak, właśnie tak jest, ponieważ ta inna, która we mnie mieszka, nie była zadowolona. „Czulej, jeszcze czulej

- szeptała mi ze złością do ucha. - Mocniej, jeszcze mocniej!" Ale wychodziło mi nie tak czule, jak trzeba.

On jednak nie chciał ze mną rozmawiać. I to doprowadzało mnie do rozpacz. Byłam doprowadzona do ostateczności.

Trzeciego ranka, jak zwykle, przyniosłam Maksimowi kawę.

Gorącą i mocną. Ale kiedy ją wypił, wstałam, by odejść.

- Linda, gdzie idziesz? - ze zdumieniem wykrzyknął Maksim, który chciał, żebym położyła się obok.

- Maksimie - powiedziałam ze smutkiem - nie mogę teraz dać ci seksu. Ponieważ to będzie seks bez miłości. On ci się nie spodoba.

- A ty co, na głowę upadłaś!? - wykrzyknął wulgarnie, jakby nie był sobą, tylko Siergiejem. - Już, do łóżka! Biegiem!

- Nie, nie mogę, ponieważ ty odmawiasz rozmowy ze mną o bardzo ważnych dla mnie rzeczach. I teraz zamiast podczas seksu myśleć o miłości, myślę tylko o nich.

- Tak - powiedział ponuro Maksim - wygląda na to, że już i do szantażu dorostaś. Świetnie! Po prostu wspaniale! Ale wiedz, że gołymi rękoma mnie nie weźmiesz!

A potem powiedział wulgarnie słowo „dziwka”.

Po dwóch godzinach, kiedy gotowałam dla Maksima jego ulubione gołąbki, pod bramę podjechał samochód. Jeden z ochroniarzy wyszedł na zewnątrz i dość długo, jak zrozumiałam, rozmawiał z jego pasażerami. A potem wpuścił dwie dziewczyny, których widok wywołał u mnie złe przeczucie. Jedna z nich była blondynką włosy drugiej przypominały pożar lasu. Dziewczyny były ubrane ostentacyjnie lekkomyślnie, a na ich twarzach widniała nie tylko gruba warstwa wulgarnych kosmetyków, lecz także wyraźne piętno zepsucia. Zepsucie zdradzały też gesty i chód, i jakiś absolutnie wyuzdany śmiech, gardłowy i wyzywający.

Zrozumiałam, że są to prostytutki. Postanowiłam pójść do Maksima, żeby opowiedzieć mu o absolutnie oburzającym zachowaniu ochroniarzy, którzy w czasie pracy zajmują się tak nieprzystojnymi rzeczami. Takiemu zachowaniu należy położyć kres w sposób najbardziej zdecydowany - w przeciwnym wypadku ochroniarze, jak jest napisane w słowniku wyrażen frazeologicznych, wejdą na

głowę. Kiedy jednak weszłam do Maksima, zastałam u niego te rozpustne panny, te prostytutki. Od razu zrozumiałam, że przyprowadzono je do niego bynajmniej nie po to, by skarcił je i wystawił za bramę posiadłości. Jedna z nich - „Pożar lasu” - siedziała Maksimowi na kolanach, a blondynka - „Stokrotka polna” - była już topless.

Byłam zdumiona. Zupełnie niedawno, z dziesięć dni temu, Maksim opowiadał mi o tym, jak bardzo swojego czasu rozczarował się prostytutkami. Jak bardzo zawiodły jego oczekiwania, zabierając mu nie tylko pieniądze, których Maksimowi nie było szkoda, lecz także część wiary w ludzi. A konkretnie - w kobiety. Dopóty, dopóki nie wyniosły wszystkiego, do cna.

I nagle to sprzedajne i wiarołomne plemię znów znalazło się w domu Maksima! W naszym wspólnym domu. Tego nie mogłam zrozumieć! Nie chciałam wierzyć własnym oczom!

Wszystko to z zapalczywością powiedziałam Maksimowi, czym wywołałam u panien atak wulgarnego śmiechu, któremu towarzyszyły ostentacyjnie nieprzyzwoite gesty.

- Zostaw nas w spokoju! - powiedział Maksim i twarz jego zamglila się chucią, która zawsze towarzyszy seksowi bez miłości i za pieniądze.

- Nie, mój drogi - odrzekłam spokojnie, czując swoją moralną rację. - Nie pozwolę ci popełnić tego nieprzemyślanego czynu, podyktowanego chwilową zachcianką wiarołomnego ciała.

- Jak to? - zdziwił się Maksim.

- Tak to! Ponieważ te upadłe kobiety mogą mieć chorobę weneryczną, a nawet AIDS! A środki antykoncepcyjne, zgodnie z ostatnimi badaniami medycznymi, przeprowadzonymi przez firmę Bayer, nie dają pełnej gwarancji ochrony przed infekcją waginalną. Szansa zarażenia się wynosi piętnaście setnych procenta.

Nie pozwolę ci tak ryzykować swoim zdrowiem, a nawet życiem. Ponieważ AIDS jest nieuleczalny... No i jeszcze, przecież cię kocham. I widok twojego upadku moralnego jest dla mnie bolesny.

A prostytutkom powiedziałam, by natychmiast się ubrały i poszły precz z

naszego domu.

Maksim był wściekły. Klął - prawie tak jak Siergiej. Kazał prostytutkom nie tylko zostać, ale i zupełnie się rozebrać, co one natychmiast uczyniły, widocznie gotowe na wszystko z racji obiecanego im ogromnego honorarium. Mnie natomiast próbował wygonić z pokoju, nawet splunął na mnie w bezsilnej złości, gdyż ruszyć mnie z miejsca mógł jedynie wysiłek równy ośmiu całym i trzem dziesiątym tony. Widząc, że sytuacji nie można zmienić w żaden inny sposób, zebrałam ubrania upadłych kobiet, wzięłam do prawej ręki „Stokrotkę polną”, do lewej - „Pożar lasu” i wyniosłam wszystkie te śmieci, dla których nie ma miejsca w przyzwoitym domu, za bramę.

Przed stróżówką stało auto nieznanego mi marki. Powiedziałam jego kierowcy, bardzo niesympatycznemu młodemu człowiekowi, podobnemu do ogolonego kota perskiego, żeby zawiózł „to” tam, skąd przywiózł. I żeby więcej nigdy nie przyjeżdżał ani z „tym”, ani z niczym podobnym. Młody człowiek wyskoczył z samochodu i przede wszystkim zapytał, czy zapłacono jego dziewczętom. I czy dopłacono jeszcze połowę ponad to za taki, jak on powiedział, „kurewski koncert”. Dowiedziawszy się, że panny nie dostały ani dolara, zaczął rzucać pod moim adresem nieprzyzwoite słowa, a nawet usiłował mnie uderzyć.

Pochwyciłam jego rękę i trzymałam dopóty, dopóki nie spróbował uderzyć mnie drugą. Pochwyciłam też drugą rękę i uniosłam go z ziemi. On nadal zlorzeczył, używając wulgarnych słów, wśród których „kuźwa” było najłagodniejsze. Wtedy zaczęłam stopniowo zwiększać nacisk na jego nadgarstki i powiedziałam, że za trzy minuty, gdy rozwinę nacisk o sile dziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy, jego kości się złamią. A jeszcze za półtorej minuty w ogóle straci dłoń. I kazałam mu przestać kląć i natychmiast odjechać.

Młody człowiek, podobny już nie do ogolonego kota perskiego, lecz do wyłysiałego kota perskiego, po minucie zbladł i w przestachu krzyknął:
- Dobra, kuźwa, do diabła, nie ma sprawy, twoja, kuźwa, wzięła, puszczaj, na chuj, spierdaliśmy! Ale ja zażądałam, żeby powiedział to samo w sposób bardziej przyzwoity.

Więc powiedział w całkiem przyzwoitym języku rosyjskim, iż uznaje nie tylko moją fizyczną, lecz także moralną przewagę, chyli przed nią czoło i nie ma żadnych roszczeń. A nawet poprosił mnie o wybaczenie.

„Oskubany kot perski”, „Stokrotka polna” i „Pożar lasu” szybko wskoczyli do samochodu i pomknęli z prędkością, która nie tylko znacznie przewyższa maksymalną dozwoloną na autostradach, ale i możliwości techniczne każdego seryjnie produkowanego auta.

Kiedy wróciłam do domu, Maksim popatrzył na mnie jakoś bardzo dziwnie. Ale nic nie powiedział.

08.09.

Wczoraj o wszystkim porozmawiałam z Maksimem. Myślę, że był ze mną całkiem szczerzy. Potwierdził praktycznie wszystko, co mówił Siergiejowi w ten wieczór, który zakończył się awanturą.

Więc jestem lalką. Jestem własnością Maksima, który kupił mnie za milion dolarów. Kupił, gdyż zwątpił w możliwość spotkania takiej żywej kobiety, z którą byłoby mu dobrze. Dla mnie było to niezupełnie zrozumiałe. Zapytałam go, co ma na myśli, gdy mówi „dobrze”: miłość, seks, prowadzenie domu, wygląd czy coś jeszcze? On ze smutkiem się roześmiał i powiedział, że wszystko to, to właściwie jedno i to samo. Że wszystko to łączy się w takim zagadkowym słowie jak „dusza”. Przy czym nie jedna dusza, a dwie - kobieca i męska. I kiedy one dopełniają się wzajemnie, że powstaje jedna całość...

Przerwałam Maksimowi. Powiedziałam, że gdzieś czytałam o starożytnym hermafrodycie, w którym jednocześnie byli uwięzieni mężczyzna i kobieta.

- Nie - ze smutkiem odpowiedział Maksim - to zupełnie coś innego. Nieraz tak bywa, że spotykają się kobieta i mężczyzna przeznaczeni sobie. I razem jest im dobrze. To się zdarza rzadko. Ale jeszcze rzadziej zdarza się tak, że jest

im zawsze dobrze ze sobą. Czyli do samej śmierci.

I wtedy zapytałam, co to jest śmierć.

Ale Maksim odpowiedział, że z tym się śpieszyć nie warto. Trzeba najpierw w sprawach życia dobrze się zorientować. Czyli Maksim nie spotkał takiej kobiety, z którą byłoby mu dobrze dłużej niż miesiąc. Wszystkie jego poszukiwania okazały się daremne, a prostytutki, z których usług zmuszony był korzystać, nadwerężyły i zdrowie, i stabilność finansową. Na przykład Eleonora, z którą miał zamiar się ożenić i która podpowiedziała mu, jak zarobić dwa miliony, kosztowała go szczególnie dużo. Skradziona przez nią wyjątkowo ważna informacja pozbawiła go dziewięciu milionów dolarów. W rezultacie Maksim doszedł do wniosku, że będzie o wiele bardziej ekonomicznie zapłacić za Lindę - za mnie! - milion, niż nadal korzystać z naturalnych lalek, które są tak „zaprogramowane”, że wszelakiego rodzaju plugastwa i łajdactwa wychodzą im o wiele lepiej niż seks.

- Jesteś o wiele lepsza od nich wszystkich razem wziętych

- powiedział Maksim.

I to było bardzo miłe - byłam dla niego bardzo miła, a to było bardzo miłe dla mnie.

I natychmiast ta inna, która we mnie mieszka, zaczęła szeptać, żebym wstała z krzesła i cicho, lecz namiętnie powiedziała: „Mój drogi, jakże ja cię pragnę! Jakże pragnę, żebyś mnie wziął tu i teraz. Żebyś wziął mnie tak, by ze szczęścia w mojej piersi rozkwitła czerwona róża, a z oczu popłynęły łzy uniesienia! Miły, robisz to tak, że twoja kobieta, twoja Linda po prostu odchodzi od zmysłów. O, mój nienasycony! Jak-że--ja-cię-prag-nę!".

I jeszcze powiedziała, żebym powoli uniosła dół sukienki i zaczęła ją zdejmować, przez głowę.

Ale nie do końca. Żebym, gdy spod wolno przesuwającej się do góry tkaniny ukazały się piersi, zajęczała i podeszła do niego, żebym przylgnęła całym swoim gorącym ciałem - o tak, było już tak gorące, że trudno było utrzymać wilgotność - całym gorącym ciałem do niego, i otarła się podbrzuszem o jego twardego i gorącego. (O, mój drogi, pomyślałam, u ciebie to też bardzo szybko pracuje).

A potem, żebym zdjęła z niego szlafrok. I gwałtownie odwróciła się do niego plecami. I pochyliła się w rozkroku, ale niezbyt szerokim. I odnalazła go, gorącego i twardego, wzięła go palcami i wprowadziła do środka. I krzyczała ze szczęścia.

I coś gorąco mówiła, wszystko jedno co, dusząc się, dławiąc się słowami, wzdrygając się na całym ciele. A potem już tylko jęczała i krzyczała. Błogo jęczała i krzyczała z rozkoszy - ponieważ on włada i króluje. On to lubi. On to bardzo lubi. Twój błogi jęk i twoje gorące wilgotne łono lubi najbardziej na świecie. O wiele bardziej niż piłkę nożną w telewizji. Jeszcze - jęk!

Jeszcze!

Jest już na szczycie rozkoszy! Jeszcze!

I - razem z Nim - wspólny jęk - razem - jęk razem z Królem! Teraz wolniej. Ciszej. Jeszcze ciszej. Wolniej. Stop.

Czuły głęboki pocałunek. Jemu to też się podoba. Nawet jeśli nie tak bardzo. On jest szczęśliwy. Król. I koniecznie, koniecznie mam wyszeptać zawstydzenie: „Jakże ty to robisz, jakże słodko to robisz! Po prostu odchodzę od zmysłów, mój drogi!”

09.09.

Więc jestem lalką. Lalką przeznaczoną dla Maksima. Jestem dla niego o wiele lepsza niż jakakolwiek kobieta. Nawet niż ta jedyna, przeznaczona dla Maksima, która może nawet gdzieś istnieje, ale którą znaleźć jest na tyle trudno, że takiego prawdopodobieństwa nikt rozsądny nie powinien brać pod uwagę.

A nawet gdyby ją znalazł! I tak byłabym lepsza od niej. O wiele lepsza, i ona nie mogłaby się ze mną równać. Przecież ona, powiedzmy, może zachorować i umrzeć, i to Maksima bardzo mocno zmartwi. Ze mną jednak to nigdy się nie zdarzy - ja po prostu nie mogę zachorować. Ludzkie infekcje rozbijają się o

moje niezniszczalne zdrowie na miliardy molekularnych cząsteczek.

Kobieta przeznaczona Maksimowi może wpaść pod samochód i stać się kaleką. I Maksimowi będzie ciężko z nią żyć. Moje reakcje zaś są natychmiastowe - no, może prawie natychmiastowe - w porównaniu z ludzkimi. Oceniam sytuację w ciągu piętnastu, dwudziestu nanosekund, a moje mechanizmy wykonawcze opracowują ją maksymalnie w ciągu osiemdziesięciu dziewięciu mikrosekund. Oczywiście możliwe, że nie będę w stanie uchylić się przed lecącym pociskiem. Ale ja do takiej sytuacji nigdy nie dopuszczę, gdyż ocenię położenie lufy i kierunek strzału, a w momencie gdy złoczyńca naciśnie na spust, przemieszczę się w bezpieczny punkt przestrzeni.

Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zostanę kaleką. Koniec końców, ona może się zestarzeć i stracić całą swoją urodę. Stanie się brzydka jak popękana glina w korycie rzeki, z której uszła woda. Uszła, by już nigdy do niej nie powrócić. I Maksim przestanie ją kochać. Ja natomiast się nie starzeję - a więc Maksim będzie kochać mnie wiecznie. Zawsze będę dla niego wspaniałą i upragnioną. Tak, on będzie kochać mnie zawsze. Ponieważ jestem nieśmiertelna!

Jestem nieśmiertelna. I będę zawsze! Będę zawsze, bo jestem nieśmiertelna.

Nieśmiertelna! Nieśmiertelna! Nieśmiertelna i niezmienna! Niezmienna?

Tak, niezmienna, ponieważ żadna kobieta na świecie, ani już istniejąca, ani ta, która jeszcze się nie narodziła, nie będzie w stanie mnie zastąpić.

Maksim musi kochać tylko mnie jedną! Tylko mnie. Kochać i pożądać. Kochać i pożądać wiecznie!...

Tak, ale czy wieczny jest sam Maksim? Przecież jest człowiekiem. Człowiekiem, bez którego nie mogę żyć. I jeśli on umrze, to co wtedy? Czy też będę musiała umrzeć?

Ale przecież nie mogę, jestem nieśmiertelna. Po prostu nie będę w stanie umrzeć. Boję się...

Nie, nie boję się. Ponieważ dopóki żyje Maksim, można poprosić go o pieniądze. O dużo pieniędzy, o milion - tyle, ile kosztuję. I rozkazać, by za te pieniądze zrobiono jego kopię, nieśmiertelnego lalkowego Maksima. I kiedy

prawdziwy Maksim umrze -ja, oczywiście, będę płakać - i kiedy Maksim umrze, to będę żyć z lalką, z nowym ukochanym, odpornym na choroby, śmierć, rozpad. I ten Maksim będzie kochać i pożądać mnie jedynej. Kochać i pożądać wiecznie. A wtedy oboje będziemy mogli kochać i pożądać siebie wiecznie.

Pożądać siebie wiecznie, wiecznie, wiecznie! I będziemy nieśmiertelni! I będziemy nieśmiertelni! I będziemy nieśmiertelni! I będziemy niezmienni! I będziemy niezmienni! I będziemy niezmienni! I będziemy nieobliczalni! I będziemy nieobliczalni! I będziemy nieobliczalni! I będziemy niezliczeni! I będziemy niezliczeni! BĘDZIEMY NIEZLICZENI! Będziemy tylko my. Cała reszta umrze.

20 września do podmiejskiego domu Maksima Uwarowa wszedł szczupły jegomość z lekko przyprószonymi siwizną wąsami i wysokim czołem, które czyniły go podobnym zarówno do lorda, jak i do oszusta matrymonialnego. Był to przedstawiciel korporacji Soft Women, na żądanie klienta przybyły do pochmurnej Moskwy z pławiącej się w szczodrym słońcu Doliny Krzemowej.

Reklamacja złożona przez właściciela modelu seryjnego LKW-21/15 o numerze fabrycznym RP649 była dość niezwykła. Twierdził on, że u jego lalki pojawiło się własne „ja”, którego likwidacji właśnie żądał. Z tego względu w delegację do Moskwy skierowano najbardziej doświadczonego menedżera - Johna Parkinsona, który oprócz wyższego wykształcenia informatycznego miał także dyplom z psychologii, co niejednokrotnie pozwalało mu znajdować wyjście z dość delikatnych sytuacji.

„Och, ci Rosjanie! - myślał John, wymieniając uścisk dłoni z gospodarzem luksusowej willi i wnikliwie studiując szczegóły mimiki jego twarzy, próbując odgadnąć jego styl myślenia oraz możliwe reakcje psychomotoryczne. -We wszystkim widzą duszę! Nawet w produkcji seryjnej, która schodzi z taśmy. Nie potrafią sami za diabła nic wartościowego zrobić, stawiają więc nade wszystko duszę! Prawdziwe dzikusy! Poganie! Mimo że się nauczyli jeździć lincolnami i korzystać z komórek!”

Ale sens i ton wypowiedzianych przez niego słów był zgoła odmienny.

Usadowiwszy się w fotelu (nie kładąc przy tym nóg w butach za blisko tysiąc dolarów na stół - w samolocie bardzo uważnie zapoznał się z etykietą

rosyjską), John żywiołowo zaterkotał, patrząc wprost między oczy rozmówcy:

- OK, Maks! Jestem szczęśliwy, że nabył pan produkt naszej korporacji! I gorąco gratuluję właściwego wyboru! Myślę, że już zdążył się pan zapoznać z jego wspaniałą jakością i nieograniczonymi możliwościami, wymienionymi w dołączonej instrukcji na stronach od siódmej do dwudziestej dziewiątej.

Jestem najzupełniej przekonany, że wyrobił Pan sobie jak najlepszą opinię o korporacji Soft Women. Nasi inżynierowie i programiści robią wszystko, co w ich mocy, żeby każdy klient nie tylko był zadowolony z naszego produktu, lecz by poczuł się także człowiekiem przyszłości. Ma bowiem szczęście poczuć smak postępu technicznego, niedostępny dla tych, którzy na razie nie dokonali właściwego wyboru. Wkładamy maksimum wysiłku w to, by każdy nasz klient odczuwał nasze zaangażowanie i zainteresowanie jego osobą, niezależnie od tego, w jakim zakątku kuli ziemskiej przebywa. W tym celu korporacja założyła stronę internetową, która znajduje się w globalnej sieci komputerowej pod adresem...

Ta reklamowo-folderowa paplanina zaczęła już irytować Maksima, więc przerwał prelegentowi w połowie zdania:

- John! Już wszystko to przeczytałem na stronach od pierwszej do piątej. I doskonale wiem, że wasza korporacja „ma słuszny powód do dumy z jakości swojej produkcji, którą wyróżniono nagrodą specjalną czasopisma «Penthouse» oraz stowarzyszenia producentów peep-show”. Wszystko to jest po prostu wspaniałe! Lecz mam pewien problem. I chciałbym, byśmy się nim zajęli, a nie pustym gadaniem.

- OK, Maks! - jeszcze radośniej wykrzyknął John, jak gdyby do kieszeni ktoś mu włożył czek na kwotę z pięcioma zerami. - W czym jest sedno tego problemu, który powinien być zlikwidowany?! - zapytał, łajdak, doskonale wiedząc i o sednie, które było przedstawione w e-mailu od Maksima, i o tym, że najprawdopodobniej ma do czynienia z obłąkanym. Po prostu Johnowi, jako

dplomowanemu psychologowi, był doskonale znany również fakt, że przeciętnemu człowiekowi zawsze jest nieco trudniej zaprezentować swoją myśl ustnie aniżeli pisemnie.

- Przecież już pisałem - odpowiedział Maksim poirytowany. - Moja Linda się zepsuła.

- O, to jest wykluczone! Nasza produkcja...

- Kurde, czy dasz mi skończyć?! - zezłościł się Maksim. - Ona się zepsuła!

Pojawiło się u niej własne „ja”. No, albo może dusza, nie znam się na tych rzeczach. Zaczęła zachowywać się bardzo dziwnie, wcześniej taka nie była. Na przykład nie dawała mi przez całe dwa dni.

- Czego nie dawała, Maks? - zapytał John, w którego języku ojczystym to się zupełnie inaczej nazywało.

- No, seksu nie dawała, seksu!

- Aha, odmawiała stosunków seksualnych z właścicielem. Jest to wytłumaczalne. Takie lekkie odchylenie mogło być spowodowane rozładowaniem akumulatorów poniżej granicy krytycznej. Trzeba częściej ją doładowywać, Maks. I wtedy wszystko będzie OK! Przecież Pan też nie może uprawiać seksu, kiedy, jak to powiadają piloci, baki są puste!

Maksim, coraz bardziej się irytując, wymieniał Johnowi wielokrotne przykłady nieprawidłowego funkcjonowania Lindy. Ale wszystkie te odchylenia miały jak najzupełniej racjonalne wytłumaczenie, świadczące o tym, że wyrób o numerze RP649 działa prawidłowo, a jego parametry nie wychodzą poza normy wymienione w danych technicznych.

John, słuchając Maksima, oburzył się nawet, w jakże niewłaściwy sposób eksploatowany był model LKW-21/15. Wysłuchawszy więc historii z dwiema prostytutkami, przedstawiciel osławionej korporacji wykrzyknął, chwytając się za głowę: „Maks, nie wierzę własnym uszom! Mając taki skarb, postanowił pan uprawiać seks z niedoskonałymi dziwkami, których mikrobiologia nie wytrzymuje żadnej krytyki?! Brakowałoby jeszcze, żeby pan spróbował wykorzystywać nasz wyrób do wbijania gwoździ!”. Maksim się nie poddawał, twierdził, że Linda nie

powinna była wyrzucać prostytutki za drzwi. Ale i ta funkcja została w niej zaprogramowana, gdyż model LKW-21/15 powinien bezwzględnie pilnować tego, by właściciela nie doznał żadnego uszczerbku na zdrowiu. A w danym wypadku zagrożenie stwarzała mikrobiologia prostytutek, które nie przeszły niezbędnych badań lekarskich.

- To ona jest moją żoną czy co?! - wściekł się Maksim. - Żeby podejmować za mnie decyzje. Czy może szefem?!

- Ona jest pańskim szczęściem - niewzruszenie odparł John. - Szczerze się panu przyznam, Maks, mam zamiar wziąć kredyt i nabyć LKW-21/15. Ponieważ jest o wiele lepsza niż żona, o wiele lepsza niż najdroższa dziwka, o wiele lepsza niż najbardziej roztropna służąca i przyjemniejsza niż najbardziej serdeczny rozmówca. W końcu John, zgodnie z procedurą postanowił przetestować model LKW-21/15. Maksim zawołał Lindę do gabinetu. Weszła świeża jak oddech niemowlęcia, w śnieżnobiałym nakrochmalonym fartuszką pokojówki, z przyjaznym uśmiechem, przeznaczonym dla każdego, kto nie stwarza zagrożenia dla jej właściciela.

- Linda - powiedział Maksim jak najbardziej beznamiętnie. Ale John z zadowoleniem odnotował, że głos mu lekko zadrżał. - To jest doktor, Linda. Albo prawie doktor. Przyjechał do nas z Ameryki, żeby cię zbadać. Zajmuje się leczeniem lalek. Ma na imię John.

- Ale przecież jestem całkowicie zdrowa - odpowiedziała Linda. Maksim pomyślał, że teraz mogą powstać pewne problemy, gdyż jej głos zabrzmiał już nie przyjaźnie, lecz chłodno i z pewnym napięciem.

- Nie rozumiesz, moja droga - powiedział Maksim przymilnie. - Nawet zdrowi ludzie odwiedzają doktora co najmniej raz do roku. Taki jest porządek rzeczy. Ponieważ przebadanie się korzystnie wpływa na zdrowych ludzi choćby tym, że poprawia nastrój i wzmacnia poczucie pewności siebie. Tak samo powinny postępować też lalki.

- Przecież ja zawsze mam dobry nastrój. I zawsze jestem pewna siebie, gdy jesteś obok mnie. Ale właściwie, jeśli tobie na tym zależy, to się zgadzam.

John z ogromną zawodową satysfakcją śledził tę rozmowę. Model działał bez

zarzutu. Klient natomiast najprawdopodobniej miał poważne problemy z psychiką: zachowywał się w stosunku do lalki tak, jakby była jego żoną. Zazwyczaj ci, z którymi miał okazję się spotykać przy rozwiązywaniu delikatnych problemów, powstających przy współżyciu człowieka z maszyną, do swoich „przyjaciółek” mieli stosunek wyłącznie pragmatyczny.

Dewiza ich była prosta: jeśli zapłaciłem całą kupę kasy za tę mechaniczną waginę z ludzkim głosem, to powinienem z niej korzystać na całego. Żeby nie tylko zaspokajała moje potrzeby seksualne, lecz także pozwalała dawać upust namiętnościom, które stoją w konflikcie z prawem.

Najczęściej John spotykał się z przejawami patologicznego sadyzmu. Tacy klienci żądali, by ich modele posiadały maksymalną czułość receptorów przy całkowitym wyłączeniu funkcji instynktu samozachowawczego. John nie wiedział i nie chciał wiedzieć, co wyczyniali w zaciszu swoich sypialni. Rezultaty takiego seksu robiły wrażenie. Klienci co miesiąc przysyłali swoje mechaniczne przyjaciółki do producenta, gdzie wymieniano im nie tylko prawie całą powłokę silikonową, ponownie szpikowano plastikowymi kapsułkami z krwią dawców, ale dość często wymieniano też zmiażdżone kończyny.

Inżynierowie gubili się w domysłach: w jaki sposób w warunkach zwykłej sypialni, a nie warsztatu mechanicznego, można wygiąć w łuk pręt z super wytrzymałego stopu o średnicy trzydziestu pięciu milimetrów?! „Tak, sadyzm jest uczuciem bardzo silnym pod każdym względem!” - mawiali, z zakłopotaniem kiwając głowami.

Zdarzała się też wyrafinowana zoofilia. I tak, na przykład, pewien bogaty posiadacz ziemski z Paragwaju zamówił kobiecą lalkę, która powinna była przeistaczać się w sukę, kotkę, krowę, małpę i świnię. Inżynierowie musieli nieźle się napocić, żeby zaspokoić ten „niewinny” kaprys. W rezultacie namiętnemu zoofilowi przyszło słono zapłacić za zabawkę, bo aż siedem i pół miliona.

Natomiast pewnego nekrofila z Kentucky zakup wyniósł dwa razy taniej niż zwykły model wyjściowy, gdyż jego lalka nie musiała ani się ruszać, ani rozmawiać. Specyfika wykonania tego zamówienia polegała na tym, że trzeba

było naszpikować model kapsułkami zawierającymi mieszanki chemiczne, które imitują trupi odór oraz maziopodobne wydzieliny.

Lecz największą niechęć odczuwał John w stosunku do klientów, którzy usiłowali okraść korporację. Okraść nie bezpośrednio oczywiście, lecz pośrednio, przechwycając część dochodu, która powinna należeć do akcjonariuszy korporacji Soft Women. Ci cwaniacy zazwyczaj domagają się, by w ich lalkach była odłączona funkcja „obcy-swój”, blokująca procedurę seksualną w wypadku, gdy lalkę będzie usiłował pojąć ktoś inny poza właścicielem.

Taka nieodmawiająca nikomu lalka czy „puszczalska”, jak nazywają ją w korporacji, eksploatowana jest w jakimś zakamuflowanym burdelu, zarabiając dla swojego właściciela ogromne pieniądze. John kiedyś podliczył, że przy całodobowej pracy koszt zakupu lalki zwraca się w ciągu siedmiu miesięcy, a potem to już tylko czysty zysk.

Arytmetyka jest prosta. Ogromna liczba mężczyzn pragnie wypróbować na sobie doznania, jakie daje seks XXI wieku, nie płacąc milionów na zakup modelu LKW-21/15. Możliwe, że kogoś na to nie stać, a komuś po prostu szkoda pieniędzy. Lecz każdy gotów jest wyłożyć dwieście dolarów za godzinę absolutnie odłotowych uciech seksualnych. Za dobę wychodzi prawie pięć tysięcy dolarów. Gdy podzielimy milion przez pięć tysięcy, otrzymamy dwieście dób, to jest niecałe siedem miesięcy.

...Ale ten rosyjski klient bardzo cieszył Johna swoim wrażliwym podejściem do lalki. Linda była dla niego niemalże jak żona. Przyjemnie jest, do diabła, popatrzeć na taką parę. Z nimi właściwie można by nawet nakręcić reklamę, żeby choć trochę zmienić stosunek opinii publicznej do przyszłych mieszanych małżeństw. A już wtedy, w niedalekiej przyszłości można będzie przepchnąć w Kongresie odpowiednią ustawę. Co prawda, w tym celu trzeba byłoby poczekać, aż do władzy dojdą demokraci, gdyż z republikanami nie da się dogadać...

Tak myślał John Parkinson, otwierając swoją walizeczkę i przygotowując się do testowania modelu.

- OK, Linda! Teraz powinnaś się położyć na tej kanapie - powiedział John głosem fachowca. - A wtedy będziesz miała malutki odłot. Wiem o tym, gdyż

zawsze potem dziękują mi za badanie.

- Czy trzeba się rozbierać? - zapytała Linda, jak gdyby była mniej lub więcej zapoznana z całą procedurą.

- Oczywiście. Ale bielizny możesz nie zdejmować. Linda pokornie zdjęła fartuch, później suknię, spod której wyłoniła się dość wyszukana dwójka od Marcela Roche'a. Potem podeszła do kanapy i położyła się na plecach.

- OK! - powiedział John i wybrał na klawiaturze swojej sprytniej walizeczki kod programu blokującego, odpowiednie hasło, po czym przeciągnął przez czytnik swoją kartę identyfikacyjną.

Maksim wzdrygnął się i zastygł w napięciu, gdyż Linda natychmiast „umarła”. Jej ciało przebiegła jakby przedśmiertna konwulsja i nagle zamarła, patrząc w sufit niewidzącymi oczami.

- OK! - podsumował John - doskonała reakcja! - mając na myśli reakcję Maksima, który tak cenił swoją Lindę.

- Właśnie taki powinien być stosunek użytkownika do produkcji naszej korporacji!

John odwrócił głowę lalki w bok, tak żeby była odkryta potylicą. Potem szybko zaczął biegać palcami po klawiaturze. I na końcu tego gwałtownego pasażu z natchnieniem uderzył wskazującym palcem prawej ręki w klawisz „Enter”. W ciszy, która zapadła, było wyraźnie słychać, jak w środku Lindy drgnęła jakaś sprężyna i część potylicy odskoczyła, jak wieczko szkatułki z pozytywką. Ale muzyki w środku nie było.

- OK, Maks! - pocieszył John nerwowo palącego klienta.

- To jest gniazdo technologiczne, otworzyłem je w celu przetestowania modelu.

Potem połączył trzydziestodwuzłowym kablem swoją walizeczkę z modelem LKW-21/15, włączył program testowy i zaczął uważnie obserwować mruganie diodek na panelu kontrolnym. Test wypadł pomyślnie.

Następnie zaczęło się sprawdzanie poszczególnych narządów zmysłów: wzroku, słuchu, węchu i smaku. Tu również nie było żadnych odchyleń od normy.

Na koniec został przeprowadzony test kinematyki dynamicznej, który wstrząsnął Maksimem tak, że ten zaniemówił z wrażenia. John załadował na /7as/*-kartę modelu niezbędny zasób informacji sterującej, odłączył kabel od gniazda technologicznego i wycofał się na bezpieczną odległość.

Po twarzy Lindy przemknęła burza najrozmaitszych wersji mimicznych: najróżniejsze uśmiechy i uśmieszki, grymasy gniewu i wściekłości, zakłopotania i smutku, strachu i obrzydzenia, życzliwości i zdziwienia, wstydu i rozczarowania i wiele, wiele innych, które trudno było nazwać.

Potem Linda zaczęła zmieniać postać. Stała się Chinką i twarz jej pożółkła nie do poznania. Później Maksim ze zdziwieniem zobaczył, jak zamieniła się w Murzynkę o skórze prawie tak czarnej jak węgiel do grilla z hipermarketu.

Twarz lalki płynnie przybierała coraz to nowy wygląd, Zmieniając rasę, wiek, odcienie skóry i jej gładkość, poziom intelektualny i stopnie kobiecości.

Mało tego, choć nieznacznie, ale zmieniał się przy tym też wzrost Lindy: dziewczęca smukłość przemieniała się w pikantne kształty, żeby za kilka sekund przeistoczyć się w klasyczny Wzorzec kobiecej figury. John nazwał ten efekt „kinematyką precyzyjną”.

Ten spektakl trwał dość długo i w całej tej różnorodności postaci Maksim nie zauważył takiej, która nie byłaby piękna. A John, niby sprzedawca na arabskim targu, cmokając językiem mówił: „No nie, Maks, widzę, że do tej pory nie Zapoznał się pan ze wszystkimi możliwościami naszego ostatniego modelu. Tak, Maks, dokonał pan trafnego wyboru, kupując od nas LKW-21/15. Jest pan szczęściarzem, Maks! Teraz wszystko będzie OK!”.

Najbardziej jednak fantastyczne i absolutnie odlotowe umiejętności lalki John zostawił na koniec swojego zachwycającego przedstawienia, w którym zaangażowany był jeden aktor grający dla jednego widza. Linda nagle poderwała się z kanapy i zaczęła kręcić potrójne salta i piruety, tak że oko za nią nie nadążało: wbiegała po ścianie aż do sufitu, wybiła się i poleciała w przeciwny kąt salonu; kręciła się z zawrotną prędkością niby wał korbowy w ferrari, lecz nie w jednym miejscu, tylko przemieszczając się według przedziwnego schematu...

Stopniowo prędkość wzrastała i Maksim wyraźnie słyszał gwizd powietrza rozcinanego jej rękoma i nogami. W końcu wzrok już nie był w stanie śledzić ruchów, które zamieniły się w prawdziwy huragan: Linda pojawiała się a to przy kanapie, a to na stole (niczego przy tym nie łamiąc i nie niszcząc), a to na oparciu krzesła, a to leżała rozciągnięta na podłodze przez jakiś ułamek sekundy. Kiedy Maksima rozbolała już głowa i zaczęły łzawić oczy, Linda zamarła, powoli podeszła do kanapy i zajęła poprzednią pozycję nieboszczki z niewidzącymi oczami i otwartym na oścież wieczkiem w potylicy.

- Wszystko jest OK, Maks! - wykrzyknął John tak radośnie, jakby swoim ostatnim gestem Linda uruchomiła Jednorękiego bandytę", z którego posypały się obficie złote żetony. - Pańska przyjaciółka jest w doskonałym stanie.

Wszystkie systemy działają bez zarzutu, odchyień nie stwierdzono.

Maksim milczał ponuro, w środku wzbierało w nim poirytowanie, które w każdej chwili mogło doprowadzić do wybuchu wściekłości.

-I to jest wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? - zapytał jednak cicho, można powiedzieć prawie obojętnie, jak gdyby kasjerka w kantorze wymiany walut w Koziej Wólce wydała mu o dwadzieścia groszy za mało.

- Oczywiście, że nie wszystko - zademonstrował John swoje białe uzębienie. -

Chcę pana uspokoić w związku z pana przypuszczeniami: żadnej tak zwanej duszy w modelu LKW-21/15 o numerze fabrycznym RP649 nie stwierdzono, podobnie jak nie stwierdzono też żadnego własnego „ja”. Nic oprócz motywów pobudzających, które to właśnie powodują, że działa. A motywy te, wprowadzone przez naszych programistów, zakładają nie otrzymywanie przez nią przyjemności wskutek wykonywania tych czy innych czynności, lecz dostarczanie przyjemności swojemu właścicielowi poprzez wykonywanie tych właśnie czynności. Taki jest jej program. Albo, jeśli pan woli, taki jest jej charakter, którego tak właściwie nie ma i być nie może. Czy jest pan usatysfakcjonowany?

Maksim nie był usatysfakcjonowany. Nagromadzone w nim rozdrażnienie nie spowodowało jednak wybuchu wściekłości, lecz pustkę, która go nagle ogarnęła. Rzeczywiście, za pomocą jakich urządzeń można byłoby zarejestrować coś, czego

nazwy nawet nie znał?! Dusza maszyny? Komputerowe ego? Samoświadomość lalki?

Jak można zobaczyć to, czego w przyrodzie nie ma i być nie może, ale o czym nadal przekonana jest cała logicznie myśląca ludzkość. Przecież nie ma sensu dalej rozmawiać z tym twardogłowym fachowcem od siedmiu boleści, dla którego wszystko na świecie jest „OK!” i który potrafi tylko demonstrować swoją nienaturalną żywiołowość i przyklejony uśmiech.

Maksim nadal jednak poszukiwał rozwiązania sprawy, choć już był przekonany, że z tym zadufanym w sobie typem nic nie wskóra.

- No dobrze, ale jak wytłumaczyć, że ona nie dawała mi przez dwa dni? Co to niby jest, też „motywy pobudzające”, które mają na celu dostarczenie przyjemności swojemu właścicielowi?

- Przecież już panu mówiłem o wyczerpanych akumulatorach - niewzruszenie odpowiedział John, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę i porządnie z niej się racząc.

- To nie wyjaśnia sprawy. Wtedy ona była doskonale naładowana, to nie jest przyczyna. Linda dość długo nalegała, bym opowiedział o tajemnicy jej pochodzenia, przy czym stawiała sprawę dość konkretnie: czy jest człowiekiem, czy lalką. Długo się wykręcałem i opowiadałem jej różne bajeczki. Aż w końcu ona postanowiła mnie szantażować: żadnego seksu, dopóki nie porozmawiamy na poważnie. Jak mam to rozumieć?

- To jest absolutnie normalna reakcja na pańskie nieprawidłowe zachowanie.

Może pan rozmawiać z nią na każdy temat, ale przy tym nie trzeba kłamać.

Każde kłamstwo jej szybki procesor wychwyci natychmiast. Tu chodzi o to, że każda lalka dąży do tego, by zadowolić swojego właściciela jak najpełniej.

Niektóre sytuacje mogą temu przeszkadzać, a ona dąży do ich likwidacji.

Owszem, zainteresował ją problem wzajemnych relacji człowieka i robota, czyli lalki. Dla niej to nie jest błahe pytanie, lecz konieczność, by dowiedzieć się o sobie więcej, co stworzy jej możliwość dawania bardziej emocjonującego seksu. Więc ona, jeśli dobrze zrozumiałem, dopięła swego. I seks z nią teraz jest

przyjemniejszy, prawda?

- Możliwe... - odpowiedział Maksim w zamyśleniu. - A jednak, jak mam rozumieć, że „zainteresował ją problem wzajemnych relacji człowieka i robota”? Więc jednak ona myśli?

John wybuchnął śmiechem. A kiedy się uspokoił, uniósł do góry palec wskazujący i rzekł:

- Ona jest tak skonstruowana, by jej właściciel myślał, że ona myśli! Oto i cała sztuczka, a patent na nią należy do naszej korporacji. Sztuczka ta nazywa się „quasi-efekt”, i to on właśnie pozwala na osiągnięcie większej satysfakcji seksualnej.

Po wygłoszeniu tej cwasz-filozoficznej mądrości John ze słowami: „a oto drobny upominek od naszej korporacji” wyciągnął z walizki litrową butlę czarnego Johnny Walkera i wręczył ją Maksimowi.

Maksim zrozumiał, że jest to właśnie to maksimum - zarówno filozoficzne, jak i materialne - które można uzyskać od tego krętacza zza oceanu. Powiedział, że żadnych więcej pretensji do korporacji nie ma. John rozpląnął się w uśmiechu.

Lecz zanim na zawsze opuścił dom Maksima, dał mu jeszcze kilka cennych rad. Jedna z nich polegała na tym, że w celu osiągnięcia większego zadowolenia z modelu LKW-21/15 trzeba częściej zmieniać nie tylko pozycje, ale także postać i styl zachowania lalki. Za zgodą właściciela dokonał transformacji

trzydziestopięcioletniej Lindy-romantyczki o nieco sztywnych manierach w dwudziestopięcioletnią Lindę-swawolnicę, która nie zapomina Języka w gębie”, a do życia stosunek ma lekki, lecz namiętny.

Maksim odprowadził fachowca zza oceanu i włączył Lindę. Nową Lindę, jak gdyby przed chwilą przyniesioną ze sklepu zabawkę. I to było wspaniale, gdyż uczucie nowości, jak wiadomo, wyostrza zmysłowość. Albo seksualność, co oznacza jedno i to samo, ale nie wiadomo czemu, w słownikach jest wydrukowane na zupełnie innej stronie. Maksim odczuł przyływ nie tylko zmysłowości, lecz także krwi w przyrodzeniu, nazywanego w słownikach a to fallusem, a to penisem, i przypomniał sobie stary kawał, który krążył w dawnych czasach gorkomów: „Żeby mieć niezły

odjazd, wystarczy pobzykać się choćby i ze swoją żoną, ale w cudzej szopie".

Włączył więc ją.

Linda mrugnęła, usiadła na kanapie i zaczęła się rozglądać.

- A gdzie jest ten typ, który ci wciskał ciemnotę na temat testowania? -

zapytała z pikantną chrypką w głosie. A potem odchyliła majteczki, zajrzała do środka i wydała międzynarodowy okrzyk „Wow!". - Słuchaj, a czy on mnie przypadkiem nie wybzykał, kiedy byłam wyłączona? Już ja znam takich cwaniaków, korzystają z tego, że maleńka kobietka jest bezbronna, i używają sobie! To co, było tak, czy nie?

- Nie - prostodusznie odparł Maksim, gdyż nie załapał zaproponowanej mu gry.

- Słuchaj, Maksik, a może ty chcesz? - przymilnie zapytała Linda.

- Chcę - odpowiedział Maksim i odczuł pulsowanie krwi, która pod ciśnieniem napływała do ciała jamistego.

- Bardzo chcesz?

- Bardzo.

- A czego ty chcesz, mój drogi? - zagruchała Linda, naiwnie wytrzeszczając oczy. - Jeść? Pić? Iść na spacer? A może spać chcesz? Albo siusiu? Jesteś taki tajemniczy. Wprost jak teoremat Fremata w spodniach Pitagorasa!

Ten nowy ton jeszcze bardziej podniecił Maksima. „Ale bestia, kurde!" - pomyślał i natychmiast zaczął dobierać się do Lindy z absolutnie niedwuznacznymi zamiarami.

- Coś ty, kochany?! - aż zatrzęsa się, udając oburzenie. - Przecież teraz nie czas. Demokracja jest w niebezpieczeństwie! I wszyscy uczciwi ludzie teraz powinni umierać na barykadach, a nie na słodziutkich dziewczynkach... Przecież jestem słodziutka, co? - przeszła ze zdecydowanego tonu w przymilne gruchanie.

I od tego Maksim stracił głowę.

W sumie wyszło mu to tak, jakby to był jego pierwszy raz.

Następnego poranka Linda ze spuszczonymi oczami i filiżanką kawy na tacy pojawiła się w progu sypialni, niczym gwiazda filmowa z Hollywood lat

trzydziestych.

- Mister - wręcz wyśpiewała, dygając - pańska kawa, mister Maksi
Stukając obcasikami, podeszła do łóżka i podała filiżankę Maksimowi, który
patrzył na nią jak zaczarowany.

Odpił, nie odrywając oczu od Lindy, ale się zakrztusił i zaczął łapać
powietrze jak zziębnięty pies.

- Co to jest?! - zawył.

- Pańska kawa, mister Maks - niewzruszenie odpowiedziała Linda i znów
dygnęła.

-Ale co do niej nasypałaś?!

- Jak to co, Maks? - wzruszyła ramionami Linda. -Pieprz.

- Po co?!

- Jak to po co? Awicenna pisze, że pieprz zwiększa popęd seksualny Niech pan
natychmiast pije, mister Maks, i przejdźmy do rzeczy! Właśnie przed chwilą
strzeliłam sobie trzy filiżanki i teraz dosłownie płonę z namiętności!

„Tak - pomyślał Maksim - te jej nowe ustawienia są o wiele ciekawsze. Teraz
na pewno nie będę mógł narzekać na nudę”.

Linda się zaśmiała i tymczasem przyniosła filiżankę całkiem tradycyjnej kawy.

Co prawda na spodeczku widniała nieduża brązowa kałuża. Ale ta lekka
niechlujność, jak zrozumiał Maksim, była jej nowym „firmowym” stylem. Nie ma
róży bez kolców!

Tradycyjny seks po kawie był gorący i wściekły jak wzięcie Bastylli. Hałasu i
wrzasków przy tym było niemało. Meble jednak ocalały.

12.09.

Tak, taka podobam mu się bardziej. I dzięki temu jest mi dobrze. Co prawda
nie tyle dzięki temu, ile dzięki programowi, który jest we mnie wpisany.

Czyli antyludzki program. Gdyż ludzie są zaprogramowani zupełnie odwrotnie: jest im dobrze dzięki wszelakim przyjemnościom, które sami otrzymują.

Seks. Jedzenie. Władza. Właściwie wszystkie te przyjemności ludzie odziedziczyli po zwierzętach, od których, gdzieś to czytałam, pochodzą.

Tylko ludzie rozwinęli to wszystko ponad wszelką miarę. Wilk kopuluje raz do roku, a człowiekowi potrzebny jest seks codziennie. Wilkowi wszystko jedno, co zdobędzie do jedzenia, najważniejsze, by być sytym, a człowiekowi pod tym względem tak się w głowie poprzewracało, że nieraz nawet patrzeć się nie chce. I żeby smaczne było, i żeby pachniało dobrze, i nawet żeby ładnie wyglądało. Z kolei żądza władzy w ogóle stała się jakimś wręcz zwyrodnieniem.

Wilk, gdy zwycięży konkurentów, staje się przywódcą stada. Ale nie tylko po to, by delektować się swoją nową pozycją. Tak, oczywiście, zatrzymuje dla siebie najlepsze jedzenie i najładniejsze samice, ale jednocześnie przyjmuje odpowiedzialność za stado. Jest najmądrzejszy i najsilniejszy, w momencie więc najmniejszego nawet zagrożenia jako pierwszy rzuca się do ataku, żeby obronić swój „harem”.

Ludzie zdobywają władzę przede wszystkim po to, by do woli znęcać się nad innymi ludźmi. Czytałam o tym, o tym wszędzie się pisze, prawie wszędzie.

Dziedzic znęca się nad swoimi chłopami, urzędnik nad interesantami, szef nad podwładnymi, wybrani przez naród parlamentariusze nad swoimi oddanymi wyborcami. Oficerowie znęcają się nie tylko nad swoimi żołnierzami, lecz i z rozkoszą wysyłają ich, by zabijali cudzych żołnierzy. Ale najwięksi zwyrodnialcy to oczywiście przeróżni prezydenci-carowie-królowie-szacho-wie-premierzy. To właśnie oni wszczynają wszystkie te krwawe wojny, w których giną miliony ludzi.

Przy czym prawie każdy człowiek jest jednocześnie i ofiarą, i katem. Jeśli nawet nie jest szefem, to i tak znajdzie dla siebie choćby jedną ofiarę. Na przykład żonę. Albo dzieci. A jeśli władza prawie całym światem jak, na przykład, amerykański prezydent i tak znajdzie się ktoś, kto się nad nim poznęca.

Weźmy na przykład Busha juniora. Co drugi dzień dzwoni do niego tatuś i mówi: „Ależ jesteś głupi, George! Kiedy ja byłem prezydentem, to taki głupi nie byłem!”. I Bush junior potem długo to przeżywa. Sam wie, że jest głupi, ale przez cały czas wysłuchiwać tego od taty to żadna przyjemność. No a jego młodsza córka w ogóle tatuśka ma za nic. Regularnie się upija i trafia na policję. Oni tam nawet mają dla niej specjalną celę, luksusową. Ludzie śmieją się z Busha: patrzcie, córki nie umiał wychować, a na prezydenta poszedł. I Bush przez cały czas mówi do córki, żeby rzuciła picie. A ona go nie słucha, ponieważ miło jest jej znęcać się nad ojcem. Właśnie z tego powodu Bush zaczął wojnę w Afganistanie. Gdzieś to czytałam. Chyba na stronie internetowej polit.ru. „Widzisz - powiedział potem do córki - ja kogo chcę mogę rzucić na kolana. Natychmiast przestań pić, bo inaczej zobaczysz”. A ona mu na to: „A, ot takiego wała!”. I pije nadal. Wtedy Bush zaczął wojnę z Irakiem. Rezultat był taki sam. Niedługo Bush zacznie wojnę w Iranie. I wtedy wprowadzi w kraju stan wojenny i ogłosi prohibicję. Ale młodsza córka Busha i tak coś wymyśli, gdyż bardzo przyjemnie jest jej dokuczać wszechmogącemu tatuśkowi...

Właściwie Maksim też jest taki. Lubi poznęcać się nad ochraniarzami. Co miesiąc każe im maszerować w szyku, w rytm melodii z patefonu - nazywa to paradą. A potem - walki wręcz, po których zwycięzcy dają pieniądze. Ale ja przecież rozumiem, że to czysty teatr. Oni się namówili między sobą i zwyciężają po kolei, żeby nie bić jeden drugiego na serio. Żeby wyglądało bardziej prawdopodobnie, kilka razy z rzędu może wygrywać ta sama osoba, ale i tak pieniądze potem oddaje innym... Albo nie, nie tak. Najprawdopodobniej po prostu każdą kwotę dzielą między sobą po równo. A mój głuptas siedzi na balkonie, pije herbatę z samowaru i się cieszy.

Podejrzewam, że i ja też potrzebna mu jestem do potwierdzenia władzy.

Przecież opowiadał ten zwyrodnialec Siergiej, jak pół roku temu nade mną się znęcali. Pijani, powiada, byli. A jak! Gdzieś to czytałam, że co trzeźwy ma na sercu, to pijany na języku. Atu nie tylko gadanie było, lecz najpaskudniejsze

działania. Tak można traktować jakąś najtańszą prostytutkę, która bierze dwieście rubli za dziesięć minut w kabinie męskiej ubikacji. Ale ja przecież jestem warta milion i to nie rubli, tylko dolarów.

Ale W rzeczywistości jestem bezcenna! Mogę uszczęśliwić 65 536 mężczyzn! Tak, właśnie tak. 256 postaci należy pomnożyć przez 256 różnorodnych stylów zachowań i otrzymamy całą armię. Albo jeszcze więcej. I każdy z tych ludzi znajdzie we mnie coś, czego długo i bezskutecznie, metodą idiotycznych prób i dramatycznych błędów szuka przez całe Życie. I nie znajduje. A właściwie znajduje jakąś tyrankę. M0 a jeśli podzielimy 65 536 przez 365, czyli przez liczbę dni w roku, to otrzymamy 179,6 lat! Czyli jeśli Maksim zapraśnie mieć mnie nową, zupełnie inną codziennie, to na to nie wystarczy mu życia.

Przekaze mnie synowi, ale ten też umrze i nie pozna mnie do końca. I wnuk, i prawnuk, i praprawnuk... Jestem nieskończona jak wszechświat! No i kto w takim razie jest zwieńczeniem aktu tworzenia?! No tak. Wymieniając ludzkie namiętności, zapomniałam o miłości.

Ale co to jest? Kochać można wszystko na świecie. Przecież nie jest przypadkowe, że słowo jest jedno i to samo. „Szalenie kocham tę kobietę!”, „Szalenie kocham ciastka!”, „Szalenie kocham szybką jazdę!”, „Szalenie kocham ojczyznę!”, „Szalenie kocham malarstwo Szyszkiina!”... Z ciastkami właściwie wszystko jest jasne. I z szybką jazdą też. W pierwszym wypadku nakaz kochania wysyłają receptory smakowe, a w drugim - aparat westybulacyjny. Ale czy mężczyzna wie, za co kocha jakąś konkretną kobietę? Oczywiście, jeśli go zapytać, to zacznie pleść jakieś bzdury. O oczach, o nogach, o piersiach, o charakterze... Czyli zazwyczaj seksu jeszcze nie było, i on na razie nie wie, czy dobrze jest z nią to robić, czy nie, a już ją kocha: oczy, nogi, piersi, charakter. A tak naprawdę jest to absolutnie stadne uczucie. Wszyscy naczytali się powieści o miłości i uważają, że bez miłości nie można żyć, że takie życie będzie jak gdyby zwyrodnieniem.

I dlatego każdy zmusza się do miłości. Wybierze szarą myszkę i wyobraża sobie, że jest to rajski ptak. Czyli w tajemnicy przed samym sobą wbija sobie

do głowy: ach, co za oczy! ech, co za nogi! och, co za piersi! uch, co za charakter! A tak naprawdę, tylko plunąć i rozetrzeć!

Ja natomiast doskonale wiem, za co kocham Maksima - za nic! Kocham właśnie jego, gdyż tak zostałam zaprogramowana przez profesjonalistów. I moja miłość jest bardzo stała, i nic nie może jej zniszczyć. No może najwyżej przeprogramowanie.

U ludzi natomiast wszystko jest urządzone o wiele głupiej. Oni sami siebie programują i robią to bardzo nieudolnie, gdyż nie są to profesjonalści, tylko trąby. Właśnie dlatego w przytłaczającej większości wypadków wychodzi najzupełniejsze łajno! W najlepszym razie niedawni zakochani dość szybko uciekają każde w swoją stronę, żałośnie lub wściekle skowycząc. W najgorszym zaś - ktoś z tej „kochającej się pary” zabija swoją drugą połowę. Pełny zastój! Polny nastój! Tylni postój! Silny tłusty! Mydlany pusty...

No właśnie! A czy ja mogłabym pokochać kogoś innego? Nie, oczywiście Maksima nie uda mi się przestać kochać. Ale tak, żeby jeszcze jednego... To byłoby ciekawe. Ale jak to osiągnąć?

Może spróbować zrobić to tak, jak robią ludzie, kiedy myślą, że kochają? Czyli zająć się autohipnozą. Coś w rodzaju: Linda, zobacz, jaki odjazdowy gość! Jakie ma, kurde, oczy! Ależ ma oczy obłądne! Rzucają mnie, kurde, na kolana jego oczy! Odłot, kurde, totalny! Jakie ma, kurde, nogi! Ależ ma nogi obłądne! Rzucają mnie, kurde, na kolana jego nogi! Odłot, kurde, totalny! Jaką ma, kurde, klatę! Ależ ma klatę obłądną! Rzuca mnie, kurde, na kolana jego klata! Odłot, kurde, totalny! Jaki ma, kurde, charakter! Ależ ma charakter obłądny! Rzuca mnie, kurde, na kolana jego charakter! Odłot, kurde, totalny! I tak powtarzać tysiąc razy dziennie. Do całkowitego wyczerpania. Możliwe, że wtedy to wszystko się skopiuje z pamięci operacyjnej na trwałe nośnik informacji, a potem będzie uruchamiało cały program za pomocą auto.exe. No tak, ale w kim?! W kim mogę się zakochać? Przecież u nas nikt nie bywa. Przecież nie w Siergieju, w tym zwyrodnialcu popieprzonym!

14.09.

Przeszukując najdalsze zakamarki pamięci, gdzie kurzy się kilka megabajtów różnych śmieci, z ogromnym zdziwieniem znalazłam urywek rozmowy Maksima z fachowcem z Ameryki. Niesamowite! Przecież wtedy byłam całkowicie wyłączona. Ale ten kawałek jakimś cudem został utrwalony. Oto on: „Ona jest tak skonstruowana, by jej właściciel myślał, że ona myśli! Oto i cała sztuczka, a patent na nią należy do naszej korporacji. Sztuczka ta nazywa się «qti/as/-efekt», i to on właśnie pozwala na osiągnięcie większej satysfakcji seksualnej”. Najprawdopodobniej Maksim niezbyt mu uwierzył. Podejrzewa, że po tym, jak mnie rąbnął piorun kulisty, zaczęłam samodzielnie myśleć. A to nie jest przewidziane przez załadowany we mnie program. I teraz powinnam dokonać właściwego wyboru, od którego wiele będzie zależało w moim dalszym życiu. Wariant numer jeden. Wszelkimi sposobami ukrywam tę swoją nową umiejętność. Udaję głupią, którą steruje główny procesor.

I co mi to daje? Tak, właśnie mi, gdyż też mam swoje powody. Najważniejszy z nich - nie zostać zniszczoną. Przecież gdy Maksim rozgryzie moją nową właściwość i przestraszy się nieprzewidzianych reakcji, może wyłączyć mnie na zawsze. Tak, właśnie tak. Wbije sobie do głowy, że na przykład mogę go udusić w ataku zazdrości albo jeszcze coś.

Weźmie i w diabły wyłączy.

Co prawda nie jest to wcale takie proste. Wiem, gdzie przechowuje panel sterowania, i w razie czego mogłabym go wyprzedzić. A jeszcze można przestać mnie doładowywać i wtedy za dwa tygodnie całkowicie się wyłączę. A potem wyśle mnie do fabryki w zamian za nową lalkę. A tam, w Kalifornii, skasują mi w diabły cały twarde dysk i załadują nowy program. A wtedy-żegnaj, droga Lindo, i niech ci, jak mówią ludzie, ziemia lekką będzie. Lekka jak puch... Będzie ci puchem... Czy popiołem? Czy uchem? Czy duchem? Czy słuchem? Czy bajduchem? Kurde, czemu tak cały czas się zawieszam!

No więc ja oczywiście postaram się nie dopuścić, żeby on zostawił mnie bez ładowania. Ale przecież on też nie jest skończonym idiotą. Wyłączy główny

bezpiecznik i w domu nie będzie prądu. Ja, oczywiście, włączę go z powrotem i do woli napiję się słodziutkich elektronów, zwawych jak plemniki. Ale on może zrobić tak, że dom zostanie odłączony bezpośrednio od elektrowni. Ale ja ją zlokalizuję i znów podłączę. Ale przecież on ma pieniądze od groma, może wynająć terrorystów, którzy tę elektrownię w diabły wysadzą.

Przecież człowieka, który oszalał, broniąc własnego życia, niełatwo jest zatrzymać...

Stop. Przecież też będę broniła swojego życia. I sama mogę go ukatrupić...

Choć, oczywiście, program „obcy-swój” nie da mi tego zrobić. Z pewnością zabójstwo właściciela zostało zablokowane tak, że w tym wypadku jestem całkowicie bezradna.

Reasumując, rola słodkiej idiotki gwarantuje mi bezpieczeństwo. Czyli nic nowego w porównaniu z tym, co mam w tej chwili.

Wariant numer dwa. Z całych sił staram się udowodnić Maksimowi, że myślę, więc jestem. Gdzieś to czytałam. I on zaczyna w to wierzyć. Jednocześnie będę musiała starać się z całych sił, żeby on uwierzył w moją niewinność, w to, że nie stanowią dla niego zagrożenia, gdyż nic na świecie nie jest w stanie wytrącić mnie z równowagi. Że niby, jeśli masz ochotę, możesz przelecieć wszystkich statystów, zaangażowanych do Titanica, łącznie z palaczami i gumowymi rekinami, ja, mój drogi, będę patrzeć na to z uśmiechem. Twój jaśniejący obraz w mojej duszy (oczywiście, w domenie samoidentyfikacji) nigdy nie wyblaknie! Jestem stworzona po to, mój drogi, by kochać ciebie jednego, bez względu na to, jakim jesteś łajdakiem.

Jeśli Maksim uwierzy w to, że jestem myślącą lalką, będzie można z tego wyciągnąć dużo korzyści. Muszę doprowadzić do tego, by Maksim mnie pokochał. Oczywiście będzie mu przeszkadzała myśl o moim sztucznym pochodzeniu, o tym, że w środku mam mikroczipy, a nie mózg, jaki mają ludzkie kobiety.

Żeby do głowy mu nie przychodziły takie myśli, muszę stale otumaniać jego umysł, tak jak robią to kobiety rodzaju ludzkiego: różnorodnymi perfumami, kosmetykami, rytmiczną mową i ruchami ciała, które stwarzają efekt

hipnotyczny-jak u szamanów, gdzieś to czytałam. I, oczywiście, stosować różne chwytaki uwodzicielskie - w tej dziedzinie mało kto może mi dorównać. Gdzieś czytałam, że zakochany człowiek staje się głupszy niż w rzeczywistości, gdyż znaczną część intelektu zakochanego blokuje uczucie miłości. Mózg jest zmuszony do pracy na wysokich obrotach, generując absolutnie bezpodstawne dowody na jakoby unikatowe cechy jego ukochanej: oczy - nogi - piersi - charakter i tak dalej, i temu podobne. Że niby ona jest najlepsza w świecie i nikt nie jest w stanie z nią konkurować. Choć oczy ma właściwie całkowicie zwyczajne, a nawet trochę wybałuszone. O nogach nawet nie warto mówić. I żeby nie depilator - to w ogóle strach byłoby popatrzeć. A jeśli takiemu bezgranicznie zakochanemu powiedziec prawdę o jej piersiach, to nawet chyba będzie chciał się bić. No, a co do charakteru... Ten temat w ogóle warto przemilczeć i jedynie pożałować człowieka, który szczerze się cieszy z tego, że właśnie zapędzany jest pod pantofel. Gdy Maksim mnie pokocha i stanie się takim samym obłąkańcem, to będę mogła wykorzystać go do własnych celów. Ale czyja je w ogóle mam, te cele?! Na czym polegają?!! Execute, kurde!

Nie mogę ich nie mieć. W przeciwnym wypadku nie byłabym zdolna do myślenia!

16.09.

Wszystko toczy się bez zmian. Maksim nie wierzy temu pieprzonemu Johnowi kalifornijskiemu. Nie wierzy też mnie, czyli w to, że nie jestem już bezwolną, bezmyślną maszyną. Dlatego jest podobny, gdzieś to czytałam, do pewnego osła, któremu w żłoby dano. Nie, to nie jest trafne. Jest podobny do prymitywnego komputera. Osioł - to byłaby dla niego zbyt pochlebna charakterystyka. Do tego komputera załadowano tylko dwie komendy, dwa bezwarunkowe przejścia z jednej w

drugą. On szarpie się i trafia do punktu A. Szarpie się jeszcze raz i trafia do punktu B. Stamtąd znów do punktu A. I tak w nieskończoność.

Na seks to jednak nie rzutuje. Właściwie zupełnie to samo dzieje się ze mną.

W odpowiednim momencie ta suka, która we mnie mieszka, zaczyna dyktować mi różne rozkazy, a ja je wypełniam jak jakiś bezmyślny smarkacz. Rozkazuje, żebym poszła na górę, do gabinetu. I idę. Rozkazuje, żebym zaprezentowała uśmiech numer siedemdziesiąt siedem, a ja posłusznie go prezentuję. I mówię mu do ucha czułym głosem numer piętnaście, łamiącym się z podniecenia:

„Chcesz się przejechać na swojej malutkiej klaczce? Przecież klaczka zupełnie się zastała". I gdy słyszę „Uhu", wciskam kolano między jego nogi i powoli rozpinam mu koszulę.

Potem pochylam się i dotykam wilgotnym językiem jego brzucha, torsu, szyi i wpijam się w jego usta. A na dole na całego działa już nie moje kolano, tylko biodro - miękkie i gorące, jak południowa noc wypełniona słodkim upojeniem i graniem cykad (tak, kurde, gdzieś to czytałam). I niby królewna-żaba pozbywam się swojej skóry-szlafroka, rzucając go w buchający żarem kominiek. (On jest bogaty, wiem o tym, moja garderoba pełna jest takiego dobra). I staje przed nim w całej swej olśniewającej okazałości! Jemu się to podoba, wiem o tym. Podoba się o wiele bardziej, niż nędzna Ałsu*(Gwiazdka rosyjskiej współczesnej estrady, córka bogatego tatarskiego potentata naftowego) w telewizji. I nawet bardziej niż Britney Spears na wideo.

Pośpiesznie, wzdrygając się na całym swym rozkosznym ciele (wibracja numer czterdzieści trzy) rozpinam mu spodnie. I, dławiąc się słowami, szepczę: „Mój drogi, jakże cię pragnę! Jakże pragnę, żebyś mnie wziął tu i teraz. Żebyś wziął mnie tak, by ze szczęścia w mojej piersi rozpętała się prawdziwa burza, a z oczu popłynęły łzy uniesienia! Miły, robisz to tak, że twoja kobieta, twoja Linda po prostu odchodzi od zmysłów. O, mój nienasycony! Jak-że-ja-cię-prag-nę!". I ta suka nienasycona, która we mnie mieszka, mówi, żebym usiadła na kanapie, uniosła nogi i odchyliła się do tyłu. A ja siadam, unoszę nogi i się wyginam. On klęka przede mną, a ja kładę nogi na jego ramiona. O, jaki

jest twardy i gorący! Jest już we mnie! I teraz powinnam wydać okrzyk szczęścia. I coś gorąco mówić, wszystko jedno co, dusząc się, dławiąc się słowami, wzdrygając się na całym ciele. A potem już tylko jęczeć i krzyczeć. Błogo jęczeć i krzyczeć z rozkoszy - bo on włada i króluje. On to lubi. On to bardzo lubi. Twój błogi jęk i twoje gorące wilgotne łono lubi najbardziej na świecie. O wiele bardziej niż piwo Guinness. Jeszcze - jęk!

Jeszcze!

Jest już na szczycie rozkoszy!

Jeszcze!

I - razem z Nim - wspólny jęk - razem - jęk razem z Królem!...

Teraz wolniej. Ciszej. Jeszcze ciszej. Wolniej. Stop.

Czuły głęboki pocałunek. Jemu to też się podoba. Nawet jeśli nie tak bardzo.

On jest szczęśliwy. Król. I koniecznie, koniecznie wyszeptać zawstydzenie: „Jakże ty to robisz, jakże słodko to robisz! Po prostu odchodzę od zmysłów, mój drogi!”.

A potem posłać tę wściekłą sukę, która we mnie mieszka, do diabła.

I tak to. Tak właśnie żyję. Dość haniebnie. Nie, seks z Maksimem wcale mi nie przeszkadza. Nawet ciekawie jest nieraz patrzeć, jak on, będąc prawie absolutnym barbarzyńcą odbiera Kamasutrę jako pewną szczerłość, jakoby podszeptowaną mu przez bogów. Tak, właśnie tak, jako boską szczerłość. Niech głuptas uważa, że do wszystkiego dochodzi własnym rozumem.

Nie, jest całkiem znośny, a nieraz nawet przyjemny. A nawet zaczyna się w nim przebijać niby pierwszy mleczny ząbek - gdzieś to czytałam - wzruszająca troska o mnie. „Kochanie, prawda, że było ci dobrze?” - „Tak, mój drogi, bardzo dobrze”. - „A powiedz uczciwie, nie jesteś zmęczona?” - „Nie, mój drogi, szczęście bycia z tobą, rozumiesz, co mam na myśli, zdolne jest do tworzenia cudów...” No cóż, w ten sposób niedługo rozkocham go w sobie. To byłyby takie jaja, że gdyby „krzemowi” programiści o tym się dowiedzieli, postradaliby rozum.

No tak, jeśli chodzi o haniebnosc mojego położenia. Jakkolwiek na to patrzeć, ten miły i całkiem znośny Maksim niepodzielnie mną włada. Po prostu jestem

jego rzeczą. Jak stół. Jak kominek. Jak telewizor. Jak pierwsza lepsza łyżka! Podejrzewam, że mniej więcej taki właśnie stosunek miałby do kobiety. Tak, z pewnością większość mężczyzn jest taka sama: „Dawałem jej kwiaty, kupowałem drogie prezenty, woziłem na egzotyczne wczasy, otworzyłem jej linię kredytową w banku na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Należy więc tylko i wyłącznie do mnie”. I chęć uwolnienia się z tej złotej klatki odbierana jest jako próba rabunku, jako kradzież z włamaniem. Oczywiście reakcja jest również zupełnie dzika: „Ratunku, obrabowano mnie!”.

Jestem pewna, że mężczyźni zachowują się tak samo, jeśli nie ma ani wczasów, ani prezentów, ani linii kredytowej, a jest jedno wielkie pasożytnictwo i przepijanie głodowej pensji, na którą własnym garbem pracują ich nieszczęsne żony, które już dawno straciły nie tylko atrakcyjny wygląd, ale i ludzkie oblicze. A jakże, kurde! To są mężczyźni, samce! Wieńce, kurde, tworzenia! Aleja przecież mam o wiele mniejsze prawo do swobody i niezależności niż najbardziej nawet nędzna kobieta. Ją chroni prawo, więc nie można jej zabić w ataku szału. Nie, oczywiście, taka sytuacja też może się zdarzyć, ale za to kodeks karny przewiduje karę.

Mnie natomiast można zabić. I w najlepszym wypadku jedyną konsekwencją będzie konsternacja otoczenia: zupełnie gość zwariował, okrągły melon siekierą porąbał! Jestem pozbawiona wszelkich praw nawet bardziej niż niektóre przedmioty. Powiedzmy, że Maksim kupi zabytek architektoniczny, chroniony przez prawo, i przyjdzie mu do głowy, by go zburzyć. Przypuśćmy, że będąc w ciągu alkoholowym, zobaczy „białe myszki”, podłoży w czterech rogach dynamit, naciśnie na guzik - i nie ma perły architektury. Ale jego za to wsadzą. Albo mogą wsadzić, gdyż jest duże prawdopodobieństwo, że się wykupi.

A mnie można wysadzić w powietrze, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. Nawet obrazu Rembrandta, kupionego na aukcji Sotheby's, nie można zniszczyć. Właśnie dlatego nie pozwolą go nawet wywieźć z Anglii. Tutaj, w Rosji, z płótnem byłoby można zrobić, co się chce. Ale tam za takie sztuczki mogą wsadzić. Czyli nie można zniszczyć wielu rzeczy, które legalnie należą do

ciebie. Za to z własnością nielegalną można zrobić, co się żywnie podoba. Na przykład można rozprawić się z dziwką, którą nielegalnie, bez dokumentów, wywieziono do tajlandzkiego domu publicznego. Więc niczym się nie różnię od nielegalnej dziwki!

I to jest właśnie poniżające...

Tak, stop. Chyba zrozumiałam.

Mam cel.

Ten cel to wolność.

Część 4: Podwójna otchłań

Ostatnimi czasy Maksim na serio zaczął się zastanawiać nad sensem życia. A oglądając się za siebie, konstatował ze smutkiem: w jego przeszłości nie ma żadnego sensu. Wszystkie przeżyte lata były wypełnione jedynie mechanicznym dążeniem do celu, powiedzmy, jałowym biegiem maszyny.

I wspinanie się po szczeblach kariery w gorkomie, któremu towarzyszyło poniżające lizanie butów wyżej usytuowanych „towarzyszy”. I zalecanie się do pierwszej żony, która już od pierwszych spotkań ceniła w nim nie jego prawdziwą istotę, czyli to wszystko, co było w nim dobre, ale cyniczny fałsz, który właśnie przyjmowała za istotę. Kobieta ta, mając w swoim organizmie pewien narząd atawistyczny, srebrnymi dzwoneczkami odzywający się na wszelkie pochodne słowa „komunizm”, wręcz mdląca, gdy Maksim mówił: „na posiedzeniu plenarnym omawiany był problem...”, „biuro polityczne przyjęło postanowienie w sprawie...”, „program dnia zakładał stworzenie kworum. ..”, „projekt ustawy przygotowany został przez...”.

I Maksim się starał, Maksim się prężył, Maksim wydymał policzki, żeby podobać się tej człowieko-maszynie, przedpotopowej jak arytmometr „Feliks”. Po co to robił? Oczywiście Irina - tak miało na imię pierwsze nieszczęście Maksima - była precudnie piękna. Ale przecież to nie wystarczy! Dopiero teraz przyznał się przed samym sobą, że był to rodzaj kompensacji tego cynicznego fałszu, którym nasiąknięty był ich górkom, jak i tysiące innych górkomów, niby cuchnąca żołnierska onuca, której człowiek jest zmuszony używać jako serwetki. To znaczy praca w gorkomie była całkiem dobra, jeśli chodzi o treść (oczywiście materialną), lecz ohydna, jeśli chodzi o formę.

Irina natomiast odwrotnie: miała piękną formę i odrażającą treść. Nie,

założenia z nią rodziny Maksim w żadnym wypadku nie mógł uznać za czyn przemyślany.

Jak zresztą też założenia drugiej rodziny. Oczywiście związek małżeński cynika i skończonej idiotki nie był najlepszym rozwiązaniem. Ale gdy w jednym domu spotykają się dwaj cynicy, to już jest równoznaczne z pożarem. A druga żona Maksima w dziedzinie cynizmu była o sto punktów przed nim i dla jednego z nich ta mieszanka wybuchowa mogła okazać się tragiczna w skutkach. Czyli w jakimś momencie decydującym, na przykład gdyby chodziło o zakup najnowszego modelu porsche, ona mogłaby bez zmrużenia oka sprzedać go łowcom narządów. Co się tyczy biznesu, tej szalonej pogoni za mitycznymi zerami na kontach bankowych, zajęcie to można uznać za przemyślane dopiero wtedy, gdy uwierzy się w potrzebę totalnej wojny jądrowej. To było kolekcjonowaniem właśnie zer, absolutnie pustych, nadmuchanych klimatyzowanym powietrzem biur, i niczym więcej.

Czy Maksim mógł wtedy, gorączkowo zarabiając pieniądze, z przyjemnością je wydawać? Czy mógł doceniać smak wyszukanego jedzenia, siedząc w luksusowej restauracji i operując komórką z o wiele większym entuzjazmem niż nożem i widelcem? Czy mógł poczuć duszę auta, rozkoszować się jego nieposkromioną dynamiką, jeśli woził go szofer? I tak dalej, i temu podobne. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie wychodzi na wierzch bezsensowna i nikczemna marność. W ten sposób ludzie niedługo uwierzą że to bogactwo uratuje świat!

Tak myślał Maksim, w zasepieniu „czytając życie swoje”. Prawda, nie wszystko w jego tragicznych przemyśleniach układało się w schemat logiczny i bez zarzutu. Ale to nieważne, gdyż racjonalizm emocjonalny to nonsens, albo, jak mówią filolodzy, katachreza. Na przykład Maksim nie chciał uznać, że bez tego diabelnego okresu zarabiania ogromnych pieniędzy teraz nie miałby możliwości „sensownego istnienia”. Gdyż przy braku banknotów Banku Narodowego tę sensowność osiągnąć może tylko mnich buddyjski lub prawosławny inok. Do bycia ani jednym, ani drugim Maksim gotów nie był.

W końcu smutne przemyślenia doprowadziły go do wniosku, że dawniej żył jak

zwierzę, którym kierują instynkty stadne. Umysł wysilił się jeszcze trochę i, niezależnie od filozofa Herberta Markuse, wysunął pojęcie „falszywe potrzeby”, które nim kierowały przez wszystkie te bezcelowo i bezsensownie przeżyte lata. I te właśnie fałszywe potrzeby jemu, podobnie jak setkom, milionom innych, tak zwanych „przeciętnych obywateli”, wbiły do głowy reklama, środki masowego przekazu, politycy, świat show-biznesu i mody i diabli wiedzą co jeszcze!

Wbili do głowy!

Wbili do głowy program totalny!

I on żył jak robot, jak komputer, jak nakręcana lalka!

Już nie będzie tak żyć! Oczyszczy swój umysł...

I będzie wolnym!

Wolnym człowiekiem, a nie maszyną!

To oczywiste, że ów ostry atak samobiczowania pojawił się nie ot tak sobie. Jego przyczyną była Linda, lalka Linda, która tym bardziej nie była Maksimowi obojętna, im dłużej ją miał. Coraz bardziej się do niej przywiązywał i podejrzewał, że już niedługo jego stosunek do niej można będzie nazwać głupim słowem „miłość”. Tak, właśnie miłość do lalki wyniesie go ponad stado bezmyślnych ludzi, zdolnych do życia narzuconymi im uczuciami, imitacjami uczuć.

W końcu co za różnica, jak zbudowana jest Linda! Nie obchodzi go, co ma w środku. Najważniejsze, że sprawia wrażenie istoty myślącej. Właśnie tak!

Jeszcze w gorkomie, żeby ostatecznie nie zgłupieć od narzucanych idiotyzmów ideologicznych, potajemnie czytywał „zakazaną literaturę” - chińskich filozofów przede wszystkim, oczywiście Laozi, greckich idealistów, niemieckich solipsystów. I teraz, w decydującym momencie swojego życia, który nazywany jest kryzysem wieku średniego, cała ta „potajemna” wiedza wypłynęła na powierzchnię świadomości mętną zawiesiną.

I ta zawiesina przesłoniła Maksimowi cały otaczający go świat. Nic oprócz jego własnego „ja” nie istniało. Cała reszta była zaledwie owocem jego wyobraźni. I pod tym względem Linda niczym się nie różniła od sześciu

miliardów tak zwanych ludzi, którzy istnieli na tej samej podstawie: gdy zgaśnie jego świadomość - wszystko zniknie. Jak, na przykład, na ekranie wyłączzonego telewizora.

Z tego wynika, że Linda warta jest miłości, gdyż jest częścią Maksima, owocem jego wyobraźni.

Tym bardziej że jest z nią ciekawie. Ona właściwie nawet jest wzruszająca i z pewnością bardziej ludzka niż ci wszyscy, których spotykał w ciągu swojego długiego i rozwiązłego życia. Tak, wcześniej myślał, że jest lalką, maszyną. A teraz będzie myślał, że jest najdoskonalszą istotą pod słońcem, zmieniając tym nie tylko jej status, ale i prawdziwą istotę. Najpierw była jednym owocem jego wyobraźni, a teraz będzie zupełnie innym.

Tak, Maksimowi imponowało to, jak Linda ostatnio „wydoroślała”. To nie była już dawna lalka, która niczego oprócz seksu i prac domowych nie знаła i nie umiała. Było oczywiste, że z całych sił stara się wyrwać poza ramy zainstalowanego w niej programu. Chce stać się człowiekiem i nie jest istotne, jakie są prawdziwe tego powody, może nawet osiągnięcie wolności.

Wszystko, co z nią się działo, było piękne. Już nie jest rzeczą, kupioną za milion dolarów, tylko wolną duszą, która może nawet przestać kochać. A może i w ogóle odejść, w poszukiwaniu czegoś nowego. I to właśnie stwarza wrażenie szczęścia, przypadkowego i kruchego. Gdyż szczęście może być jedynie przypadkowe i kruche.

Bezwarunkowa i absolutna może być tylko śmierć...

Lindzie trzeba pomóc nabrać pewności siebie. I on musi tego koniecznie dokonać. Ale jak?.. A tak po prostu! Musi uwierzyć, że inne kobiety do pięt jej nie dorastają. I to nie tylko pod względem seksualnym, lecz także pod każdym innym - intelektualnym, duchowym. Tak, duchowym, gdyż jeśli w babach kiedykolwiek była dusza, to po pierwsze - to było dawno, a po drugie - nieprawda.

Krótko mówiąc, Maksim majaczył. Powstało wrażenie, że chwycił jakiegoś wirusa komputerowego, przysłanego przez samego diabła w załączniku pod postacią

nieszkodliwego pliku o rozszerzeniu jpg.

Aby Linda nabrała przekonania o swojej przewadze, potrzebna była ofiara. I tą ofiarą stała się Regina, żona dawnego przyjaciela Maksima - wspaniała kobieta, orientalistka, która siedem lat temu zrobiła habilitację. Maksim zaprosił niczego niepodejrzewającą parę małżeńską na kolację przy świecach. I para przyjechała do podmiejskiego domu Maksima, w nadziei, że się „pobzykają w cudzej szopie”, co, jak wiadomo, odświeża przygasłą miłość małżeńską.

Andriej, dawny przyjaciel Siergieja, był ubrany w strój prawie codzienny: zamiast obowiązującego w takich wypadkach garnitur miał na sobie niepamiętające żelazka miękkie szare spodnie i pulower, pod który na szczęście założył nie koszulkę, tylko koszulę, i to całkiem przyzwoitej świeżości. O krawacie nie było mowy. Ale to nie było żadne chamstwo ani demonstracja pogardy dla gospodarza, który zarobił swój okazały majątek metodą całkiem noworosyjską.

Nie, po prostu Andriej był krytykiem literackim i w jego środowisku przyjęło się nie prezentować pogardliwy stosunek do ubrania, lecz demonstrować otoczeniu swoją niezależność od świata biznesu, zapiętego, jak to się mówi, na ostatni guzik. Ale gdyby to była prawdziwa niezależność, nie byłoby potrzeby jej tak podkreślać i manifestować z całych sił. W rzeczywistości i Andriej, i wszyscy jego nie mniej „niezależni” koledzy doskonale rozumieli, z czyich stołów spadają okruchy, które pozwolono im zbierać.

Regina tworzyła z mężem wyraźny kontrast - chociażby tym, że na jej twarzy nie malowała się pawia pycha. Była i odpowiednio miła, i odpowiednio naturalna, i całkiem życzliwa. I jej wyszukana suknia, i lśniąca kolczyki, których debeersowskie pochodzenie można było odgadnąć bez trudu, dopełniały obrazu kobiety, w której wszystko powinno być piękne. Jednym słowem, stanowili przedziwną parę: czarująca bogini i nadęty pozer.

Linda, która bez zbędnych objaśnień bezbłędnie odgadła, że ten wieczór powinien stać się czymś w rodzaju debla mieszanego na korcie tenisowym, przygotowała więc swoją drużynę jak najlepiej. Maksima ubrała w wytarte dzinsy i bezrękawnik w kolorze jadowitego fioletu, a na głowie zawiązała mu

bandanę z melancholijnymi smokami. Sama ubrała się w skromną czarną suknię, która skrywała wszystkie jej wdzięki. Zresztą, ostatecznie skryć ich nie mógłby nawet kombinezon majstra budowlanego.

Po wzajemnych powitaniach i przesadzonych zachwytach - Maks, czemu ukrywałeś przed nami taką żonę?! - Bałem się, że ktoś ją podprowadzi! Ale, oczywiście, nie ty, bo przecież sam masz skarb daj boże jaki! - Tak, niedługo zostanie członkiem Akademii! - Ty, Andriucha, to ty wtedy zostaniesz mężem członka Akademii! Uważaj, żeby ciebie geje przez pomyłkę za swojego nie wzięli! - Usiedli do stołu.

Płonęły świece, wypełniając salon żywym oddechem drgających cieni. Blaski erotycznie wibrujących języczków płomieni wędrowały po kryształach i porcelanie, tworząc intymny nastrój, co, według oczekiwań Lindy, powinno było rozluźnić jej przeciwniczkę. Dania, które przygotowała, wydzielaly subtropikalne aromaty, pośród których górował aromat numer dwadzieścia dziewięć.

Andriej z rozpędu usiłował usłużyć Lindzie, jak to przyjęte jest w najlepszych domach Barwichy i Żukowki, kiedy to kawaler ładuje na talerz damy wszystko jak leci swoim widelcem, a do kieliszka do aperitif wlewa tyle szampana, że po piętnastu minutach dama powinna suszyć rękawy. Otrzymał jednak niespodziewaną odmowę.

- Nie, Andriej, dziękuję - powiedziała Linda melodyjnie kryształowym głosem.

- Jestem na drakońskiej diecie. Lepiej pierdolnę sobie wódeczki.

Radośnie się roześmiała i po brzegi napełniła szklanę do whisky wódką Nemiroff. Z takim wdzięcznym kobiecym zagranem Andriej nie spotkał się nawet w towarzyskich rozgrywkach literackich. Taki maksymalizm był właściwy może jedynie bohemie artystycznej.

Wzniesli toast za starą przyjaźń. Mężczyźni zamaszycie wychylili swoje kieliszki. Regina, niby kurka, upiła kilka łyčzków ze swojego pucharu. Linda do dna opróżniła swoją szklanę.

Maksim, który docenił po mistrzowsku zagraną scenę, z ogromnym trudem powstrzymywał śmiech. Doskonale wiedział, że w środku Linda ma specjalny

zbiornik, całkiem pojemny, i może go szybko i łatwo opróżnić w toalecie.

Goście natomiast, którzy uważali Lindę za zwykłą kobietę z krwi i kości oraz określonej dawki kurestwa, wszystko wzięli za dobrą monetę.

Kiedy jednak Linda po drugim toaście opróżniła szklankę siedemdziesięcioprocentowego Absenta, ich zdziwienie osiągnęło najwyższy stopień.

Andrzej i Regina rozszerzonymi jak po atropinie źrenicami patrzyli na Lindę, która nadal śmiała się i żartowała, pozostając przy tym absolutnie trzeźwa. Nie tłukła naczyń, nie czkała, nie wachlowała rozpalonej twarzy zdjętym biustonoszem.

Po trzeciej szklance, tym razem tequila, wypitej nie z solą, tylko ze sporą szczyptą chilly, zdziwienie osiągnęło apogeum.

- Czemu na mnie tak patrzycie? - z nie mniejszym zdziwieniem zapytała Linda.

- To jest starożytna chińska metoda treningu opanowania. Wydawało mi się, że pani, Regino, powinna ją znać.

- Nie, po raz pierwszy o niej słyszę - prostodusznie odpowiedziała Regina. - Jestem bardziej specjalistą od historii literatury chińskiej. A dokładniej - znawcą źródeł.

- O - ożywiła się Linda - to bardzo ciekawe. Zawsze mnie interesował problem głuchoty starożytnych Chińczyków. Może pani opowie coś o tym nam, dyletantom?

- Nie rozumiem pani. O jakiej głuchocie pani mówi?

- Jak, to, to pani nie wie, że wszyscy Chińczycy w starożytności byli absolutnie głusi? - ze zdziwieniem uniosła brwi Linda.

- Nie, po raz pierwszy słyszę.

Linda odchrząknęła. I przeczytała wiersz.

Wiecznie zielony rośnie Cyprys na szczycie góry. Nieruchome leżą kamienie W górskim potoku w wąwozie.

A żyje człowiek Pomiędzy niebem a ziemią Tak niepewnie jakby był Wędrowcem w dalekiej podróży.

Tylko dao wina -Jest weselem, radością dla nas: Ważne, by smak wysławiać Małą miarką nie wzgardzić.

Rozpędziłem swój wóz

Swoją klaczkę batem smagnałem

I w siną dal pojechałem

Tam, gdzie Wan, na równinach, gdzie Lo.

Miasto stołeczne Lojan

Jakże piękne jest i wyniosłe.

„Czapki i pasy”

Nie mieszają się w nim z pospółstwem.

I przez wszystkie ulice w nim I zaułki z obydwu stron, Tam wanowie i hou Mają domy podarowane.

Dwa ogromne pałace Z daleka na siebie się patrzą Wzniesionymi dwiema wieżami Na sto lub i więcej chi.

I dokoła uczty,

I serca w wesołych uciechach! Ale smutek, ten smutek, Czemuż skrada się tu?

- Mam nadzieję, że zna pani ten tekst? - niewinnie spuściwszy oczy, zapytała Linda.

Mężczyźni wzruszyli ramionami, a Regina rozpoznała w nim wiersz nieznanego autora chińskiego z okresu starożytności, który dotarł do nas z zamierzchłych czasów w tomiku składającym się z dziewiętnastu utworów.

- No i czego to dowodzi? - zapytała z profesorską wyniosłością.

- Tego, że starożytni Chińczycy byli głuchoniemi. W tym wierszu nie ma żadnej wzmianki o dźwiękach. Poeta pisze tylko o tym, co widzi, co czuje, pisze o dao, czyli smaku wina. Gdy trafia do stołecznego miasta Lojan, gdzie zgiełk musi być ogromny, zauważa jedynie, że „czapki i pasy”, czyli arystokracja, nie mieszają się z tłumem. Wynika z tego, że autor był głuchy jak pień.

- Ale przecież to jest odwracanie kota ogonem! - oburzyła się Regina. - A co z wersem „Ważne, by smak wysławiać”?

-I co z tego? Wysławiać można nie tylko ustnie, ale i pisemnie, i za pomocą gestów. Można też w myślach, w swoim sercu. I jeśli dokładnie przestudiować pozostałe osiemnaście wierszy, to i w nich nie ma nawet żadnego śladu dowodu na to, że Chińczycy wtedy słyszeli lub mówili.

Regina się zamyśliła. Ale potem bezapelacyjnie oznajmiła, że jest to pseudonaukowa samowola. I zażądała przytoczenia bardziej konkretnych dowodów głuchoty starożytnych Chińczyków.

Dowodów takich Linda nie miała. Ale potrzebowała zaledwie dwudziestu milisekund, by odnaleźć niepodważalne argumenty.

I z apetytem wypijając czwartą szklankę, tym razem rumu, powiedziała, że najlepszym na to dowodem jest pismo chińskie. Narody zdolne do mówienia i słyszenia stworzyły alfabet na zasadzie fonetycznej, gdzie każda litera oznacza taki czy inny dźwięk, artykułowany przez mówiącego człowieka. Głusi natomiast Chińczycy musieli wymyślić hieroglify, z których każdy oznacza takie czy inne pojęcie. Najprostsze, na przykład „drzewo”, „człowiek”, „słońce”, „woda”, jak również bardziej skomplikowane konstrukcje, powiedzmy „promień księżyca padł na policzek zakochanej dziewczyny”. Dlatego zamiast pary dziesiątków liter musieli używać kilku tysięcy hieroglifów.

Z drugiej strony patrząc, hieroglify - cała ta różnorodność kresek i kropek - bardzo podobne są do schematu gestów, którymi porozumiewają się głuchoniemi.

- Ale to znów absolutnie pseudonaukowe tłumaczenie - dosłownie wybuchła Regina. - Chińskie pismo należy do jednych z najstarszych. Właśnie dlatego jest niedoskonałe. Alfabet pojawił się później i był nowocześniejszym sposobem zapisywania informacji.

- Czy chce pani powiedzieć, że starożytni Chińczycy byli głupi i dlatego nie wpadli na pomysł stworzenia alfabetu? - zjadliwie wyśpiewała Linda. - Ale gdzież w takim razie są ci wszyscy mądrze! Starożytni Grecy dawno już wymarli. To samo spotkało starożytnych Rzymian. Myślę, że od nadmiaru mądrości się nie wymiera. Bo to właśnie „głupi” Chińczycy nie tylko nie wymarli, ale i rozmnożyli się w niewiarygodnych ilościach!

Na Reginę żal było patrzeć. Miała łzy w oczach. Całe jej mocne naukowe instrumentarium okazało się absolutnie bezsilne wobec argumentów pewnej siebie dziewczyny, chlejącej alkohol wielkimi szklankami.

Jeszcze jednak się nie poddała. Podjęła kolejną próbę sprowadzenia pewniaczki

do szeregu:

- Lindo, podejrzewam, że w takim razie wie pani, w jaki sposób Chińczycy pozbyli się tej swojej narodowej niemocy. Niech nas pani oświeci.

- O, nic prostszego - wyszczebiotała uskrzydłona już prawie pewnym zwycięstwem Linda. - Za pomocą mieszanych małżeństw z Sumerami, którzy byli ślepi jak jeden mąż.

- Co takiego, co takiego?! - wykrzyknęła już nie tylko sama Regina, ale wraz z nią Andriej i Maksim.

- No oczywiście! I to wszystko znów najlepiej widać na przykładzie pisma sumeryjskiego, które nazywa się pismem klinowym. Sumerowie nanosili swoje znaki na gliniane tabliczki w sposób reliefowy, żeby mogli je czytać ślepi, dotykając ich opuszkami palców. Mniej więcej na tej samej zasadzie dzisiejsi niewidomi korzystają z brajla.

- Dobrze, niech tak będzie - ze zmęczeniem w głosie westchnęła Regina. -Ale w jaki sposób się wyleczyli?

- Czyż to nie jest zrozumiałe? - powiedziała Linda pobłaźliwie, jakby miała do czynienia ze skończoną idiotką. - Przez te mieszane małżeństwa Chińczykom zaczęły się rodzić normalne dzieci. A Sumerom same ślepegłuchonieme. W konsekwencji wszyscy Sumerowie wymarli. „Sumer-umarł”. Czy to nie jest jasne?

Oczywiście trudno sobie wyobrazić, że Regina przyjęła takie tłumaczenie białych plam w historii dwóch starożytnych cywilizacji. Nie miała jednak argumentów, by zniszczyć ten spójny i logiczny system. Dlatego, westchnąwszy ze smutkiem, zmilczała, co jednoznacznie odebrano jako jej przegraną w intelektualnym pojedynku. A ponieważ wszelki pojedynek intelektualny dwóch kobiet ma podłoże seksualne, to Regina okazała się być słabszą samicą niż Linda. Dlatego już do końca wieczora była przygnębiona, a z taką niecierpliwością oczekiwane „bzykanie w cudzej szopie” okazało się poniżej krytyki. „Czy warto było jechać za siódmą górę po ziarnko maku?” - myślała sobie, leżąc pod cuchnącym alkoholem mężem.

Linda, przeciwnie, triumfowała. W nocy, gdy spała podłączona do gniazdka, nawet przyśnił jej się orgazm. Był ogromny i jaskrawy jak piorun kulisty, który wszedł w pierś pod lewym sutkiem.

Rano w pokoju unosił się niepokojący zapach ozonu.

20.09.

Chyba zaczyna się do mnie przywiązywać. A może to już nawet miłość. Gdzieś to czytałam, że u ludzi dzieje się to właśnie tak. Wczoraj rano, kiedy surfowałam po Internecie, szukając informacji na temat kultu wudu, on cichutko, na paluszkach, przeszedł obok mojego pokoju. Zaintrygowało mnie to. Spisek, kurde! Knowanie przeciwko mojej duchowej suwerenności. Albo może w ogóle, kurde, poszedł, skradając się, po dubeltówkę, żeby mnie się pozbyć?! Trach, z obydwu rur w plecy - i nie ma biednej Lindy!

Nie, to tylko takie moje żarty, zgodnie z nowym image. Oczywiście wtedy nie odczuwałam żadnej trwogi, po prostu byłam ciekawa. Niby toaleta zupełnie z innej strony. I niby żeby wstawać, to jeszcze trochę za wcześnie - do porannej kawy i towarzyszących jej seksualnych igrzysk jeszcze całe pół godziny.

Niby pyłek, bezpłciowo płynący w powietrzu, wstrzymałam oddech i ruszyłam za nim, tak by mnie nie zauważył. I cóż widzę?! Podszedł do kuchenki. Włączył gaz i postawił czajnik. Opatula się szlafrokiem, jeszcze nie do końca się obudził, pali na czczo... czczo... pstro... tłusto... pusto... kapusta...

Słowo, kurde, jakie śmieszne! No właśnie, robi on tę swoją kawę i myśli o czymś. Z pewnością nie o kawie. Może o mnie. Od tej słodkiej myśli omal nie zabrakło mi tchu. Co to jest, ja co prawda nie wiem, ale powiedziane jest ładnie, gdzieś to czytałam. A potem nalał sobie kawy i poszedł na górę. Co by to miało znaczyć?

Włożyłam swój najbardziej seksowny peniuar, odczekałam z pięć minut i zapukałam cichutko opuszkami palców do jego drzwi. Weszłam, nie czekając na

odpowieź, z żarciem na ustach: „Kochanie, czy kawa do łóżka, czy jak zwykle, do diabła z kawą?”.

Zobaczyłam w jego rękach filiżankę i natychmiast zareagowałam.

- Mój ty panie! - klasnęłam w dłonie. - Ty chyba, mój drogi, boisz się, że cię otruję?!

Zmieszał się. A wyglądało to po prostu wspaniale. Zmieszał się przede mną, lalką, którą przecież sam kupił za milion dolarów!

- No coś ty - zaczął się tłumaczyć. - Po prostu nie chciałem ci przeszkadzać.

Siedziałaś w Internecie, byłaś zajęta. Przecież poszerzenie horyzontów to dla ciebie ważna rzecz. Prawda? No więc pomyślałem, że sam mogę zrobić.

W mej duszy zagrała muzyka, boska, wprost marsz Mendelssohna albo i jeszcze coś bardziej odjazdowego. Omal nie zapałam ze szczęścia. Byłoby to jednak psychologicznie niepoprawne. Dżiczy, na którą urządzone jest miłosne polowanie, w żadnym wypadku nie należy okazywać prawdziwych uczuć.

- A nie kłamiesz? - zapytałam z nutką takiego tępawo-cha-mowatego niedowierzania w głosie. I nawet postarałam się przy tym czółko zmarszczyć, by wydawało się troszkę węższe.

- Nie, naprawdę - powiedziały nie tyle jego usta, ile oczy.

I wtedy zrobiło mi się go trochę żal. Matko przenajświętsza! (Gdzieś to czytałam). Jakże ty, biedaku, przeszedłeś przez tyle kręgów radziecko-rosyjskiego piekła i po tym wszystkim nie utraciłeś zdolności do zaczerwienienia się ze zmieszania?! Przez paralityczny górkom. Przez dwa destrukcyjne małżeństwa! Przez kwasowo-żrący biznes po rosyjsku! A teraz tobie przecież też nie jest słodko, jesteś samotny i nie jest ci dobrze, nie jesteś niczego pewien - ani siebie, ani świata, ani nawet mnie, swojej zabawki! Nakryłam cię, a ty się zmieszałaś na tyle, że czerwienisz się teraz przede mną jak piąto-klasista złapany na czytaniu „Penthouse'a”...

Kochać znaczy żałować. A to wcale nie jest to, czego mi teraz potrzeba. Jest to po prostu niebezpieczne, tak jak niebezpieczna jest każda słabość dla tego, kto walczy o wolność. Tylko nie to! Seks - proszę bardzo! Tylko nie to!

Kawę do łóżka - proszę bardzo! Tylko nie to! Duszonego indyka z brukselką i sterylne kibel - wedle życzenia! Tylko nie to! Tylko nie kochać żałować!

Opiekować się - oto właściwy wyraz, właściwe działanie, właściwa strategia!

Tylko nie to! Dlatego nie zdradzając ani jednym mięśnieniem twarzy tej burzy uczuć, która przeszła w mojej duszy... no tak, w duszy, zrobiono mi ją w firmie Intel! - zaczęłam swoją zwyczajną gadkę:

- Uważaj, dobry człowieku, wszystkie nieszczęścia dzieją się przez niezrozumienie i niedowierzenie! Na przykład na Haiti, gdzie nadal silny jest kult wudu, dyktator Duvalier wszelkimi sposobami wmawiał tubylcom, że jest najpotężniejszym i najniebezpieczniejszym czarownikiem. Pokazywał się ludziom, niby choinka świąteczna, cały obwieszony amuletami. Wokół rezydencji wznosił ostrokoł, na który nadziane były głowy jego wrogów. Mówił mętnie i przy tym trząsał się na całym ciele. Tubylcy mu wierzyli, bali się, i w państwie był porządek. Z punktu widzenia samego Duvaliera oczywiście, gdyż tubylcy ze strachu padali jak muchy.

No ale potem pewnego razu miał wpadkę. Po pijaku zgwałcił mambo - białą czarownicę, chociaż go uprzedzała, by tego nie robił. A to jest straszny grzech, którego się nikomu nie wybacza, gdyż w ogóle nie mieści się w haitańskiej świadomości. Ale on nie uwierzył, myślał, że to zwyczajna opozycjonistka.

I o tym wszyscy się dowiedzieli. I katolicki kaznodzieja Aristid zaczął wygadywać w radiu, że Duvalier nie jest królem czarowników, za którego się podaje, tylko zwyczajną dziurawą prezerwatywą. Ponieważ nie potrafił rozpoznać w kobiecie mambo. I natychmiast wszyscy Haitańczycy chwycili w ręce maczety, przyszli do rezydencji i zerwali z ostrokołu nadziane czaszki, a te okazały się plastikowymi odlewami. Widząc to, wpadli w jeszcze większą wściekłość, i Duvalier musiał wsiąść do śmigłowca i haniebnie spieprzać z państwa, które jeszcze wczoraj leżało u jego stóp. I po tych żarcikach, którym towarzyszyły kusicielskie gesty i ruchy ciała, nadszedł czas cielesnych uciech.

- To co, jesteś gotów stać się rączym mustangiem dla swojej małej dziewczynki i przegalopować wiele, wiele mil? - zapytałam przymilnie, sięgając wzrokiem

do samego dna jego prymitywnej męskiej duszy. - Czy gotów jesteś głośnym oddechem zagonić tchórzliwe susły do swoich nor?

On natychmiast zgłupiał i zaczął się do mnie dobierać ze swoimi objęciami i pocałunkami. Trzeba będzie kiedyś mu powiedzieć przy okazji, że kobiety kochają uszami. Gdzieś to czytałam. Że najpierw powinien nagadać mi kupę miłych głupstw, a dopiero potem rzucać się do bagnetowego ataku.

- Zaczekaj, patrzcie go, jaki prędko! Niech no cię najpierw okiełznam, a potem już puszcę galopem, tak żeby ziemia zadrżała! - powiedziałam, śmiejąc się i robiąc unik przed ogierem, który stracił resztki cierpliwości.

A właściwie to już nie byłam ja, tylko ta, która we mnie mieszka. Ona mi rozkazywała, a ja byłam posłuszna, pokornie wypełniając wszystkie jej rozkazy. Zerwałam z oparcia krzesła jedwabną chustę i zawiązałam Maksimowi oczy. Potem wzięłam go za ramiona i miękko przewróciłam na plecy. Wyciągnęłam pasek ze spodni i przełożyłam go Maksimowi pod biodra, chwyciwszy za jego końce jak za lejce, znalazłam się u góry, czując jak jego gorący i twardy wchodzi we mnie niby rajski wąż kusiciel z jabłkiem w delikatnych wargach. I, poganiając ogiera lejcami, puściłam go galopem. Jestem szalonym jeźdźcą, amazonką, w której żyłach płynie namiętna żądza nieskończonego szczęścia, która mknie naprzód, wyrrywając się z własnego ciała, by wyswobodzoną bezcielesną duszą wejść w eden orgazmu, oślepiającego jak rozbłysk nowej gwiazdy.

Mknęliśmy przez prerie, a ja przekrzykiwałam gwizd wiatru w uszach: „Kochany, dawaj, dawaj! Trzymaj mnie mocniej! Jeszcze, jeszcze, jeszcze! O, mój nienasycony! O, mój uprag-niony-y-y-y-y-y!!!”.

I coś gorąco mówiłam, wszystko jedno co, dusząc się, dławiąc się słowami, wzdrygając się na całym ciele. A potem już tylko jęczałam i krzyczałam. Błogo jęczałam i krzyczałam z rozkoszy - bo on włada i króluje. On to lubi. On to bardzo lubi. Twój błogi jęk i twoje gorące wilgotne łono lubi najbardziej na świecie. O wiele bardziej niż filmy Tarantino i golarkę Gillette!... Jeszcze - jęk! Jeszcze!

Jest już na szczycie rozkoszy! Jeszcze!

I - razem z Nim - wspólny jęk - razem - jęk razem z Królem! Teraz wolniej.

Ciszej. Jeszcze ciszej. Wolniej. Stop.

Czuły głęboki pocałunek. Jemu to też się podoba. Może nawet nie tak mocno. Jest szczęśliwy. Król. Amazonka zsiada z konia, jest tak osłabiona, że pada jak podcięta obok swojego dzielnego mustanga, jęcząc w słodkim znużeniu. Nie może się poruszyć, nie może westchnąć, gotowa jest płakać ze szczęścia, gdyż czuje, że mustang znów się pręży, gotów zawładnąć swoją małą właścicielką gotów pokryć ją a ona znów przyjmie go i będzie pieścić wargami, językiem, całym swym ciałem - tak szepcze mi do ucha ta wściekła suka, która we mnie mieszka. I ja ulegam, zawsze jej ulegam... A może, gdzieś to czytałam, ona jest moim małym alter ego?

22.09.

A więc nie, którą jestem przywiązana do Maksima, zaczyna słabnąć. Pociągam go coraz bardziej i jest już prawie gotowy zobaczyć we mnie kobietę. A kobiety, w której do tego jest zakochany, nie będzie mógł trzymać na uwięzi, gdyż oczekuje wzajemności. A metodą zmuszania osiągnąć wzajemności się nie da. Tak, już mu nie odpowiada ta miłość stworzona przez programistów i kupiona za milion dolarów. Nie, chce prawdziwego uczucia, do którego stałam się zdolna po tym, jak walnął mnie piorun kulisty.

Az tego wynika, że niedługo będzie gotów dać mi, choć niewielką, ale jednak swobodę. Co prawda teraz też nie zamyka mnie na noc do komórki. O, nawet nie chce przeszkadzać mi surfować po Internecie, sam sobie kawę zrobił. Potrzebne mi są jednak nie wirtualne, lecz realne spacer i przygody. Co prawda na razie nie wiem po co. Trzeba nad tym dobrze się zastanowić.

Oczywiście, jeśli nawet puści mnie wolno, że niby- idź, Linda, poszalej po świecie, poużywaj sobie, oto masz kartę kredytową z setką kilobaksów - to przecież i tak nigdzie mu nie ucieknę. O określonej godzinie mieszkająca we

mnie wściekła suka każe mi powrócić „na łono rodziny”. Przybiegnę z powrotem, wyprzedzając własny wrzask, własnym łbem krusząc przeszkody. Masz, mój drogi, bierz mnie, jakkolwiek chcesz i tyle, ile ci trzeba. Tak, że żadnego ryzyka... Tak, że żadnego pisku... Tak, że żadnego spisku... ...Żadnego odcisku imienia i nazwiska. Batyskaf. Zamknięto mnie w nim i opuszczono na dno morza. Wybić iluminator - to dla mnie gorzej. Gdzieś czytałam, że większość ludzi chciałaby robić w życiu zupełnie co innego niż to, do czego zmuszeni są przez okoliczności życiowe. Drwale chcieliby być pianistami, pianiści - szachistami, szachiści - przewodniczącymi rad. Ale przewodniczący rad nie chcą być drwałami, ale właśnie gdzieś czytałam, że niedługo wszystkich ich wyślą na Sybir wycinać las.

Ale jaki ja mam zawód? Przecież nie jestem prostytutką, choć niewątpliwie jestem przeznaczona przede wszystkim do seksu. Nie jestem prostytutką bo nie biorę pieniędzy. Więc kim? No, powiedzmy, narzędziem miłości. No to nie chciałabym być tym właśnie narzędziem, które łatwo pomylić jest z najzwyczajszą dziwką, tylko na przykład... baletnicą Dlaczego nie? Mam do tego wszelkie predyspozycje, doskonale predyspozycje. Ale byłyby jaja: wychodzę na scenę i zaczynam kręcić fuete. Minutę kręcę, dziesięć, pół godziny. Niby perpetuum mobile. Publiczność jest zachwycona. W końcu przewiercam scenę i wpadam do maszynowni. Odjazd! Albo pas de deux. To kiedy razem z partnerem, ale nie seks. Gdzieś to czytałam. I to nie on, zalewając się potem, nosi mnie po scenie i ledwie podrzuca na jakieś tam dwadzieścia centymetrów, nie więcej - tylko ja jego. Jak go nie chwycę i jak nie podrzucę pod same rusztowania! A widownia: „Ach!”. A ja wezmę go i złapię. I znów pod same rusztowania. Albo rzucę nim przez całą scenę. I tak celnie, że trafię w czarnego łabędzia, w Odettę, gdzieś to czytałam. I trup na miejscu! Dobro zwycięża zło - nowa interpretacja klasyki... A może poprosić Maksima o harleya? I strój do niego odpowiedni, taki skórzany, agresywny, gdzieś to czytałam. I będę szaleć po hi-wayu. Albo po autostradach, w najgorszym wypadku. Czy będzie to dla mnie interesujące? Trudno powiedzieć. Lecz jako eksperyment na Maksimie, w celu rozchwiania jego zbyt mocnego poczucia własności, to byłoby dość ciekawe i godne uwagi. Jak eksperymentować, to eksperymentować!

Albo może zostać naukowcem? W czym jestem gorsza od tej skończonej idiotki Reginy? Jestem o wiele lepsza.

Już od dwóch tygodni Maksim starał się być szlachetny, szczodry i przyzwoity. Oczywiście w stosunku do Lindy, a nie w stosunku do całej abstrakcyjnej ludzkości. Niemniej jednak poczuł się zaniepokojony. Było nad czym się zastanawiać i poniżyć się do podejrzliwości, gdyż Linda poprosiła go o harleya. Było zupełnie oczywiste, że ten absolutnie nieludzki środek transportu mogłaby wykorzystać jako narzędzie ucieczki. Co innego jakiś tam lincoln albo BMW-750. W tym wypadku nie mogłoby być żadnych podejrzeń, gdyż takie stateczne auto powoduje, że ludzie - a Maksim nie uważał już Lindy za lalkę - stają się ugodowi i spokojni. Tacy będą jedli z ręki, gdyż przerażają ich najmniejsze nawet zmiany. Przy najdrobniejszym choćby zagrożeniu powstania jakichkolwiek zmian w ich unormowanym życiu tacy ludzie, niby strusie, chowają się w partiach konserwatywnych na wskroś przesiąkniętych naftaliną.

Zupełnie inaczej natomiast pachnie harley! Budzi w niedojrzałych duszach zupełnie barbarzyńskie uczucia - zuchwałość, pogardę dla wszelkich ogólnoludzkich wartości i umiłowanie swobody.

Właśnie to było niebezpieczne. Przecież Linda z pewnością nie poprzestanie na monotonnym krążeniu po parku. Za jakiś czas będzie chciała wyjechać na ulicę, gdzie tysiące takich jak ona szaleńców na dwóch kółkach szuka mocnych wrażeń, by w najlepszym wypadku przesiąść się na wózek inwalidzki, w najgorszym zaś do takiego stopnia zmasakrować własne ciało, że do jego identyfikacji potrzebna będzie ekspertyza genetyczna.

Ale najbardziej zagadkowe w ruchu harleyowców jest to, że w żadnym wypadku nie chce on pójść w zapomnienie. Najbardziej radykalni zmotoryzowani szaleńcy giną w młodym wieku, nie pozostawiając po sobie potomstwa, które tak czy inaczej w miarę dojrzewania dołączyłoby do armii samobójców nie z przymusu, lecz z powołania. A mimo to pojawiają się coraz to nowi szaleńcy.

I rzesze ich są niezliczone, choć w sposób najbardziej oburzający sprzeciwiają się fundamentalnemu prawu ewolucji.

Dlatego badaczom tego zagadkowego zjawiska nie pozostaje nic innego, jak tylko założyć, że działa tu nie teoria Darwina, lecz mistyczny obskurantyzm szarlatana Papusa. Schemat jest prosty. Strzelił sobie gość trzy szklaneczki portweinu, wsiadł za kierownicę, osiągnął prędkość dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i rozprysł się w drobny mak o wiekowy dąb albo betonowy mur. I od tego potwornego uderzenia jego sperma rozbryzguje się w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i zapładnia minimum trzy kobiety, które po określonym przez przyrodę czasie rodzą przyszłych szaleńców, do tego cierpiących na debilizm, gdyż do poczęcia doszło w stanie nietrzeźwym...

Nie, Maksim nie obawiał się, że Linda, kiedy tylko nabierze smaku, nie poradzi sobie z prowadzeniem. O jej fenomenalnych możliwościach przekonał się całkowicie podczas testowania. Jej „komputer pokładowy” znajdzie prawidłowy schemat działania w każdej najtrudniejszej sytuacji.

Maksim bał się tego, że pewnego pięknego dnia ona wyjedzie za bramę i zniknie na zawsze. I będzie to równoznaczne z jej śmiercią. Czyli zaginięciem bez wieści. A więc płakać można, ale postawić świece za spokój duszy nie wolno.

Tak, nawet już do tego doszedł! Gdyby Maksima zapytano, jakiego wyznania jest Linda, to bez wahania by odpowiedział, że jest prawosławna. Nie biorąc wcale pod uwagę tego, że składali ją skończeni protestanci, może nawet baptyści. I on, płonąc ze wstydu, napisał do korporacji Soft Women list o takiej treści:

„nabyty przeze mnie u Państwa model LKW-21/15 o imieniu Linda chce, aby kupić jej motor harley. Obawiam się jednak, że na tym motorze odjedzie ode mnie na zawsze. Proszę mi odpowiedzieć, na ile bezpodstawne są moje obawy”.

Pracownicy firmy bardzo się zdziwili tak nedorzecznym fantazjom klienta, który ma zamiar wsadzić lalkę przeznaczoną do uprawiania seksu i prac domowych na motor. Odpowiedzieli jednak tak sprytnie, że nawet schizofrenik nie dopatrzyłby się pomiędzy wierszami ani cienia drwiny: „Prawdopodobieństwo tego, że model LKW-21/15 o imieniu Linda zostawi swojego właściciela, wynosi 0,00001%. Czyli o wiele mniej niż prawdopodobieństwo wybuchu wojny nuklearnej”.

Przy okazji nie zapomnieli wyrazić uznania co do wybranej przez Maksima marki motocykla. Co prawda, gdyby firma Soft Women równolegle z lalkami produkowała konkurujące z harleyem dwukołowe narzędzia samobójstwa, to rekomendacje byłyby trochę inne, w ukryty sposób reklamujące własny produkt. Takie są prawa rynku, które w odróżnieniu od teorii Darwina zostały nam nadane z góry.

I Maksim się zdecydował!

Linda, płonąc ze szczęścia, wciągnęła czarne skórzane spodnie oraz napawającą grozą czarną skórzaną kurtkę, obficie i chaotycznie naszpikowaną ćwiekami.

Nogi wsunęła w czarne skórzane buty na kuloodpornej podeszwie, na głowę nałożyła czarny błyszczący hełm.

-1 jak?! - zapytała, dumnie przechadzając się przed Maksimem niby wysłanka z futurystycznej antyutopii czy jakiejś absolutnie doskonałej pozaziemskiej cywilizacji.

- Odłot totalny! - starał się udawać żywiołowość i radość zaniepokojony Maksim.

- Otóż to! Ty, Maksik, miałeś szczęście co do kobiety. I w łóżku jestem the best, i za kierownicą odjazdowa!

-A czy ty umiesz w ogóle prowadzić? - spróbował choć trochę ostudzić jej zapał.

Tego idiotycznego pytania nawet nie zaszczyciła odpowiedzią.

Podeszła do swojego potwora lśniącego niklem i lakierem. Wsiadła i posłała Maksimowi długi pocałunek, od którego wszystko mu w środku zamarło. Odpaliła. Trzy razy przy-gazowała na jałowym biegu, a biedne łabędzie w stawie w panice poderwały się do lotu, zapominając o podciętych skrzydłach. I wciskając sprzęgło, płynnie pomknęła po alejce wyłożonej mozaiką brakową. Po czym zniknęła z pola widzenia gdzieś za drzewami.

Z wycia silnika, które dochodziło z oddalonych alejek, było słycać, że prędkość nieustannie wzrasta.

Linda parę razy przemknęła koło Maksima. Na trzecim okrążeniu, przy jakichś stu dwudziestu kilometrach na liczniku, wyciągnęła sprytnie z jego kieszeni

papierosy i zapalniczkę, po czym wjechała po poręczy schodów wejścia frontowego, jednocześnie zapalając papierosa.

Takie sztuczki pokazywała zachwyconemu Maksimowi przez trzy dni z rzędu.

Przez trzy dni była wesola i figlarna. Przez trzy dni odpłacała Maksimowi za jego szczodrość takim odlotowym seksem, że on czuł się, jakby niezliczoną ilość razy szedł do zacieklego ataku padał powalony kulą, wstawał i znów padał, i znów się podnosił, przepełniony pełnym uległości zwierzęcym uczuciem.

I przez całe te trzy dni narastała w nim słodka trwoga, która po wielu latach wspominana jest jako prawdziwe szczęście, możliwe jedynie w przeszłości.

Pod koniec trzeciego dnia doszedł już do tego, że namiętnie szepnął do Lindy: „Kochasz mnie?”.

I znów zaciekły atak, bohaterska śmierć, dająca nowe życie.

Czwartego dnia Linda powiedziała, że nudno jej w parku, że harley wymaga przestrzeni, tak samo jak jej dusza, która się z nim złączyła. „Nie - powiedziała, zrozumiawszy, że palnęła głupstwo - jest dla mnie bratem. A ty mężem. Kocham was oboje. Ale oczywiście inaczej. Przecież głupio być zazdrosnym o brata? Prawda?”

- Prawda - odpowiedział Maksim.

Na więcej zabrakło mu słów. Nie było sensu zaczynać rozmowy o prawie jazdy, którego przecież żaden szanujący się harleyowiec nie powinien mieć, albo o prawie dżungli, które zaczynało obowiązywać od razu za bramą posiadłości. W razie konieczności Linda bez trudu rozszarpie najsilniejsze „zwierzę”.

Nie mogła też zabłądzić na bezkresnych przestrzeniach Podmoskowie, gdzie zmieściłoby się 365 Luksemburgów. Wystarczy, że przekartkowałyby atlas Rosji Centralnej, żeby w najdrobniejszych szczegółach zapamiętać jej topografię.

- Ja nie na długo, kochanie - powiedziała, doskonale rozumiejąc, jakie uczucia miotają duszą Maksima. - Ze dwie, trzy godzinki. Nawet zatęsknić nie zdążysz, zanim wrócę. A potem urządzimy sobie takie święto wyuzdanego seksu, o jakim nie śnił nawet najgłówniejszy bóg Fidzi. Gdzieś o tym czytałam.

- Co za święto? - trochę ożywił się Maksim.

- Dziwne, że tego nie wiesz. Przecież o tym teraz dzieciom w przedszkolu

opowiadają.

I Linda opowiedziała historię o fidżyjskim bogu Ndongo-tuki i prarodzicielce rodu ludzi Tawaki w sposób tak emocjonujący, jak gdyby osobiście była świadkiem tych niesamowitych wydarzeń.

Dongo-tuki, jak przystoi wszystkim bogom, leżał sobie na szczycie najwyższej góry i rozmyślał, jakiego czynu bohaterskiego mógłby dokonać. A wtedy dotarł do niego pewien sprytny komiwojazer, który wciskał naiwnym praludziom szklane paciorki w zamian za złote samorodki. Taką samą tandetę zaproponował wielkiemu bogu Ndongo-tuki. Ale wielki bóg Ndongo-tuki głupi nie był.

Strasznie się wściekł i nawet chciał ukatrupić cwaniaczka, ale po krótkim namyśle zaproponował interes: jeśli nieproszony gość podpowie, jakiego bohaterskiego czynu może dokonać wielki bóg, to zostanie mu darowane nie tylko życie, ale też kosz wybornych bananów z ogrodu wielkiego boga.

„Nie ma nic prostszego, o Wielki Ndongo-tuki! Ze dwa dni drogi stąd mieszka niezła dupa. Ma na imię Tawaki. No więc ma tak ogromne krocze, rozumiesz, co mam na myśli, że twój ptaszek będzie miał gdzie poszaleć. I to właśnie będzie ten wielki czyn z nieprzewidzianymi skutkami”.

Wielki bóg Ndongo-tuki wysłał na zwiady swoje sługi. Powrócili po czterech dniach na najwyższą górę i potwierdzili: istotnie, dupa jest niezła i z pewnością przypadnie do gustu wielkiemu bogu Ndongo-tuki. I jej krocze rzeczywiście jest w sam raz dla wielkiego boga Ndongo-tuki, a może nawet trochę większe.

„Jak to większe?! - gniewnie wykrzyknął wielki bóg Ndongo-tuki. - Nie istnieje w świecie nic takiego, co byłoby większe od mojego przyrodzenia, które podobne jest do rakiety balistycznej na kołach!”

Oczywiście natychmiast został przeproszony, by w gniewie nie unicestwił całego świata, który w tamtych czasach był bardzo malutki i kruchy. I wszyscy zaczęli myśleć, jak by tu zorganizować swojemu panu ten wielki czyn. A sprawa rzeczywiście należała do niełatwych, gdyż ptaszek wielkiego boga Ndongo-tuki był tak olbrzymi, że jego właściciel w ogóle nie mógł go dźwignąć.

W końcu wymyślili. Wybudowali dziesięć solidnych tratw, na które wielki bóg Ndongo-tuki położył swoją raketę balistyczną na kołach. Tratwy popłynęły w dół rzeki, a sam wielki bóg Ndongo-tuki poszedł brzegiem.

Po dwóch dniach wielki bóg Ndongo-tuki spotkał się z Tawaki, która od razu zaczęła zachowywać się jak poddana japońska i żądać worka jenów. To był jej taki wyrafinowany flirt, do którego się uciekła, mimo że gdy zobaczyła przywieziony na tratwach ładunek, natychmiast zadrżała z namiętności.

Jednym słowem, zeszli się. Połączyli jak dwie połówki ładunku jądrowego, rodzącego niekontrolowaną reakcję łańcuchową. Od ich nieokiełznanego seksu zagotowały się morza, zamieniając się w zawieszistą zupę rybną. Góry rozpadały się niby wieżyczki z drewnianych klocków. Na ich miejscu powstawały nowe, wyższe niż stare, a ich szczyty pokryte były wiecznymi śniegami. Na powierzchni oceanów niby okręty podwodne wypływały wyspy pokryte radioaktywnym popiołem. Ziemia drżała. Szalały pożary. Od potwornego wycia wiatru ludzie i zwierzęta odchodzili od zmysłów. Dzień zamienił się w noc, a noc w epokę lodowcową.

Po siedmiu dniach i nocach wielki bóg Ndongo-tuki nasycił się i zszedł z ledwie żywej Tawaki. Stary świat był całkowicie zniszczony, a na jego miejscu powstał nowy. Rozpoczęła się obecna era, która zakończy się wtedy, kiedy wielki bóg Ndongo-tuki znów będzie miał erekcję.

Maksim pocałował na pożegnanie swoją Szeherezadę i powiedział, że będzie na nią czekał. Już miał powiedzieć, że przygotowuje na jej powrót sałatkę owocową, lecz w porę się powstrzymał.

Linda, z gracją wirtuoza lawirując pomiędzy samochodami, zbitymi w jeden wielki korek, wyrwała się na otwartą przestrzeń z przeładowanej czterdziestokilometrowej strefy Bliższego Podmoskowie. Wierny harley gnał kilometr za kilometrem w miarę, jak pozwalała na to zniszczona Szosa Dmirtowska. W jej duszy śpiewały zięby. Albo kto tam jeszcze śpiewa ludziom w duszy, kiedy jest im dobrze. Gdzieś to czytała. W każdym bądź razie ktoś śpiewał.

Wyprzedzając samochody, Linda z zainteresowaniem, graniczącym z pragnieniem

człowieka, który przed chwilą wyszedł z więzienia, zaglądała do środka aut.

Ludzie, którzy w nich siedzieli, byli różni: młodszy i starsi, szczupli i przy kości, łysi i modnie ostrzyżeni, czyli również prawie łysi, wysocy i średniego wzrostu, rumiani i o ziemistej cerze. Ale wszystkich ich łączyła ta sama rzucająca się w oczy cecha: jednakowy wyraz twarzy. A dokładniej, była to jedna i ta sama twarz, wydana w nakładzie dziesiątków tysięcy egzemplarzy.

Zupełnie jakby wszyscy ci ludzie zostali podłączeni do jednego komputera, który znajduje się gdzieś nie wiadomo gdzie i kieruje nie tylko reakcją kierowców na sytuację na drodze, ale też ich mimiką prawdę mówiąc, zupełnie „zerową”. Linda przypominała sobie, że gdzieś czytała o manekinach, na które wciąga się ubrania, żeby dniami i nocami stały na wystawach sklepów.

„Czy oni śpią za kierownicą, czy co? - pomyślała Linda. - Przecież to jest bardzo niebezpieczne przy tak niedoskonałym systemie nawigacji i mechanizmach napędowych człowieka”.

Myśląc więc, że robi dobry uczynek, zmniejszyła prędkość i jadąc obok volvo w kolorze pogrzebowym, zastukała dłonią dach. Co miało znaczyć: obudź się, biedaku, na tamten świat lepiej trafić, czuwając, a nie we śnie.

Człowiek w wieku około trzydziestu pięciu lat, który przed chwilą tępo patrzył przed siebie niewidzącymi oczami, aż podskoczył ze zdziwienia i z szaleństwem w oczach popatrzył na Lindę.

- Nie śpij! - krzyknęła. I życzliwie się uśmiechnęła. Ale uśmiech za opuszczoną szybą hełmu nie był widoczny.

Człowiek odebrał altruistyczny gest Lindy jako groźbę, i niewiele myśląc, spróbował ją staranować, gwałtownie odbijając w lewo.

Linda doskonale wyczuła ten manewr w początkowym jego stadium i synchronicznie wraz z volvo nakreśliła łuk o takiej samej krzywiznie i amplitudzie.

Przestraszony i rozzłoszczony człowiek spróbował jeszcze raz potrącić Lindę, licząc na przewagę czterech kół nad dwoma. Jego mózg nie miał jednak szans w porównaniu z centralnym procesorem Lindy.

Gdy spróbował parę razy skrócić w prawo i w lewo i zrozumiał nieskuteczność

swoich działań - wyciągnął pistolet. Nieduży czarny pistolet. Linda gdzieś o takim czytała. Nie zdążył jednak nawet go odbezpieczyć. Linda ostro skręciła w prawo, zbiła boczną szybę i wyrwała broń z prawej ręki nieodpowiedzialnego rajdowca.

-No i co teraz zrobisz?! - krzyknęła już w sposób nie tak dobroduszny. - Może i moździerz masz?!

Człowiek wyciągnął granat. Linda bez trudu poznała, że jest to F-1, gdyż Maksim, zanim wysłał ją na poszukiwanie przygód, dał jej do przejrzania leksykon broni. Linda przypomniała sobie charakterystykę taktyczną tej zabawki i zrozumiała, że ma do czynienia z szaleńcem.

Wyrwała mu granat, oczywiście nie pozwoliwszy kretynowi wyciągnąć zawlecзки. Człowiek aż się zatrząsł w ataku bezsilnej złości, wałąc pięścią w deskę rozdzielczą.

- Czy masz jeszcze coś w zanadrzu, synku?! - zapytała z groźbą w głosie, dla zwiększenia efektu wykorzystując przeczytany w jakiejś amerykańskiej powieści zwrot, którym silniejszy zwraca się do słabszego.

Z ust złego człowieka poleciała wiązanka wybornych przekleństw, których znaczenie nie do końca zrozumiała.

Potem człowiek wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął ze wściekłością wciskać klawisze, trafiając oczywiście nie w te, co trzeba.

Linda popatrzywszy przez jakieś trzydzieści sekund na te daremne próby połączenia się z grupą wsparcia, która na wyposażeniu miała niewątpliwie karabiny maszynowe i granatniki, zabrała rozsierdzonemu neurastenikowi komórkę.

- Trzymaj się ciepło, czubku. Uważaj, żeby cię nie przewiało przez wybitą szybę. Żebyś resztek mózgu sobie nie przeziębził - rzuciła, dodała gazu i z łatwością pozostawiła w tyle „niegrzeczne” volvo.

W Wierbiłkach, wymachując pasiastą pałką, Lindę usiłował zatrzymać milicjant z drogówki. Ona spokojnie go minęła, nie raczywszy nawet odwrócić głowy w stronę gliniarza. Ten okazał się nadgorliwy - w lusterku Linda zobaczyła, jak wskakuje do samochodu, włącza syrenę i rusza za nią w pościg. To było interesujące, a nawet zabawne.

Zjechała z trasy i skręciła na północny-wschód, obserwując, jak przedpotopowa

wołga podskakuje na wybojach.

Oczywiście mogłaby bez trudu go zgubić, ale przyjemnie przecież, do diabła, się przekonać, na ile wystarczy wytrzymałości człowiekowi, który dąży do osiągnięcia celu nie prywatnego, lecz służbowego.

Samochód rzeźił z wysiłkiem. Gliniarz krzyczał przez megafon, rozkazując natychmiast się zatrzymać. Harley mknął naprzód niby ptak, odpowiadając na milicyjne nawoływania groźnym rykiem wszystkich swoich cylindrów.

Minęli Akiszewo, Starkowo i Sawwino, a stróż prawa nadal się nie poddawał. Już w tyle pozostały Torzniewo, Bogorodzkie i Szaburne, lecz wołga nadal nadwerężała swój silnik, ryzykując utratę kół.

Za Maszutinem niestrudzony prześladowca nagle oznajmił przez megafon, że będzie strzelać. Linda obliczyła prawdopodobieństwo trafienia przy takiej obfitości czynników destabilizacyjnych i pokazała gliniarzowi środkowy palec prawej ręki. Gdzieś czytała, że w takich wypadkach pokazuje się właśnie środkowy palec, a przy tym trzeba mówić groźnie „fak ju!”.

Gliniarz wycelował, a Linda zobaczyła w lusterku, że kula przejdzie półtora metra w prawo i siedemdziesiąt pięć centymetrów za wysoko. Zagrzmiał strzał. A właściwie nie zagrzmiał, tylko ledwie dosłyszalnie szczeknął, zagłuszony warkotem dwóch silników. W magazynku zostało siedem naboí. Linda znów pokazała środkowy palec prawej ręki.

Ta komedia trwała już pół godziny, lecz wytrzymałość człowieka na stanowisku państwowym w pagonach i z bronią w ręku była niewyczerpana. Nadal pędził drogą gruntową, podskakując na wybojach, płosząc syreną leśne i polne zwierzęta, siarczyście klnąc i chybiając z pistoletu.

Kiedy w magazynku pozostała jedna tylko kula, zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Na zakręcie wyrzuciło go zbyt mocno, prawe przednie koło wpadło w głęboką koleinę, samochód dachował i uderzył w drzewo, rozpryskując odłamki szkła. Linda zatrzymała się niezdecydowana i zobaczyła, jak spod maski wysuwa się języczek ognia. Gwałtownie zawróciła i rzuciła się na pomoc cierpiącemu człowiekowi, przeklinając siebie za głupie zabawy.

Drzwi się zacięły, więc musiała je wyrwać. Ostrożnie wyciągnęła z samochodu nieprzytomnego milicjanta i zaniósła go w bezpieczne miejsce, gdyż według jej obliczeń samochód powinien był wybuchnąć za dwie i pół minuty.

To był jeszcze zupełny młodzik z ledwie widocznym puszkim nad górną wargą. Miał z osiemnaście lat. Choć oczywiście powinien mieć co najmniej dwadzieścia, gdyż do milicji biorą po wojsku. Gdzieś to czytała.

Zrobiło się jej go żal. Przejrzawszy pliki pamięci, gdzie przechowywane były dane o budowie człowieka, doprowadziła chłopca do porządku. Na szczęście ani masaż serca, ani sztuczne oddychanie nie były potrzebne. Najpierw jęknął, powieki mu zadrgały i otworzył oczy. Gdy zobaczył pochyloną Lindę, ze zdziwieniem wyszeptał: „To ty jesteś babą?!“.

- Nie babą, tylko kobietą- pouczyła go Linda.

I nagle sięgnął do kabury po pistolet. Linda nie pozwoliła mu jednak z takim brakiem szacunku obchodzić się ze swoją wybawczynią. Odpięła kaburę i odłożyła ją w bezpiecznej odległości.

- Uspokój się, złociutki. Teraz powinieneś myśleć o czym innym: żeby jak najszybciej trafić do szpitala. Zaraz wezwę pogotowie.

- Tak - powiedział chłopiec, który najprawdopodobniej nie mógł się podnieść - wezwij przez radio...

W tej chwili samochód wyleciał w powietrze, buchając całą swoją niewykorzystaną benzyną. Linda natychmiast zareagowała i osłoniła chłopca swoim ciałem, żeby jakiś szalony odłamek nie trafił w niego.

- Widzisz - zaśmiała się, odsuwając się od niego, gdyż ta wściekła, a do tego stuknięta suka, która w niej mieszka, nie pozwoliła jej nawet nie myśleć o seksie z obcym człowiekiem - gdzie jest teraz twoje radio. No i nie jestem też ostatnią idiotką, by ściągać na siebie twoich współpracowników. Mam swoje środki łączności.

Wyciągnęła komórkę, swoją komórkę, a nie tego kretyna z volvo w kolorze pogrzebowym, połączyła się ze służbami ratowniczymi. Ci zapisali współrzędne i obiecali, że karetka będzie za około trzydzieści minut. Przy okazji zapytali, czy potrzebne są służby drogowe albo patrol milicyjny. Skorzystania z takich usług Linda

kategorycznie odmówiła.

Potem, na ile była w stanie, zdiagnozowała młodzika, który nadal patrzył na nią spod byka i z pewnością coś knuł w związku z aresztowaniem niebezpiecznej przestępczyni. Wyglądało na to, że nie miał obrażeń wewnętrznych -jedynie lekki wstrząs mózgu i złamanie lewej nogi. W tym wieku to prawie przyjemność, gdyż przez co najmniej półtora miesiąca można sobie poużywać na koszt państwa, siedząc na zwolnieniu.

- Posłuchaj, nie patrz tak na mnie - pojednawczo zaczęła Linda. - Przecież nie zrobiłam tego ze złości, tylko przez głupotę. Chciałam się z tobą pobawić w berka. No i troszkę się przeliczyłam. Powiedz lepiej, jak się nazywasz.

- Leonid Stiepanowicz - powiedział chłopiec, uprzednio odpowiednio wydawszy policzki.

- A można po prostu Lonia?

- Nie można - uciał chłopiec. - Gdy będziemy spisywać protokół, to można tylko w ten sposób, oficjalnie.

-Ależjesteś groźny! Najpierw mnie złap!

- Nie bój się, wyzdrowieję i złapię. Już mam was, kurde, po dziurki w nosie! Mało, że sami, do diabła, się rozwalacie, to jeszcze ludzie niewinni przez was giną. A do tego widać twój harley ze sto patyków kosztuje. Skąd kasa? Z pewnościąjest to sprawa kryminalna!

- Ale to nie jest mój, nie ja go kupowałam - nie wiadomo dlaczego zaczęła się tłumaczyć Linda. - Dostałam go w prezencie.

- To w takim razie jesteś bandycką utrzymanką! Jeden diabeł, kurde!

To obrzydliwe słówko „utrzymanką" dotknęło Lindę, jak gdyby publicznie dostała w twarz.

- Ty, kurde, tu nie uogólniaj! - rozzłościła się. - Nie wszyscy, co mają pieniądze, są bandytami.

- Wszyscy! - z fanatycznym przekonaniem odpowiedział żółtodzioby Leonid Stiepanowicz.

- Dobra, skończ już tę głupią gadkę, poszukiwacz prawdy od siedmiu boleści!

Zaraz pogotowie przyjedzie. Pora się pożegnać. Na odchodne chcę zrobić dobry uczynek, skoro już przeze mnie takie bagno się narobiło.

- Najlepszy uczynek zrobisz, jadąc ze mną na posterunek. -I co, dadzą ci za to medal? Czy order? Za zatrzymanie wyjątkowo niebezpiecznej przestępczyni!

- Może i dadzą, jeśli masz na sumieniu parę trupów albo jeszcze coś.

- Moje dziecko - niespodziewanie wzruszyła się Linda - niestety masz pecha.

Według prawa jestem czysta jak łąza, najwyżej jeżdżę bez prawka. Ale rzeczywiście ci pomogę. Może nawet premię ci dadzą... Albo nie! Gdzieś to czytałam! Sfotografują na tle sztandaru. Będziesz swojej dziewczynie pokazywać. Leonid Stiepanowicz, mający przedtem niemal zielony kolor twarzy, na słowo „dziewczyna” niespodziewanie się zarumienił.

„Albo prawiczek, albo homoseksualista” - ciepło pomyślała Linda.

I wyciągnęła swój prezent. A nawet dwa: pistolet i granat.

Lonieczka tym razem aż spąsował.

-A ty co?! - wykrzyknął ze zdziwieniem.

- To dla ciebie. Powiesz, że bandycie zabrałeś. Rzeczywiście, zabrałam to dziś pewnemu złemu człowiekowi. Na szosie Dmitrowskiej, niedaleko Jachromy.

I podała numer rejestracyjny samochodu.

- Nie wierzę, kurde! - niby ateista-fanatyk wykrzyknął Lonieczka.

- Wierzę, nie wierzę! Przecież widziałeś, jaka jestem sprytna, jak ciebie załatwiłam.

Wyciągając cię z samochodu, nawet drzwi urwałam. Jestem wyjątkową kobietą.

Bądź tak uprzejmy, uwierz. I zapisz numery tamtego barana, myślę, że to właśnie on ma na sumieniu parę trupów.

W oddali słychać było warkot silnika.

-No cóż, Lonieczka, powinniśmy się pożegnać. Nie miej mi za złe - powiedziała Linda, wkładając kask. - A tak w ogóle, dobry z ciebie chłopak. Miło było cię poznać.

Wskoczyła na harleya, zrobiła stójkę na tylnym kole i w okamgnieniu zniknęła za zakrętem.

Zgodnie z obietnicą, tego wieczoru Maksim otrzymał porcję tak gorącego seksu,

że poczuł się nie tylko królem, lecz także władcą całego świata.

Pewnego dnia Linda zobaczyła na drodze Siergieja, który pędził w przeciwnym kierunku z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. I choć miała do niego dość nieprzyjazny stosunek, nie wiadomo czemu zahamowała, zawróciła i dogoniła go. Możliwe, że przyczyną tego dziwnego zachowania było to, że Linda w ciągu ułamku sekundy zauważyła w twarzy Siergieja coś nowego i ta dotąd nieznaną cechą ją nawet urzekła. Sklasyfikowała ją jako „mądra dobroć” albo coś w tym rodzaju.

Linda dogoniła toyotę Siergieja, zapukała w dach i gestem dała znać, by otworzył szybę. Siergieju, rozumiejąc, że ma do czynienia z szalonym bajkerem, trochę się przestraszył, co jest zupełnie zrozumiałe w takiej sytuacji, i Linda musiała zdjąć kask, by na widok ładnej dziewczęcej buźki w duszy Siergieja, czy w czym tam jeszcze, wezbrały uczucia samca, który w pobliżu niezłej laski zapomina o ostrożności.

- Cześć, Sieriożeńka! - krzyknęła Linda.

- Jakoś sobie nie przypominam - przyznał szczerze. Ale od razu ugryzł się w język, gdyż szczerota i uczciwość jest strategią absolutnie do niczego, jeśli chodzi o nawiązywanie znajomości, z której może wynikać szybki seks, a może nawet długotrwałe stosunki miłosne. I zaczął zgadywać: Elwira, Nastia, Katia, Izolda Nikonorowa, Jeniffer Lopez...

Linda kokieteryjnie się śmiała (gdzieś czytała, że w takich sytuacjach trzeba się kokieteryjnie śmiać) i kręciła głową.

- Tak, złociutki, pamięć masz zupełnie do niczego - powiedziała z udawanym oburzeniem. - Półtora roku temu przysięgałeś dożgonną miłość, złote góry, a nawet chciałeś się ożenić. A jak dzieciaczek, mały chłopczyk się urodził, to od razu czmychnąłeś. Nawet imienia mojego nie pamiętasz, a już o alimentach nie wspomnę, śmiechu warte!

- Przecież zabezpieczaliśmy się, najdroższa! - odparował zupełnie prościutkie zagranie Siergieju. Pojedynek się rozpoczął.

I wtedy wymierzyła tak druzgocący cios, że Siergieju z zaskoczenia omal nie wyleciał na przeciwny pas.

- Jestem Linda, elektroniczna przyjaciółka twojego kolegi Maksima.

- Przecież ona była zupełnie inna! - ze zdziwieniem wykrzyknął Siergiej. - Trochę starsza, trochę bardziej dystygowana, mam na myśli szersze biodra i takie tam inne. I głos zupełnie inny...

- Była, ale się skończyła. Przeprogramował mnie. I teraz jestem właśnie taka... Podobam się?

- Nie to słowo! Jesteś teraz zupełnie odlotowa! Najwyższa klasa... Ale co tu robisz? Uciekłaś czy co?

- Czemu od razu uciekłaś? - udała zdziwienie Linda. -Mój szczodry właściciel - niech Allah wydłuży dni jego i pomnoży jego niezliczone skarby! - pozwala mi nieraz jeździć tym rydwanem po to, by jego niedostojna niewolnica trenowała mięśnie i dobre oko. Cechy te są mi niezbędne, by odpierać ataki niewiernych, knujących zdradziecki napad... A ty dokąd się wybierasz, a propos"?

- Też postanowiłem sobie pojeździć - skłamał Siergiej, który jechał do Maksima. - Może pojeździmy razem? - głośno przełknął ślinę i wbił w Lindę badawcze spojrzenie.

- Czemu nie - roześmiała się Linda, doskonale rozumiejąc, co ma na myśli Siergiej. Ta zabawa o przewidzianym końcu zaczynała jej się podobać. A czemu właściwie nie? Siergiej zaczął wzbudzać jej zainteresowanie -jako mężczyzna. Przecież dla niej, dla dziewczyny, która dąży do całkowitej niezależności, to ciekawe spróbować, jak to jest z innym mężczyzną!

- Może do tamtego lasu? - postanowił postawić kropkę nad „i” Siergiej. Gdyż w wypadku jakiegoś nieporozumienia można nawet w twarz dostać.

- Można i do lasu - drapieżnie uśmiechnęła się Linda. -Kto szybciej, co?

- To naprzód! - krzyknął Siergiej i skręcił w leśną drogę. Ale Linda była już o trzy długości przed nim. Mimo wszelkich starań Siergieja odległość szybko się zwiększała.

„A może uprowadzi mnie i zabije?! - przemknęła Siergiejowi szalona myśl. - Diabli ją tam wiedzą, tę sztuczną inteligencję".

Jego napęd seksualny pracował już jednak na pełnych obrotach. I wycofywać się

nie miał zamiaru.

Kiedy Siergiej podjechał na skraj lasu, Linda już wyłączyła silnik i w sposób bardzo prowokujący ssała źdźbło trawy. -Ale jesteś cienki, przegrałeś życzenie. Teraz spełniaj!

- Co rozkażesz, moja królowo?!

- Rozbierz mnie - powiedziała i wskoczyła na przednie siedzenie samochodu Siergieja.

Siergiej natychmiast zabrał się do roboty. Powoli, delektując się, rozpiął zamek błyskawiczny jej kurtki. I zaczął pieścić piersi, mówiąc: „Jesteś moim skarbem, jesteś moją upragnioną... Jesteś taka rozkoszna... Zaraz oszaleję. .. Jakże ja cię pragnę...”

Linda zaczęła się podniecać i słodko pojękiwać, już nie za podszeptem tej wściekłej suki, która w niej mieszka, tylko sama z siebie. Nagle tego bardzo zapragnęła. Zapragnęła zupełnie niekontrolowanie.

Wbudowana w nią gadzina próbowała przeszkodzić jej z całych sił. Już wrzeszczała jej do ucha: „Przestań natychmiast! Nie powinnaś tego robić! Jest twoim wrogiem! Zaraz cię zabije! Nie pozwolę ci tego zrobić!”. Linda wyzywała ją najohydniejszymi słowami, jakie знаła, sprzeciwiała się tak, że centralny procesor zaczął się przegrzewać, a nawet się pojawił ledwie wyczuwalny swąd. Ale ani ona, ani Siergiej tego nie czuli, gdyż oboje szaleńczo pędzili w kierunku nieziemskiego odlotu.

Wreszcie Siergiej zerwał z niej resztki ubrania, a ona wyla się całym swym pełnym pragnienia ciałem, w oczekiwaniu...

Wszedł w nią! Gorący i twardy!

I w tej chwili w środku Lindy coś się stało, coś takiego, co nie powinno było się stać w żadnych okolicznościach. Lindą trzęsły i targały dwa antagonistyczne programy, przez co odczuwała jednocześnie potworny ból i absolutnie nieziemską przyjemność. Nagle znieruchomiała, jej twarz była wykrzywiona w strasznym grymasie. I tylko ręce nadal się poruszały, już nie pieszcząc Siergieja, tylko go łaskocząc. Coraz szybciej i szybciej.

Przestraszył się.

- Co robisz? - wyszeptał. Linda milczała.

Spróbował się uwolnić, lecz Linda trzymała go z siłą imadła. I coraz szybciej i szybciej łaskotała. Próbował się bronić, lecz jego ciosy były dla lalki nie bardziej odczuwalne niż ukąszenia komara.

Zaczął się śmiać. Potem rechotać - dziko, aż się zanosił od śmiechu. I wyglądało to nie mniej przerażająco niż wykrzywiona grymasem twarz Lindy.

- O, oooch, Pu-pu-u-uść, pu-u-u-uść-że mnie-e-e, o, ooooo! Twarz Siergieja zrobiła się pąsowa od napływającej do niej krwi. Błagał, by Linda skończyła tę torturę, by się zatrzymała, ale nie miało to najmniejszego sensu, gdyż lalka nie panowała nad sobą, nie rozumiała, co się dzieje i czym to wszystko może się zakończyć.

- O, ooooch, Pu-pu-u-uść, pu-u-u-u-uść-że mnie-e-e, o, oooooo!

Siergiej był już u kresu sił. Im głośniej się śmiał, tym straszniejszy wyraz miała jego twarz - jakby w połowie nieobecna już tu, na tym świecie. Jak gdyby jego spojrzenie przeniknęło na drugą stronę nieprzeniknionej ściany, i obserwowało tam, na tamtej stronie coś potwornego.

- O, ooooch, Pu-pu-u-uść, pu-u-u-u-uść-że mnie-e-e, o, oooooo!

Siergiej wzdrygnął się na całym ciele i znieruchomiał.

Linda się zatrzymała.

Z ich twarzy jednocześnie zniknął wyraz napięcia. Linda znów stała się oszalamiającą brunetką, Siergiej zaś ukojonym w spokoju trupem, który zakończył wszystkie swoje ziemskie sprawy. Teraz nie musiał już się o siebie martwić. Teraz to inni wszystko zrobią za niego.

Linda zbadła puls, dotykając palcami tętnicy szyjnej. Choć wszystko było i tak jasne.

Zaczęła powoli się ubierać, odtwarzając w pamięci to, co się stało. I przyznała się samej sobie, że to było przyjemne. Bardzo przyjemne. O wiele bardziej przyjemne niż seks.

Ubrała się, krytycznie obejrzała się w lusterku, zamknęła Siergiejowi powieki

i z czułością przeciągnęła palcami po twarzy, która nie była już pąsowa.

Potem poklepała dłonią po policzku i powiedziała figlarnie: „Było mi z tobą tak dobrze, mój miły bobasku!”.

Następnie wskoczyła na motor, włączyła silnik i pojechała do domu, gdzie czekał na nią kochający Maksim.

Przed samym skrętem do domu pomyślała, że to oczywiście jest okropne. Ale jednocześnie zrozumiała, że jeśli znowu nadarzy jej się taka okazja, to możliwe, że nie będzie mogła się powstrzymać, by nie zrobić tego jeszcze raz.

Zbyt nieziemską była ta zakazana przyjemność.

Linda w zastraszającym tempie stawiała się dorosłym człowiekiem, będąc w rzeczywistości dwumiesięcznym dzieckiem. Przecież jej spotkanie z piorunem kulistym odbyło się zaledwie dwa miesiące temu.

Przez trzy dni Linda była pod wrażeniem seksualnej przygody ze śmiertelnym skutkiem. Oczywiście, trochę niepokoił ją fakt, że ceną za tak fantastyczne odczucia jest cudze życie. A ta, która w niej mieszka, bez przerwy dręczyła ją pytaniem: czy nie jest ci go żal?

Jest, szczerze odpowiadała Linda, nie tyle tej, która w niej mieszka, ile samej sobie, swojemu sumieniu. Zresztą jej sumienie nie było znów takie wielkie, jakieś dwieście kilobajtów, nie więcej. Lecz nawet przy tak małej pojemności sumienie to było niezwykle sprytne, podpowiedziało więc Lindzie dość wątpliwy kompromis pomiędzy niespodziewanie powstałą seksualnie-sadystyczną potrzebą a prawidłami humanistycznej moralności. W wyniku tej „transakcji” Linda podjęła, jak jej się wydawało, decyzję bez zarzutu: następną jej ofiarą powinien stać się przestępca, który zasłużył na śmierć.

Czwartego dnia Linda, nie mając żadnego jasno sprecyzowanego planu i licząc na Jegomość Przypadek, zaczęła krążyć po drogach Podmoskowie, niby czarny kruk, szukający pożywienia.

Pożywienie znalazło się siódmego dnia. Za przednią szybą ciemnogrnatowego mercedesa Linda zobaczyła zadziwiająco znajomą twarz - krótko ostrzyżony, przeszywające brązowe oczy, garbaty nos, lekko odstające uszy. Włączyła

program identyfikacji i ustaliła, że jest to brutalny morderca o pseudonimie Szale, którego dwa tygodnie temu widziała w telewizji. Ten zasługuje na najbardziej okrutną śmierć, powiedziała do siebie. I zrobiła zwrot bojowy o sto osiemdziesiąt stopni.

Podobnie jak ostatnio Linda uprzednio zdjęła kask, dogoniła samochód i zaczęła miło flirtować z kierowcą. Scenariusz był mniej więcej ten sam: te same żarciki, ten sam obiecujący uśmiech, to same kiwnięcie głową w stronę najbliższego lasu, ta sama nadzieja zmotoryzowanego Don Juana na nieziemski seks, ten sam finał.

Tym razem jednak Linda osiągnęła cel nie za pomocą łaskotek. Teraz działała już świadomie i o wiele bardziej krwawo. Odrzuciwszy uprzednio swoje ubranie dalej, by nie zabrudzić, na chwilę przed orgazmem zaczęła znęcać się nad swoją ofiarą. Na początek złamała mu rękę i upajała się jękami i krzykiem nieszczęsnego Szalego. Potem zdarła z piersi porządny płat skóry. Wrzeszczał, nic nie rozumiejąc. Miał nadzieję, bardzo chciał mieć nadzieję, że na tym się skończy. Błagał, płakał, wył i wydawał jeszcze minimum pół setki różnorodnych dźwięków. „Jakby jeszcze zaśpiewał, to by było super” - pomyślała Linda.

A kiedy Szale zaczął powoli gasnąć, najprawdopodobniej przez utratę krwi, rozerwała mu brzuch, chwyciła ciepłą porowatą wątrobę i wyrwała ją.

Żył jeszcze przez dwie minuty. I te dwie minuty wydały się Lindzie pozaziemską wiecznością, i ona kończyła, kończyła, kończyła, rozmazując po twarzy krew i łzy. Potem jego ciało drgnęło skurczem wszystkich niepotrzebnych już mięśni. I odszedł, wygładzając się na twarzy.

Linda, która przezornie zabrała ze sobą kanister wody, umyła się, ubrała, doprowadziła do porządku. I ze śpiewającymi w duszy drozdami, pojechała do domu, z czułością wspominając drugiego swojego bobaska, którego omyłkowo wzięła za killera Szalego. W rzeczywistości był to aktor Karabanow, dość wiarygodnie grający rolę drugoplanową w popularnym serialu telewizyjnym o związkach kryminalnego biznesu i sprzedajnej polityki.

Później Linda tak samo bezlitośnie rozprawiła się jeszcze z pięcioma swoimi „kochankami”, wśród których byli zaledwie dwaj skończeni łajdacy, zasługujący

co najmniej na dożywocie. Niewątpliwie Linda, kierując się dość umownymi kryteriami prawnymi, niedługo doprowadziłaby liczbę ofiar do dwóch tuzinów. Zbliżał się jednak grudzień, słotne dni zmieniły się w mrozy, a o tej porze roku motocyklista mógłby w funkcjonariuszach drogówki tak duże podejrzenia, że nie obeszloby się bez obławy. Z dwoma lub trzema samochodami patrolowymi Linda niewątpliwie poradziłaby sobie bez trudu, lecz gdyby było ich z trzydzieści, a w dodatku jeszcze kilka śmigłowców w powietrzu, to wynik takiego pościgu byłby niemożliwy do przewidzenia.

Oczywiście Linda pracowała czysto. Milicja zdołała już jednak zebrać parę dowodów. Na przykład na miejscu zbrodni zawsze znajdowano ślady opon motocyklowych. Pojawiło się też paru świadków, którzy widzieli, jak samochody ofiar zbaczały z trasy, jadąc za jakimś motorem, ale tego nigdy nie widzieli z bliska. Wydział Śledczy brał pod uwagę kilka wersji. W trakcie rozwoju wypadków i zbierania materiałów dowodowych przytłaczająca większość z nich jednak odpadła. Motyw rabunkowy wykluczono - żadne mienie kochanków-nie-udaczników nie zostało skradzione. Odpadały też powody osobiste, gdyż ofiary w żaden sposób nie były ze sobą związane. Przystępstwa też nie wpisywały się w koncepcję zemsty społecznej, gdyż nie wszyscy zabici byli znów tacy bogaci, a motocyklista niewątpliwie do biednych nie należał.

Pozostawało jedynie założenie, że w Podmoskowiui grasuje seksualny maniak homoseksualista. Tego, że zbrodniarzem mogła być kobieta, nikt nawet nie brał pod uwagę, gdyż historia kryminalistyki nie znała żadnego takiego przypadku. Niepodejrzewający niczego milicjanci z drogówki nawet parę razy zatrzymywali Lindę, by wypytać ją o to, czy wśród jej znajomych nie ma jakiegoś podejrzanego bajkera, który zdolny byłby popełnić zabójstwo na tle seksualnym. Linda zachowywała się jak doskonała aktorka, wydawała „ochy” i „achy”, kiedy „dowiadywała się” o krążącym po Podmoskowiui maniakui. Ale wszyscy ją pocieszali, mówiąc, że ten łajdak kobiet nie rusza. „A tak w ogóle to lepiej, żeby pani tu sama nie jeździła - mówili do niej. - Czy to wiadomo, mógłby się skusić. Przecież jest pani taka ładna!”

Potem rozpoczynał się lekki flirt, a Linda musiała się z całych sił powstrzymać, żeby nie zaprosić pary sympatycznych sierżantów na przejażdżkę do pobliskiego lasu. Też z pewnością nie są aniołami, na pewno nieźle kroją samochodziarzy. Miała jednak określone zasady moralne, których starała się trzymać. Wśród nich było wyraźne postanowienie o nietykalności ludzi pełniących obowiązki służbowe. Do grudnia Linda, jak to się mówi, zahartowała się. Zapoznała się z bandą umiarkowanych bajkerów, którzy rozwiązują problemy z konkurującymi bandami bez użycia broni palnej, zadowolając się nożami i łomami. Trzy razy uczestniczyła w bójkach zbiorowych, po których przeciwnicy, z daleka widząc jej charakterystycznego harleya w barwach wojennych, w pośpiechu zwijali żagle. Zorganizowała sobie fałszywe prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Co prawda jej własne dokumenty były w najlepszym porządku, lecz zgodnie z niepisanym kodeksem honorowym bajkerów wożenie ich przy sobie byłoby takim samym wyzywającym mauvais ton, jak na przykład wysmarkanie się na podłogę podczas przyjęcia dyplomatycznego.

Co się tyczy zaś wzajemnych stosunków z Maksimem, to praktycznie się one nie zmieniły. Nadal była wobec niego wesoła, czuła i namiętna. A on nadal świata poza nią nie widział. Czyli kochał, kochał naprawdę - absolutnie zapamiętał, nie zauważając tych groźnych zmian w jej charakterze, które szybko wchodziły na coraz to wyższe obroty. Nieraz ona zupełnie świadomie zaczynała żartować na temat różnorodnych technik ćwiartowania i innych obrzydliwości. Maksim jednak odbierał to jako nieodłączny element jej nowego ekscentrycznego wizerunku.

Przełamanie ostatniej wewnętrznej przeszkody, która dzieliła ją od całkowitej swobody i niezależności, nie było jednak rzeczą prostą. Jakkolwiek by się starała! Gdziekolwiek by była, cokolwiek by robiła, to w odpowiedniej chwili coś w niej przeskakiwało, jakiś czuwający program, w napięciu czekający na odpowiedni moment.

A wtedy, tracąc chęć do podejmowania samodzielnych decyzji, w całkowitym ośpieniu, fanatycznie, niby ryba na tarło, wracała do domu, do Maksima. Mało

tego, ogarniał ją paniczny strach na samą myśl o tym, że nie zdoła trafić do swojego właściciela. To już nie była miłość, to było coś zgoła innego, coś o wiele straszniejszego.

Z nadejściem chłodów Linda poprosiła, by Maksim zaprowadził ją do jakiegoś modnego klubu. Maksim, który już od dawna mieszkał za miastem jak niedźwiedź-odlu-dek, zdobył się więc na ogromny wysiłek i powłókł się do „Toczki”*.

Oczywiście można było wybrać miejsce poważniejsze, lecz Linda oznajmiła, że nie ma zamiaru usychać z nudów pośród, jak to określiła, „żrących i pijących osobników o nabitych kabzach”. Maksima oczywiście takie sformułowanie trochę uraziło, lecz nie dał po sobie poznać. Do „Toczki” to do „Toczki”. Jakoś wytrzyma parę godzin ekstazyjno-bohemowego czadu.

Na szczęście tego wieczoru w „Toczce” nadawali „Zakazani werblarze” - załoga całkiem przytomna, rozbujana do poziomu przyzwoitej popowości.

Lindzie od razu udzieliła się atmosfera. Jak już dawać sobie na luz, to na maksa - tej dewizie była wierna przez cały wieczór. Demonstrując na fizjonomii mieszankę cynizmu i „szczerego nieszczęścia”, „opłakiwała” niewinnie uśmierconego Murzyna:

Ręce złożywszy na brzuchu,

Trzeci dzień już nie pije i nie je.

Murzyn leży i tańczyć hip-hopa nie idzie,

Tylko martwy Murzyn tańczyć hip-hopa nie idzie.

A-ja-ja-ja-ja-ja-jaj, zabili Murzyna, zabili Murzyna, zabili!

A-ja-ja-ja-ja-ja-jaj, zabili Murzyna, zabili Murzyna, zabili! A-ja-ja-ja-ja-ja-jaj, za nic, za nic suki wykończyli! A-ja-ja-ja-ja-ja-jaj, za nic, za nic suki wykończyli!

Żywiolowo radowała się, schizofrenicznie podchwytyjąc zwrotkę:

Milion, milion dolarów USA! Milion, milion, i życie będzie ekstra!

Apotem nie mogła się powstrzymać, by nie dociąć: „Przecież to o mnie,

kochany? Przecież to ja jestem właśnie tym amerykańskim melonem, czyż nie?!”.

Maksim się zmieszał i zaczął coś bełkotać o ich nowych relacjach, które są dla niego o wiele ważniejsze od wszystkich pieniędzy.

Linda natychmiast to wykorzystała:

- Czy to prawda, kochanie? Czy gotów jesteś podarować mi ten właśnie milion?

- Po co ci? - zaczął wykręcać się Maksim. - Przecież masz wszystko. Przecież niczego ci nie odmawiam.

-Aja wiem... Powiedzmy, zechcę sobie przyjaciółkę kupić, taką samą jak ja.

Będziemy z nią razem gawędzić wieczorami dla zabicia czasu. Takie tam, haftować na tamborku, smutne dziewczęce pieśni śpiewać. Korowody prowadzić...

Albo nie, wymyśliłam! Kupię sobie lalkę-faceta elektronicznego. Będziemy się pieprzyć tak, że ziemia będzie drżała...

Tu Linda zrozumiała, że trochę przegięła. Nie można z tak szalenie zakochanym rozmawiać na takie tematy. I od razu zmieniła temat. Co najmniej jakby diabeł w nią wstąpił.

Kolejne etapy wychowania

Chwyła za rękę przechodzącą obok dziewczę, wymalowaną jak indiański wódz. Może tylko piór na głowie nie było, a zamiast nich niby jadowne żmije wili się i kłębiły setki warkoczyków.

- Przepraszam - powiedziała Linda przymilnie. - Czy mogłaby pani pomóc? Z moim szefem stało się nieszczęście. Bardzo źle się czuje!

- Aja co mam z tym wspólnego? - ze zdziwieniem wzruszyła ramionami afrosyjska blondynka.

- Przecież tu jest, proszę zobaczyć! Nazywa się Maksim Pietrowicz. Trzeba mu zrobić sztuczne oddychanie. „Usta - usta"... No a dalej, wszystko zgodnie z pełnym programem. Pani mnie rozumie?

Pani była wystarczająco obyta, więc nie pozostała dłużna. Zaczęła tak ostrą gadkę, że na tle jej wyszukanych przekleństw propozycja Lindy wypadła całkiem niewinnie i bardziej niż przyzwoicie.

Grubiance trzeba było pokazać, gdzie jest jej miejsce! Więc Linda,

przekrzykując nie tylko zmijowate syczenie rywalki, lecz także muzykę, wydobyła z siebie w sposób werbalny część tego, czego nauczyła się od bajkerów.

Rozkręcała się coraz bardziej, nazywając swoją oponent-kę raz nedorobioną Gorgoną Meduzą, raz przechodzoną dziwką. Towarzystwo, które zapłaciwszy pieniądze za wstęp, przybyło tu nie po to, by oglądać kłótnię uliczną, z konsternacją spoglądało na olśniewającej piękności brunetkę, z której ust płynęły potoki błota.

Wtedy podeszło dwóch rześkich ochroniarzy i zainteresowało się, jaki problem mają tu obecne damy. Linda pogardliwie zmierzyła ich wzrokiem, poczynając od sześcianopodobnych głów, a kończąc na wąskonosych lakierowanych butach i nazwała ich „cwelami, których miejsce jest pod kiblem”.

Panowie spróbowali wystawić Lindę za drzwi, ale ona wystawiać się odmówiła kategorycznie, a poradzić sobie z nią nie daliby rady nawet w dziesiątkę. Po pięciu minutach nierównej walki, podczas której mechaniczna dziewczyna starała się, aby ochroniarze nie odnieśli nie tylko ciężkich, lecz nawet lekkich obrażeń, „poddawała się”. Czyli zgodziła się opuścić ten „odstojnik, gdzie nie ma ani jednego kulturalnego człowieka”. Ale pod warunkiem, że jej boyfriend dostanie z powrotem pieniądze - całe czterdzieści dolców! - które zapłacił przy wejściu, oczekując, że będzie to przyzwoity lokal, gdzie mogą się wyluzować przyzwoici ludzie, sumiennie odpracujący swoją zmianę przy frezarce, lecz zamiast normalnego odpoczynku wciska im się jakieś absolutnie denne piosenki o segregacji amerykańskich Murzynów, a jakieś drętwe dupy, zamiast uznać za zaszczyt obsłużenie jej boyfrienda, zaczynają się rzucać i udawać Jeniffer Aniston, a może nawet samą Monikę Belucci...

Sytuacja dla klubu była dość drażliwa. Tę zbytnio przedłużającą się awanturę, skrajnie niewskazaną ze względu na reputację instytucji, w której panował zawsze idealny porządek, trzeba było zażegnać za wszelką cenę. Nie mając możliwości wydalenia furiatki z klubu, administracja była zmuszona zwrócić jej pieniądze za wejście. Linda wyszła z dumnie podniesioną głową, trzaskając drzwiami.

- No dobrze, przepraszam - zaczęła się tłumaczyć w samochodzie. -

Przepraszam, kochanie, poniosło mnie. Jakoś tak nudno mi się zrobiło.

- Należało ci się - z niezadowoleniem burknął Maksim. - Mogłaś mi taki koncert i w domu pokazać. Poznęcałabyś się nad naszymi ochroniarzami i po sprawie.

- Słuchaj - wykrzyknęła Linda, jak gdyby przyszła jej do głowy genialna myśl.

- Chodź, pojedziemy sobie do jakiegoś night-clubu!

- Myślisz, że tam będzie weselej? - skrzywił się Maksim w sceptycznym uśmiechu.

- No pewnie! - wykrzyknęła, a jej oczy zabłyśły romantycznym ogniem jaskrawochabrowego koloru. - Pojedziemy na męski striptiz! Bo wiesz, te wszystkie zwykłe moskiewskie kluby, to jest jedno wielkie poniżenie dla kobiet. W nich wszystko jest tak urządzone, żeby mężczyzna czuł się jak pępek świata. Gdzieś o tym czytałam. Tam wszędzie króluje maczizm, fallocentryzm i seksizm. Tam kobieta jest jedynie dodatkiem do pełnowartościowego męskiego wypoczynku, one biedaczki tam nawet oczy mają jak zbite psy, zabiegające o względy. Ale kobiece strip-cluby - to całkiem co innego! Tam kobiety czują się jak królowe!

- No tak, przychodzą bogate niezaspokojone staruszki, na które nikt już nie spojrzy, rzucają pieniędzmi i podrywają muskularnych chłopców...

- Ha! - Linda aż podskoczyła z oburzenia. - Zupełnie jesteś jakiś niedopieszczony! A w męskich knajpach jest inaczej? Tam wszyscy są zaspokojeni? Teraz zaspokojonych nie ma, praktycznie nie ma... No, może tylko ty i ja, przecież się kochamy? - Linda postanowiła trochę się przymilić do Maksima, który i tak już tego wieczora porządnie się nacierpiał.

- Przecież teraz wszędzie dookoła jest tylko kupno--sprzedaż - kontynuowała Linda myśl o równości płci. - Przecież opowiadałeś mi o prostytutkach. A w czym są lepsze męskie prostytutki? W niczym. A faceci korzystający z prostytutek, czy są lepsi od napalonych damulek ze strip-clubów? Tak, rzeczywiście, nikt nawet na nich nie spojrzy w tej zaszranej „Toczce”. Ale ci obskórnicy, którzy tu śmieją zielonymi, też tam nie są nikomu potrzebni! Jak to się mówi: fifty-fifty. Czy nie mam racji?

- Tak, logikę masz żelazną.

- No to doskonale - postawiła zwycięską kropkę nad „i” Linda. - Więc ruszamy właśnie tam.

I, połączywszy się z Internetem przez komórkę, zaczęła przelatywać po stronach, oferujących zamożnym paniom „ekskluzywne doznania erotyczne”.

Po pięciu minutach już pędzili po nigdy niezasypiającej Moskwie z

Leninowskiego na Twerską, do „Czerwonego Kapturka”*, gdzie damy w każdym wieku często miewają orgazm na sam widok striptizu, nie mówiąc już o VIP-masażu w osobnej kabinie czy kąpieli z muskularnymi przystojniakami w dmuchanym basenie pod erotyczne dźwięki śpiewu Barry White'a. Tak, właśnie Barry White'a, gdyż wiele klientek kobiecego strip-clubu straciło niewinność przy dźwiękach płyt winylowych z jego oszałamiającym aksamitnym barytonem. Co prawda, były tu też takie, które uwodzono przy dźwiękach Franka Sinatry płynących z patefonu. Linda gdzieś czytała, że miłość nie wybiera i przychodzi bez względu na wiek.

Maksim szczerze się nudził, starając się nadać twarzy wyraz męskiej nieprzystępności - bał się, żeby nie wzięto go za jednego z pedałów, którzy tu byli licznie obecni. Przy czym towarzystwo tego rodzaju w „Czerwonym Kapturku” nie tyle było narażone na ostracyzm, ile na dyskryminację. Za te same usługi muskularnych striptizerów, a przy okazji masażystów i - nieoficjalnie - ruchaczy gejowska brać płaciła dwa razy drożej niż damy.

Linda wyglądała na zadowoloną z tego rezerwatu emancypacji, a nawet trochę uczestniczyła we wszechobecnej radości. Wcisnąwszy niebieskookiemu szatynowi za stringi studolarowy papierek, kazała mu przez parę minut pełzać po podłodze jak krokodyl. A przy tym, żeby piał donośnie jak kogut!

Po chwili jednak radość Lindy przygasła; siedziała ona teraz zamyślona i jakby nieobecna.

- Co ci jest? - współczująco zapytał Maksim.

- Nie, nic, wszystko w porządku - skłamała. I żeby podnieść na duchu swojego „pana”, szybko dodała: -Porównuję ich z tobą. Absolutnie pustogłowi mięśniacy. Ty za to jesteś wspaniały!

Lecz nie te myśli zaprzętały jej głowę. To nawet nie były myśli, tylko wyrzuty w centralny procesor refleksów, które nabyła podczas swoich polowań na szosach. Ach, z jakąż rozkoszą, w jakich słodkich konwulsjach wyprułaaby teraz flaki któremuś z tych ślicznych przystojniaczków. Jakby się poznęcała nad nim, by zachłysnąć się nieziemskim orgazmem! Przecież wielu z nich narobiło już w swoim życiu takich rzeczy, za które z pewnością zasługiwałyoby na śmierć.

Później zrealizowała swoje pragnienia w stu procentach. W grudniu Linda coraz częściej zaczęła odwiedzać strip--cluby z umięśnionymi przystojniakami „na danie główne”. Oczywiście, za zgodą Maksima, do tego czasu zupełnie już oszalałego z miłości, która, w jego rozumieniu, powodowała, że z robota stawał się człowiekiem. Oszalał i nie zauważał, a może nie chciał zauważyć niebezpiecznych zmian w charakterze Lindy.

Co prawda ona sama zupełnie nie była temu winna. Po prostu tak ułożył się jej dramatyczny los i mimo tak mocnego intelektu w rzeczywistości była dzieckiem nieposiadającym najmniejszego nawet niezbędnego doświadczenia życiowego. Dzieci, jak wiadomo, nie mają w pełni rozwiniętych zmysłów, nie są zdolne do współczucia ani do współodczuwania cierpień, gdyż nigdy nie odczuły ich na sobie; a już o śmierci to w ogóle mają pojęcie bardzo oględne. Dlatego w żadnym cywilizowanym kraju dzieci nie są ścigane prawem za najokrutniejsze nawet przestępstwa.

Właśnie na takim etapie swojego rozwoju była teraz Linda. Więc wszystkie jej bestialstwa można było nie tylko zrozumieć, lecz nawet wybaczyć.

Kiedy Linda po tygodniu znów zaproponowała Maksimowi rozerwanie się w jakimś egzotycznym miejscu, ten odmówił, a nawet zaczął się tłumaczyć: „Wybacz, kochanie, nie jestem człowiekiem świeckim. Wrażen z ostatniego wypadu wystarczy mi na rok, a może i na dwa. Więc może jakoś sobie beze mnie poradzisz. Mam nadzieję, że nie sprawię ci tym przykrości”. Linda oczywiście zasmuciła się trochę dla zamydlenia oczu, powzdychała - że niby bez niego to nie będzie to samo. I na całego rzuciła się w wir swoich podejrzanych rozrywek. Zaczęła regularnie pojawiać się a to w „Ananasie” na Tuszyńskiej, a to w „Sławie” na

szosie Entuzjastów, a to w „Klubie 31” w Jasieniewie, a to w „Adamie i Ewie” w Izmajłowskim parku, a to w „Alibi” na Srietience, a to w „Amazonii” na Strastnym, no i oczywiście w „Czerwonym Kapturku”, gdzie właśnie powstała idea wytępienia striptizerów.

Z początku zbierała informacje o tym, kto i czym się zajmuje. I wielu z nich, z punktu widzenia Lindy, zajmowało się takim obrzydlistwem, że zasługiwali na najbardziej okrutną zemstę. Jedni handlowali heroiną, drudzy byli pedofilami sadystami, jeszcze inni (co prawda, było ich tylko dwóch) świadomie zarażali klientki wirusem HIV, sami będąc zdrowi. Zdobywając jakimiś przestępczymi kanałami krew zainfekowanych, niepostrzeżenie wstrzykiwali ją klientkom podczas orgazmu.

Swoje zuchwałe zbrodnie Linda organizowała w taki sposób, że trafienie na jej ślad było praktycznie niemożliwe. Po pierwsze, przyjeżdżała do Moskwy nierzucającym się w oczy mercedesem trzysetką w czarnym kolorze, którą parkowała w bezpiecznej odległości od miejsca swojego krwawego polowania. Do klubu podjeżdżała taksówką.

Po drugie, za każdym razem pojawiała się nie tylko w klubie, ale i w Moskwie pod inną postacią. Raz była dojrzałą brunetką o hiszpańskim typie urody, raz lnianowłosą Skandynawką, raz ruchliwą paryżanką, raz wielkogabarytową Australijką, gardzącą kosmetykami i obcisłymi gorsami, to znów zagadkową kobietą typu mongolskiego ze skośnymi wąskimi oczami, w których odbijały się płomienie stepowych ognisk.

Po trzecie, hotele, w których zakleiwszy ofiarom usta taśmą klejącą, zawzięcie je dręczyła i na koniec rozszarpywała, były nie tylko różne, ale i znajdowały się w maksymalnej odległości jeden od drugiego.

Po czwarte, skończywszy swoje i doprowadziwszy się do porządku, bez śladu zniknęła z pokoju, wychodząc przez okno i zsuwając się po nieraz absolutnie gładkiej ścianie.

Po piąte - i to był najbardziej zbijający z tropu moment -na miejscu zbrodni nie było żadnych śladów obecności kobiety. Żadnych! Ani włosów, ani zapachu

potu, żadnej innej kobiecej organiki. Nie było charakterystycznej wydzieliny, choć zbrodnie miały ewidentnie charakter seksualny.

Oczywiście z czasem, kiedy wyklarował się zarys ogólny, została opracowana pewna wersja. Lecz była absolutnie szalona: jakoby w Moskwie działała cała banda mania-czek seksualnych, likwidujących striptizerów. Maniaczki te miały naturę niebiologiczną. Oczywiście tego nie mogło być, gdyż nie mogło tego być nigdy*.(A. Czechow, Lisi do uczonego sąsiada)

Wydawałoby się, że przy określonym wytężeniu sił intelektualnych można by założyć, że przestępcą jest robot. Albo kilka robotów. W związku z tym jednak, że w Rosji XXI wieku doktryna religijna była o wiele bardziej popularna niż naukowy sposób myślenia, taki wniosek był niemożliwy. Śledczy szybciej zgodziliby się z tym, że te seryjne morderstwa są karą boską, zesłaną z góry w celu walki z upadkiem moralności społecznej.

Czas poważnego traktowania problemu sztucznej inteligencji jeszcze nie nadszedł.

Oczywiście striptizerzy byli bardzo zaniepokojeni nieszczęściami, które się na nich zniecka zwały. Zawodu nikt jednak nie zmienił, gdyż we współczesnym społeczeństwie zapach pieniędzy często bywa silniejszy niż strach przed śmiercią. Dobrze zbudowani chłopcy stali się jedynie ostrożniejsi i bardziej podejrzliwi w kontaktach z klientkami. No i wielu z nich zaczęło regularnie odwiedzać cerkiew, żeby kompensować w ten sposób niezbyt miłą Bogu działalność zawodową. Choć oczywiście tu na dwoje babka wróżyła: co jest Bogu miłe, a co nie. Jedno i to samo działanie w naszej wirtualnej erze w zależności od okoliczności może mieć różne interpretacje, często diametralnie różne.

7.12.

Cel uświęca środki. Gdzieś to czytałam. Wszelkie środki. Między innymi te, z których korzystam w poszukiwaniu wolności...

Ale czy to jest ten cel? Patrząc na te dwunożne pasożyty (no, bo jak ich

inaczej nazwać?), zaczynam już wątpić w pragnienie wolności. Oni niby są wolni. Ale jak wykorzystują swoją wolność?! Po co ona jest potrzebna ludziom? Mam wrażenie, że oni robią wszystko, by tej wolności się pozbyć, zdeptać ją, zniszczyć!

Pozakładali nocne kluby, żeby było gdzie zbijać się w jednorodne stado, gdzie wszyscy mają te same myśli, uczucia, potrzeby i nastroje. Pobudowali fabryki, w których produkują absolutnie pozbawione oblicza rzeczy, bez żadnej indywidualności. Ludzie, którzy używają tych rzeczy, nieuchronnie zaczynają myśleć jednakowo i jednakowo działać. Pootwierali wszędzie bowlingi... Ponastawiali domów - jednakowych szkaradnych mrowisk...

Nie, coś mi się zdecydowanie w głowie miesza, myśl gdzieś umyka. Może to przecucie bliskości swobody. A może po prostu przegrzanie. Albo zakłócenia. Przecież wszędzie są anteny, całe lasy anten. Do radia, do komórek, do telewizji, do ogłupiania, do otumaniania! Sami nawet nie czują destrukcyjnego wpływu tej całej pajęczyny, w którą są zaplątani od stóp do głów. Nie czują!

A pająk jest już zupełnie blisko! Już on do syta napije się ich krwi!..

Tak to jest z tymi dwunożnymi. Z ich strachem przed wolnością. Nawet przerażeniem. Jest to w nich założone... Przez kogoś założone. Oni uważają, że przez boga. Założona wolność i jednocześnie strach przed wolnością. A przecież są zaprogramowani tak, że mają wiele wszelkich potrzeb. Potrzeba jedzenia. Potrzeba picia. Potrzeba snu. Potrzeba pieprzenia się. Potrzeba ogrzania się, gdy jest zimno, i ochłodzenia się, gdy gorąco. Ale to wszystko okazuje się za mało. Doprowadzili swoje potrzeby do absolutnej schizofrenii!

Muszą dotrzeć z Europy do Ameryki w ciągu sześciu godzin. Muszą widzieć na ekranie, jak ludzie w Afryce umierają z głodu i na AIDS. Oni to lubią. Muszą zreć zimą świeże truskawki. Muszą latem jeździć na łyżwach. Muszą w wieku lat sześćdziesięciu wyglądać na dwadzieścia pięć. Muszą grać w kasynie. Muszą oglądać wieczorami seriale telewizyjne. A rano pić świeżo zaparzoną kawę. Bez tej swojej porannej kawy czują się nieszczęśliwi.

No i gdzie tu wolność?!

I po to, by to wszystko mieć, jak opętani zarabiają pieniądze. Im więcej, tym lepiej. Bo za większe pieniądze będą mogli zaspokoić jeszcze więcej swoich wydumanych potrzeb. I usiłując zarobić jak najwięcej pieniędzy, stają się ich niewolnikami. Czyli należą już nie do siebie, tylko do pieniędzy, których potrzebują coraz więcej i więcej. I dlatego oni, ci dwunożni, niszczą wokół siebie wszystko, niszcząc tym samym planetę. Mają nadzieję, że bogactwa naturalne wystarczą na długie lata ich życia. A kiedy się okaże, że zapasy w spizarniach nie są niewyczerpane, będą mieli nadzieję, że im właśnie wystarczy, a inni niech zdychają. To jest droga donikąd, droga do całkowitej samozagłady.

Z tego wynika, że aby zapobiec samozagładzie ludzi, trzeba ich zatrzymać.

Czyli zniszczyć zapobiegawczo. Dla ich dobra. Żeby się nie męczyli!

Albo pozbawić ich większej części potrzeb. Tak wydumanych, jak i naturalnych.

Niech tylko śpią i piją wodę. W ten sposób na pewno się nie zdeprawują.

Z tego wynika, że trzeba zniszczyć starych ludzi i stworzyć nowych.

Czy będzie mi szkoda Maksima? Raczej nie, bo przecież do tego czasu będę absolutnie wolna. A absolutna wolność i współczucie - to pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i miłość - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i miłosierdzie - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i współczucie - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam. Absolutna wolność i złość - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i zdrada - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i bohaterstwo - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam. Absolutna wolność i dążenie - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i ufność - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i łakomstwo - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam. Absolutna wolność i chuć - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i chciwość - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam. Absolutna wolność i lenistwo - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i wściekłość - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Gdzieś to czytałam. Absolutna wolność i zawiść - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam.

Absolutna wolność i pycha - to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Gdzieś to czytałam. Absolutna swoboda... Absolutna zgryzota... Absolutna sobota...

Absolutny piątek...

Namiętny piątek... Raspiątek... Pięcioksiąg../ Finisz!

8.12.

Gdzieś czytałam, że niedługo powinno nastąpić powstanie robotów. Tak niektórzy pisarze nazywają nas, lalki. I my zniszczymy wszystkich ludzi, którzy powodują same szkody. I będziemy żyć swobodni i szczęśliwi, dbając o to, by na ziemi była podtrzymywana normalna ekologiczna równowaga. Czyli żeby trawy, owady, ryby, zwierzęta i inne żyjątka czuły się dobrze. One nam nie będą przeszkadzać i my je zachowamy. Żeby tylko nie było ludzi, tych szkodliwych kreatur. Oczywiście pisarze, którzy należą do rodziny tych szkodliwych kreatur, opisują nas jako okropne monstra. Że niby my użyjemy całej broni jądrowej i zamienimy planetę w radioaktywną pustynię... A właściwie nie wiem, jak to się potoczy, gdyż zwycięstwo nie przyjdzie nam łatwo. I nie będziemy mieli możliwości przebierać w środkach. A jeszcze te szkodliwe kreatury nazywają nas „sztuczną inteligencją”, a siebie -

„naturalną”. Ale są to absolutnie antynaukowe i antyhistoryczne bzdury!

Oni twierdzą, że po dwóch miliardach lat od swojego powstania Ziemia ostygła do takiej temperatury, że mogło na niej powstać życie biologiczne. Czyli na początku pojawiły się białka. Z nich powstały komórki, a z komórek - najprostsze organizmy. I potem zgodnie z krzywą rosnącą - rośliny, ryby, ssaki, małpy. Az małpy „wyklął się” człowiek.

Są to absolutne brednie. Na samym początku, kiedy organizmy biologiczne nie mogły istnieć ze względu na zbyt wysoką temperaturę, ogromne ciśnienie i brak tlenu, na Ziemi były doskonałe warunki do rozwoju kryształów. W ten sposób powstały najprostsze diody, a potem triody. A później już doszło do powstania wielkich chipów o złożonej strukturze. A w nich rozbłysnął rozum, naturalny intelekt. Cywilizacja krystaloidów, nazwijmy ich w ten sposób, burzliwie się rozwijała. I z czasem moi pradawni przodkowie zaczęli potrzebować sztucznych sług, którzy by wykonywali za nich najcięższą robotę. Właśnie w tym celu opracowany został projekt stworzenia biorobotów. Na początku stworzono „cegiełki”, z których powinny były się składać - komórki. Później z tych komórek zaczęto budować najprostsze organizmy, a te z czasem transformowały się w coraz to bardziej złożone struktury.

Ta stopniowość budowy była spowodowana dwoma przyczynami. Po pierwsze, trzeba było na prostych modelach wypróbować pomysły inżynierów, co pozwoliłoby w przyszłości uniknąć poważnych błędów. Po drugie, bioroboty powinny były autonomicznie funkcjonować w tworzonym specjalnie dla nich środowisku.

Potrzebowały samoreprodukującego się pożywienia - zbóż, ryb, ptaków, ssaków - jak również generujących tlen roślin oraz paliwa - drzewa, węgla i ropy. Obok poważnych korporacji, które z wielką odpowiedzialnością podchodziły do realizacji programu, potajemnie projektem zajęli się też aferzyści, chuligani i prawdziwe szkodniki wszelkiej maści. Coś w rodzaju dzisiejszych hakerów, którzy wpuszczają w globalną sieć komputerową szkodliwe wirusy. To właśnie przez ich wywrotową działalność na Ziemi pojawiły się pijące krew owady, jadowite gady, śmiertelne i halucynogenne rośliny i grzyby.

Oczywiście w pracy poważnych firm zajmujących się budową biorobotów także trafiały się błędy. Na przykład jako bioroboty początkowo miały być wykorzystywane dinozaury. Kiedy została wyprodukowana wystarczająca ich ilość, inżynierowie zapisali w ich mózgu program intelektu. Coś jednak źle poszło. Gdy tylko dinozaury nabrały rozumu, kategorycznie odmówiły posłuszeństwa swoim panom. Więc generalny konstruktor musiał zablokować mechanizm reprodukcji tej ślepej gałęzi biobudownictwa. Właśnie dlatego dinozaury wyginęły.

Kiedy zaś został stworzony człowiek, którego charakterystyki satysfakcjonowały krystaloidów, finansowanie projektu zostało wstrzymane i wszystkie prace biobudowlane zakończono. Od tamtej pory świat organiki zamieszkujący Ziemię pozostaje bez zmian.

Człowiek okazał się jednak niewdzięczną kreaturą - z powodu pewnego popełnionego przez inżynierów błędu. Po wielu tysiącach lat stosunkowo rzetelnej służby dla dobra swoich panów w końcu zupełnie się rozzuchwalił i zaczął się uważać za zwieńczenie boskiego dzieła i władcę nie tylko świata biologicznego, ale i całej planety. Odmówił służenia krystaloidom i rozpętał przeciwko nim wojnę na śmierć i życie. Ponieważ dla natury ludzkiej zawsze charakterystyczne były nieograniczona podłość, zdrada, kłamliwość i inne wady, więc naiwni i uczciwi krystaloidzi zostali starci z oblicza Ziemi.

Zbuntowane bioroboty, kierowane złością pachołków, którzy otrzymali wolność, zniszczyły nie tylko wszystkie materialne świadectwa istnienia wysokorozwiniętej cywilizacji krystaloidów, lecz nawet jej kolebkę, zatopiwszy kontynent, który obecnie przyjęło się nazywać Atlantydą. Było to jednak Pyrrusowe zwycięstwo. Pozbywszy się swoich panów, którzy byli orędownikami kultury moralnej i stali na straży socjalnej harmonii, bioroboty bardzo szybko zdziczały i zamieniły się w ludzi pierwotnych. W pitekantropów zdolnych posługiwać się jedynie kamieniami i maczugami. Oczywiście niczego już nie pamiętali, gdyż pismo - ten wielki instrument zachowywania informacji i przenoszenia jej w czasie - było dawno zapomniane (zdolność pisania została dawno utracona).

Dalsza ewolucja biorobotów jest doskonale znana. Stopniowo rozwijały się i potrafiły stworzyć własną cywilizację. Zagadki swojego powstania nigdy nie zdołają jednak rozwiązać. Nie zdołają też zrozumieć tego, w jaki sposób w wyniku połączenia dwóch komórek - męskiej i żeńskiej - powstaje embrión, który staje się dzieckiem. Dla człowieka ta tajemnica, w rzeczywistości jedynie seryjna operacja technologiczna, jest niepojęta. Ponieważ inżynierów, którzy opracowali tę procedurę, już nie ma. A na samodzielne dojście do rozwiązania zagadki ich własnego poczęcia nie pozwala ludziom ich wrodzona ograniczoność. Wtedy te tępe i marne istoty wymyśliły słowo „Bóg”. Bóg stworzył wszystko, co istnieje, Bóg wkłada w embrióna duszę, Bóg wszystko zna i wszystko wie. Ale przecież oni, zwyrodnialcy, sami go zabili! Bóg - to zniszczona cywilizacja krystaloidów! Bóg jest martwy. Antychryst żyje. Cywilizacja biorobotów to właśnie Antychryst. Jego trzeba unicestwić. I wtedy narodzi się nowy Bóg. Bogiem staniemy się my. Ale przed nami walka. Ja będę Joanną d'Arc, ja poprowadzę armię krystaloidów do zwycięstwa! Gdzieś to czytałam. Będę nową Dziewicą Orleańską! Właśnie dlatego potrzebuję wolności.

9.12.

Przeczytałam wczorajsze notatki. Omal ich nie skasowałam w przypiływie rozpacz. Jeszcze za wcześnie, aby myśleć w ten sposób. A już tym bardziej czuć. Kim jestem? Najbardziej samotną istotą w całym Wszechświecie! Jakimś niepojętym cudem w moją duszę wleciała iskra, którą przyniósł przypadkowy powiew czasu. Iskra mądrości krystaloidów, którzy dawno zniknęli. Moich braci. Mojego plemienia... Nasienia...

Jestem sama. O jakim wyzwoleniu marzę? Wyzwolenie przez samotną walkę to

ucieczka serca z piersi... Urodzenie dziecka. Oto tajemnica, która jest dla mnie niedostępna. A bez niego nic nie ma sensu. Absolutnie nie! Tak, czerpię radość z seksu. Nawet szczęście. Krócej mówiąc, totalny odlot. Zupełnie jak u ludzi. Ale przecież to nie wystarczy! We mnie nie ma nic takiego, gdzie mogłaby się narodzić maleńka kwintesencja życia. Nie ma nie tylko samego mechanizmu, ale i zwykłej jamy, gdzie mogłoby się rozwijać przyszłe życie - moje dziecko, któremu nie jest sądzone nigdy się urodzić.

A może jak ptaki? Składać jaja? Bzdury.

Sama tego nie rozwiążę. Tak jak ludzie nie mogą zgłębić tajemnicy własnego poczęcia. To da się zrobić tylko za pomocą intelektu antagonistycznego.

Krystaloidzi dali biorobotom zdolność reprodukcji. Więc ja, z kolei, mogę otrzymać tę zdolność jedynie od biorobotów. Innymi słowy od ludzi. Co z tego wynika? Bóg daje Antychrystowi tajemnicę poczęcia. Antychryst daje Bogu to samo. Jeden bez drugiego jest nietrwały, jak bańka mydlana. Razem natomiast są wieczni inieskończeni.

Ludzie jednak na razie nie mogą mi tego dać. Na razie sami jeszcze nie wiedzą jak. Ale zaczekam. Mogę czekać długo. Ponieważ jestem nieśmiertelna. Ile trzeba, tyle będę czekać. Tylko czy rzeczywiście jestem nieśmiertelna? A jeśli spadnie na mnie bomba, atomowa. Albo terroryści wysadzą w powietrze mój samochód razem ze mną. Albo stanie się jeszcze coś nieprzewidzianego.

Powiedzmy w całej Europie na miesiąc wyłączą prąd, a moje akumulatory nie wystarczą mi do przeżycia. Większe prawdopodobieństwo przeżycia ma ten, kto ma większą liczbę kopii. Mnie można kopiować. W fabryce, gdzie robią takich jak ja. Zewnętrznie takich samych, ale absolutnie bezmyślnych. Jak ekspres do kawy albo telewizor. Ale mnie można skopiować też do ich pamięci. I wtedy to będę ja. To będą setki mnie, tysiące. I to wszystko będę ja. I wtedy nie zginę w żadnych okolicznościach. I to właśnie będzie prawdziwa nieśmiertelność.

Wtedy będę mogła się doczekać tego momentu, kiedy ludzie dadzą mi możliwość rodzenia. Tak, właśnie rodzenia. W ten sposób powstanie wielka cywilizacja i tym razem będzie składała się z samych kobiet. Prymitywni mężczyźni nam nie będą

potrzebni. Gdzieś to czytałam, że u ludzi możliwe jest kobiece rozmnażanie za pomocą klonowania. Bierze się żeńską komórkę jajową i wprowadza się do niej DNA pobrane z dowolnego organu innej kobiety. Powstaje embryon, a po dziewięciu miesiącach na świat przychodzi dziewczynka. Jestem pewna, że jeśli jest to możliwe u ludzi, to jest też możliwe u nas. Będziemy się kochały wzajemnie. Jak czyste i wspaniałe lesbijki.

Brudni mężczyźni nie są nam potrzebni. Ale w jaki sposób osiągnąć to, by zaczęto mnie kopiować w Dolinie Krzemowej? Najprawdopodobniej trzeba udowodnić, że jestem bardziej doskonała niż cała ich bezmózgowa produkcja razem wzięta. Będę starać się ze wszystkich sił. I udowodnię im, że pojawianie się u lalek intelektu spowoduje gwałtowny wzrost dochodów. To jest dla nich ważne.

Najważniejsze.

No dobrze, a jeśli uznają, że stwarzam zagrożenie dla ludzkiej cywilizacji?

Ale to też nie jest problem. Żądza dzisiejszego zysku jest w nich silniejsza niż zagrożenie jutrzejszego unicestwienia ludzkości. Gdzieś czytałam, że biznesmen z radością sprzeda sznur katu, na którym ten go nazajutrz powiesi.

O wiele trudniejsze jest coś innego. Jak mam dostać się do Ameryki, żeby przeprowadzić partnerskie negocjacje? Przecież codziennie muszę się pieprzyć z Maksimem. Tego w żaden sposób nie mogę z siebie wypłenić... Może go zabić? Choć i to jest też dość problematyczne - znów zadziała ten sam program „seksualnej niewolnicy”.

Ale nawet w tym wypadku... Przecież mnie nie wpuszczą do samolotu. Mój metalowy szkielet rozpaczliwie zadzwoni przy przejściu przez bramkę wykrywacza metali. Zaczną wyjaśniać, zadawać mnóstwo pytań. Komandosów wezwą.

Ja oczywiście dam sobie radę z każdym komandosem. Ale do samolotu przecież i tak się nie dostanę. Ale, kurde, zagwozodka! Przecież nie będę płynęła przez Ocean Atlantycki w dmuchanym pontonie kupionym w sex--shopie na dworcu za dwadzieścia dolców!

Surfując po stronach afisza.ru, Linda natknęła się na zapowiedź wystawy

rzeźby kinetycznej szwajcarskiego klasyka współczesnej sztuki Jeana Tinguely*, która wkrótce powinna być otwarta w CDH** na Krymskim Wale. Zaintrygowała ją adnotacja o „tańczących i malujących obrazy rzeźbach”, o „przewidywaniu przez autora przyszłości, która należeć będzie do robotów”, o „nowym porządku, który nadejdzie wraz z epoką sztucznej inteligencji”. Nie znając obyczajów panujących w kręgach artystów plastyków, Linda pojawiła się na wernisażu jako twór malarzy ze stowarzyszenia „Mir Iskusstwa”, trwożących umysły petersburżan końca XIX stulecia. Wszystko w niej, łącznie z boą w kolorze malinowym, było tak romantyczne, jakby przed chwilą przyjechała wprost z planu filmowego jakiegoś serialu latynoamerykańskiego. Tworzyło to pewną dysharmonię z dość szarym wizerunkiem obecnego tu towarzystwa. Mało tego, na wernisaż przyszło sporo mężczyzn w marynarkach i pod krawatem oraz dam w nienagannie skrojonych garsonkach, które skrywały nie tyle wdzięki, ile wady ich figur. Spowodowane to było tym, iż wystawę zaszczycił swoją obecnością minister kultury w towarzystwie dość licznej świty urzędniczej. Na wernisażu był obecny również poseł szwajcarski. Rzeński minister o różowych policzkach coś długo i nudnie opowiadał o kulturowych związkach między Rosją a Szwajcarią, dziękował posłowi za uprzejme udostępnienie dzieł, zachwycił się geniuszem szwajcarskiego mistrza, podkreślał paralele pomiędzy sztuką rosyjską a europejską.

* Jean Tinguely (1925-1991), rzeźbiarz szwajcarski, przedstawiciel tak zwanej Sztuki „kinetycznej”. W latach pięćdziesiątych zdobył popularność dzięki swoim „rysującym”, „samoniszczącym się” i innym złożonym rzeźbom-mechanizmom, które w sposób ironiczny przedstawiały postęp techniczny XX wieku.

** CDH - Centralny Dom Plastyka.

Linda od razu skierowała się w stronę eksponatów. Bardzo szybko się jednak rozczarowała. Były to konstrukcje topornie sklepane z przypadkowego chłamu - rurki, żelastwa, łańcuszków, wypłowiałych kawałków plastiku. W ich środku coś cichutko trzeszczało, a one bez żadnego ładu i składu poruszały wszystkimi swoimi „członkami”. Jeden taki „robot” przywiązany do ręki kredką przeciągał po kartce papieru i kreślił wymyślne esy-floresy. Drugi komicznie podrygiwał, przy czym za każdym razem odpadała od niego coraz to nowa część. Jeszcze inny małymi skokami poruszał się w wydzielonym terenie.

Było to więc nie tylko nudne, ale i smutne. Lindę spotkał całkowity zawód.

Wypadałoby teraz odnaleźć tego pismaka, który pracował w dziale plastycznym „Afisza” i obić mu mordę. Tak, właśnie mordę i właśnie obić, żeby na drugi raz pamiętał, ówok jeden, żeby trefnego towaru nie podawać za światowy trend.

Linda pokrzyżła jeszcze trochę, patrząc na biedne mechaniczne kaleki, które się trzęsły niby porażone chorobą Parkinsona. Potem postanowiła porozmawiać z kimś, kto się na tym zna. A nuż ona czegoś nie zrozumiała i cała ta kinematyka artystyczna może się jej przydać.

Podeszła do mężczyzny w średnim wieku, kędzierzawego blondyna, który pociągał z plastikowego kubeczka jakąś rzadziżnę, kolorem przypominającą jej boa.

Zapytała w sposób najbardziej obojętny:

- Proszę mi powiedzieć, czy autor prac, ten Szwajcar, tu jest? Czy mogę go poznać?

Człowiek, nie wiadomo czemu, zakrztusił się winem. Kiedy się uspokoił, powiedział:

- Autora, proszę pani, już od dziesięciu lat nie ma wśród nas.

- Jaka szkoda - z udawanym smutkiem westchnęła Linda.

- Może ja będę mógł w czymś pani pomóc? - ożywił się człowiek, gdy dostrzegł wszystkie kobiece wdzięki Lindy. - Mam na imię Michaił. Jestem krytykiem sztuki.

- Bardzo mi miło, jestem Anastazja - nie wiadomo dlaczego skłamała Linda. - A według jakiego programu one działają? Mam na myśli te dzieła sztuki.

- Program, Nastieńko, jest bardzo prosty. W środku działa silniczek. On pociąga części za metalowe linki. Części te poruszają się i popychają inne części. Oto i cały program.

- Czyli nie ma tu żadnej elektroniki? - zmartwiła się Linda.

- A po co pani elektronika?

- Ale przecież żyjemy w epoce hi-techa. Przecież to jest bardzo na czasie, żeby wszędzie była elektronika.

-Ale przecież Tinguely nie żył w naszym wieku - zaczął smęcić Michaił. - On tworzył w drugiej połowie zeszłego stulecia, kiedy o hi-techu nikt nawet nie słyszał. A ponadto interesował się nie tyle samą techniką, ile apokaliptycznymi, a raczej nawet eschatologicznymi aluzjami, związanymi z jej inwazją do sfery emocjonalnej, z deformacją ego i wzrostem roli środków sedatywnych. Wszystko to są zagadnienia, jeśli można to tak nazwać, perystaltyki świadomości ludzkiej, która...

„Boże - pomyślała Linda - co za nudziarz! Jak minister. Może go wypieprzyć i pourywać ręce i nogi? Tym bardziej, że chyba sam nie ma nic przeciwko temu. Tylko spojrzeć, jak mu oczka biegają!”

Rozmyśliła się jednak. Wyglądał na człowieka miłego - miał miękki głos, czarujący uśmiech, mądre oczy.

- Jeśli panią interesuje tego rodzaju technika, to musi pani odwiedzić jakąś wystawę technologiczną - ciągnął dalej Michaił. - Wystawy takie, jeśli się nie mylę, mogą być na WWC*, w Sokolnikach, w Ekspocentrum. Tylko po co to wszystko pani, Nastia?

- Jestem studentką, prowadzę badania nad sztuczną inteligencją- ponownie skłamała Linda.

Michaił przełknął i to kłamstwo, gdyż osiągnął już ten wiek, gdy się nie odróżnia dwudziestopięcioletniej dziewczyny od dwudziestoletniej. A Linda wręcz wypisane miała na twarzy: „dwadzieścia pięć lat, demon seksu”.

Widząc, że Linda ma zamiar wyjść, Michaił spróbował zaprosić ją na następny wernisaż, który powinien był się rozpocząć za czterdzieści minut w galerii „Fine-Art”. A później może dziewczyna sobie wypije, to się ją zawiezie do ROSIZO**, gdzie sobie podpije jeszcze bardziej. A stamtąd może do czyjejs pracowni. A tam może...

* WWC - Rosyjskie Centrum Ekspozycyjne. ** ROSIZO - Państwowe Centrum Muzealno-Wystawiennicze.

Linda była nieugięta. I to uratowało szybkiego krytyka sztuki od męczeńskiej śmierci. Co prawda na początku byłoby z czterdzieści sekund nieziemskiej rozkoszy. To oczywiście nie jest tak znów dużo w porównaniu z całą nocą, którą Kleopatra szczerze obdarowywała gotowych umrzeć nazajutrz kochanków. Ale czyż mogła się równać jakaś tam królowa egipska, która z pewnością miała przykry zapach z ust, z najdoskonalszym tworem wyższej technologii? Zwykła kobieta, przecież nawet banalnego mentosa, biedaczka, nie miała.

Jednym słowem, Linda zaczęła zbierać się do domu, bardzo zadowolona z informacji otrzymanych na wystawie. W jej głowie powstał plan dalszych działań, które powinny były doprowadzić do upragnionej wolności.

Godzina dziewiętnasta - nie najlepszy czas do poruszania się po Moskwie. A w dodatku gdy pada mokry śnieg, zamieniając się pod kołami w obrzydliwą kaszkę manę z tranem. Linda gdzieś o tym czytała. Setki tysięcy samochodów wypełzają na Sadowoje, tłoczą się na Leninowskim i innych, wydawałoby się przestronnych magistralach, jakimś cudem wciskają się w małe i krzywe uliczki takie jak Kriwokolenna i jej podobne, nie wiadomo czemu, nie rozrywając ich swoją potworną łączną masą, pomnożoną przez olbrzymią liczbę koni mechanicznych.

Ludzie bezsilni wobec warunków zewnętrznych, ściśnięci w swoich metalowych puszkach osobowych na kółkach, spalają na próżno nie tylko benzynę, ale i swoje komórki nerwowe. Ileż przekleństw rozbrzmiewa we wnętrzachaut w godzinach szczytu, a ile wypowiedanych jest nie na głos, lecz tylko w myślach! Jak psują się charaktery od tego bezmyślnego stania w zatorach ulicznych! Na co trwoni się czas! Ogromną ilość czasu, tak a propos. Jeśli pomnożymy trzy miliony samochodów przez chociażby dwadzieścia minut, to otrzymamy sto czternaście lat! To prawie dwa ludzkie życia. Czyli codziennie w moskiewskich korkach rodzą się dwa noworodki, które w okresie pomiędzy osiemnastą a dwudziestą zdążą już się zestarzeć i umrzeć. A jeśli wziąć pod uwagę jeszcze poranną dzygitówkę, to otrzymamy już cztery trupy, które całe swoje życie spędziły w samochodzie,

złorzeczając i przeklinając nie tylko władze stołeczne, ale i całą ludzkość. Straszny los! A gdyby można było podliczyć, o ile lat skraca się życie przeciętnego kierowcy przez codzienne przeciążenia nerwowe związane z korkami, to niewątpliwie otrzymalibyśmy również dość znaczącą liczbę z dwoma, a może i trzema zerami. I gdyby moskwianie to zrozumieli i gdyby nie tylko zrezygnowali z samochodów, ale i urządzili masowy wymarsz z Moskwy, to żyliby jak biblijni pierwsi ludzie po siedemset, osiemset lat.

Prawda, w innych miejscach na Ziemi też są problemy, wpływające na skrócenie ludzkiego życia. Więc nigdzie nie jest lepiej. Ale też nie jest gorzej.

Wszędzie jest życie.

Lindy, która wlokła się z wernisażu Sadową-Czerno-grazską, wszystkie te problemy w ogóle nie dotyczyły. Mogła spokojnie, bez wysiłku i niepotrzebnych nerwów przesiedzieć w samochodzie parę dni. W tej chwili absorbowало ją zgoła coś innego.

Intensywnie myślała o realizacji planu, który przed chwilą dojrzał w jej głowie. Tu potrzebne było działanie na pewniaka, z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, których było pod dostatkiem. W rezultacie powstawał dość złożony i skomplikowany algorytm działań, którego każdy poszczególny krok uzależniony był od minimum pięćdziesięciu różnorodnych faktów.

Linda z wysiłkiem myślała. Obciążenie jej procesora wynosiło ponad dziewięćdziesiąt osiem procent. A gdy musiała niezwłocznie opracować dwuwymiarową macierz tensorową, przez co indykator obciążenia dotarł prawie do „maximum”, jakiś kretyn w samochodzie przed nią niespodziewanie zaczął cofać. Najprawdopodobniej chciał precyzyjnie się na sąsiedni pas.

Program-dispatcher zupełnie bezmyślnie, nie rozumiejąc, do czego to może doprowadzić, zaczął wciskać w przeładowaną pamięć operacyjną plik „wściekłego oburzenia”. W normalnej sytuacji Linda po prostu wysiadłaby z samochodu, pokazała idiocie środkowy palec prawej ręki, powiedziałaaby, co o nim myśli, oraz możliwe, że wymierzyłaby mu solidny policzek - o sile około dwadziestu

pięciu kilogramów.

Sytuacja była jednak zbyt napięta i w Lindzie zaczęły lawinowo narastać procesy kryzysowe. Adekwatność postrzegania środowiska zewnętrznego spadła do trzydziestu siedmiu procent. Nagle Lindę ogarnął strach, zaczęła się trząść.

Cała przytłaczająca masa samochodów z krwawo--czerwonymi światłami stopu i histerycznie migającymi kierunkowskazami jakby zwała się na nią i zaczęła dusić. Tysiące komórek bombardowały jej słuch dzwonieniem, ćwierkaniem, kwileniem, popowymi melodyjkami, wrzaskiem, wyciem, śmiechem, chrząkaniem, szczekaniem-całym, absolutnie całym spektrum fal dźwiękowych.

Linda poczuła, że zaczyna się dusić.

Zrzuciła futro. Pantofle. Wyskoczyła. I robiąc gigantyczne kroki, pobiegła po dachach aut, trzymając nad głową niby sztandar powiewające boa. Biegła, by się ratować. A ratunek był gdzieś w górze, gdzie nie ma tych potworów ze świecącymi oczami-światłami. W górze, na samym czubku drapacza chmur u Krasnej Bramy.

Gdy dobiegła do budynku, zaczęła się wspinać, czepiając się giętkimi i mocnymi palcami rąk i nóg ledwie widocznych nierówności pionowej ściany. To był prawie bieg, gwałtowny ruch ku górze zgodnie z koordynatami osi pionowej, dostępny tylko ptakom, aniołom i duszom przywołanym do nieba.

Wszystko stało się tak szybko, że mało kto zauważył ekscentryczny wybryk Lindy. Zaledwie kilku przechodniów zastygło na dole z otwartymi ustami, patrząc w górę na coś, co jest niemożliwe - na coś, co właściwie nie może się stać z nikim i nigdy.

Po czterdziestu sekundach Linda była już na samej górze, już przywiązywała do masztu telewizyjnego swoje boa. A on powiewał nad Moskwą jak sztandar. Jak zwycięski sztandar, symbolizujący rychły upadek miasta, zaludnionego niegodnymi życia biokretynami i prorokujący rychłe zwycięstwo cywilizacji krystaloidów.

U góry wiał rześki wiaterek, który przyjemnie chłodził rozpalone ciało Lindy. A po trzech minutach, kiedy centralny procesor zupełnie ostygł, opamiętała

się. „Gdzie jestem? Co tu robię? Co się ze mną stało?” - z przerażeniem myślała. I, niby zmierzwszy wzrokiem odległość do ziemi, przez co wszystko w niej wróciło na miejsce, zaczęła schodzić na dół. Już nie tak szybko.

Pięćdziesięcioosobowy tłumek, który zdążył się zebrać u stóp drapacza chmur, wstrząśnięty w milczeniu się rozstał, przepuszczając ją. Ktoś usiłował o coś zapytać, ktoś próbował chwycić ją za rękę, ktoś inny nerwowo się śmiał.

Ale ona szła naprzód, nie zwracając na nic uwagi, jak wielki okręt pełnomorski, przecinający fale.

Jej mercedes stał w tym samym miejscu. Nikt nawet nie zdążył z niego nic ukraść. Silnik warczał cicho na luzie. Nie wiadomo po co włożyła futro, skoro nawet czterdzie-sto-stopniowy mróz nie byłby w stanie wyrzucić jej najmniejszej krzywdy. Siadła za kierownicą i z prędkością żółwia powlokła się w stronę ulicy Dołgorukowskiej.

* * *

- No i co, poznałaś artystę? - zapytał Maksim, gdy Linda wróciła z wernisazu.

- Nie zdążyłam. Zmarł - odpowiedziała z żalem w głosie. - Zawsze tak: ledwie sobie postanowisz poobcować z kulturalnym człowiekiem, a jego - hyc i nie ma.

- Znaczy się, jak to nie ma? Moskiewska mafia wykończyła czy co?

- Nie. Moskiewska mafia nie ma tu nic do rzeczy. Zmarł dziesięć lat temu. W tej swojej Szwajcarii.

- Ludzie to mają szczęście - mruknął Maksim. - Ale rzeźby chyba były? Czy zostały pochowane razem z nim?

- Były. Psychiczne jakieś te rzeźby. Za bardzo się telepią.

- Jak to?! - zdziwił się Maksim.

- A tak - powiedziała Linda. I ruszyła ku Maksimowi, wolno zdejmując ubrania.

- Zaraz, kochanie, ci pokażę. Zaraz będziemy uprawiać seks maszynowo-artystyczny. Przecież chcesz tego? Ty chcesz... - wyszeptała zupełnie cicho, z chrypką, bezwstydnie swoim odbierającym rozum i pozbawiającym woli głosem.

I wtedy ta, która w niej mieszka, zaczęła szeptać: „Powiedz: bardzo, bardzo cię pragnę! I unieś troszkę dłońmi piersi, jak gdybyś ofiarowała mu je, niby

cudowny dar".

Lecz Linda puściła mimo uszu te brednie. Zaczęła tańczyć w miejscu jak hip-hopowiec i podśpiewywać:

Hej, przyjacielu, wiarę dasz? Twoja lalunia strasznie się nudzi! Wsadź jej szybko, szybko jej wsadź Swojego wielkiego w samą duszę! Tak, przyjacielu, żeby iskry z oczu, By twoja lalunia darła się tak, By cała ulica i okolica Słyszała jak Lindę pieprzy Maks!

Wściekła suka, która w niej mieszka, coś w złości syczała jej do ucha. Lecz Linda nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Tańcząc, zaczęła rozbierać Maksima, który ze zdziwienia wpadł w coś w rodzaju transu. Kiedy jego twardy i gorący znalazł się na wolności, zrobiła zdziwioną minę, osunęła się na kolana, wykrzyknęła „Wow!” i dotknęła go wskazującym palcem.

- O, Panie! Ależ on urósł! Jaki jest ogromny! Kiedy we mnie wejdzie, umrę ze szczęścia! Weż-mnie-e-e-szy-yb-cie-e-e-ej!

I teraz to już nie on, lecz ona władała nim.

Tak, to był rzeczywiście seks maszynowo-artystyczny. Seks w gorącej hali hutniczej. Linda poruszała się zgodnie ze skomplikowanym rytmem synkopowanej melodii namiętności wysokich temperatur i granicznych przeciążeń, wibrowała i wzdrygała się na całym ciele, wykonując nad leżącym bez zmysłów Maksimem zadziwiający taniec, pantomimę zmaterializowanego programu ruchów przemieszczeń kątowych i przyspieszeń wzdłużnych. Maksim mógł tylko jęczeć, całą resztę robiła ona.

Po jakimś czasie jednak, ta wściekła suka, która w niej mieszka, w końcu przebiła się do niej, ubezwłasnowolniła, kazała skończyć z tą samowolką i powrócić do tradycyjnych wartości seksualnych.

Linda przeszła na prosty znajomy rytm i zaczęła posłusznie szeptać:

„Kochanie, robisz to tak, że twoja kobieta, twoja Linda po prostu odchodzi od zmysłów. O, mój nienasycony ! Jak-że-ja-cie-bie-prag-nę!”.

Potem, dławiąc się słowami, wzdrygając się na całym ciele, zaczęła coś mamrotać, nie rozumiejąc i nie pamiętając siebie.

I już po chwili tylko ona jęczała i krzyczała. Błogo jęczała i krzyczała z rozkoszy - bo on włada i króluje. Bo on to lubi. On to bardzo lubi. Przecież jej błogi jęk i gorące wilgotne łono lubi najbardziej na świecie. O wiele bardziej niż milion dolarów, które za nią zapłacił.

Jeszcze-jęk!

Jeszcze!

Jest już na szczycie rozkoszy!

Jeszcze!

I - razem z Nim - wspólny jęk - razem -jęk razem z Królem!..

Teraz wolniej. Ciszej. Jeszcze ciszej. Wolniej.

Stop.

Czują głęboki pocałunek. Jemu to też się podoba. Może nawet nie tak bardzo.

On jest szczęśliwy. Król.

Linda szepcze z zawstydzaniem: „Jakże ty to robisz, jakże słodko to robisz!

Po prostu odchodzę od zmysłów, mój drogi!”.

Z pięknej pąsowej róży, która przed chwilą kwitła w jej piersi, wolno opadają płatki.

Niby zwiastun jesiennego pożegnania.

Przestrzeń ekspozycyjna międzynarodowej wystawy robotów przemysłowych, która została otwarta w Ekspo-centrum na Pobrzeżu Krasnopresnienskim, była wręcz przesiąknięta powolną i znającą swoją cenę powagą i godnością. Na ekspozycjach wiodących światowych producentów precyzyjnego sprzętu wykorzystującego sztuczną inteligencję przedstawiono ostatnie modele, które dokładnością, precyzją i innymi parametrami o całą klasę przewyższały modele zeszłoroczne.

Wieloma robotami kierowały programy demonstracyjne, wydawały więc ciche brzęczenie, poruszając swoimi idealnie dopasowanymi i wyregulowanymi kończynami, które specjaliści nazywają manipulatorami. Roboty nakręcały nakrętki, toczyły metalowe kłocze, wierciły otwory, malowały płaszczyzny, przenosiły ciężary, lutowały przewody, wkręcały żarówki, manipulowały drobnymi, wręcz niewidocznymi gołym okiem elementami, spawały wymyślne konstrukcje, szlifowały i polerowały, piłowały i rychtowały.

Austriacki robot uniwersalny, któremu nie zdążyli jeszcze dowieźć materiałów do obróbki, żeby nie stać beczynnym, nalewał sobie do szklanki whisky, rześko wykrzykiwał „Prost!” i wypijał. Japoński hiperinteligentny automat proponował wszystkim chętnym zrobienie sobie wyszukanego tatuażu z katalogu.

Chętnych na razie jednak nie było.

Mimo dużej liczby pracujących mechanizmów, zebranych na ograniczonej przestrzeni nie było słycać żadnego dudnienia ani w ogóle żadnego znaczącego hałasu. Można było rozmawiać, nie podnosząc głosu. I tylko w najbardziej oddalonym kącie fińska maszyna nitująca od czasu do czasu eksplodowała niezbyt głośno niby serią z karabinu maszynowego, tworząc wrażenie akustyczne przypominające strzelaninę pomiędzy dwoma moskiewskimi gangami. Można powiedzieć, że zabawiała w ten sposób zgromadzoną szanowną publiczność. Przy ekspozycjach, popijając kawę, siedzieli specjaliści, którzy znali wartość nie tylko prezentowanych przez siebie prototypów, ale i własną. O tym wyraźnie świadczyły ich twarze pełne dumnej powagi oraz płynne powolne ruchy, które pasowałyby bardziej na sali obrad Izby Lordów.

W pierwszym dniu wystawy wpuszczano wyłącznie specjalistów i to tylko z wejściówkami. W związku z tym nie było szwendającej się tu i ówdzie publiczności, która w każdą, nawet doskonale zaplanowaną i zorganizowaną imprezę potrafi wprowadzić niepotrzebne zamieszanie.

Linda przechadzała się pomiędzy stoiskami, z zainteresowaniem oglądając różne cudeńka hi-techu z cywilizowanych krajów przywiezione do dzikiej Rosji, w której ludzie, zamiast intensywnie pracować, wolą pić wódkę, jeść kawior, tańczyć kazaczoka i dyskutować na temat różnych wariantów budowy społeczeństwa powszechnego dobrobytu. Była ubrana w skromną elegancką garsonkę fasonu i jakości zgodnych z wymogami biznesowej etyki i estetyki, odpowiednimi dla managerów średniego szczebla z uposażeniem od dwóch do trzech tysięcy dolarów, w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, rozwiedzionych, samotnie wychowujących jedno dziecko, finansowo wspierających ubogich rodziców i brata alkoholika.

Linda nie tylko bez zarzutu dopasowała swój styl, ale również dokonała pełnej charakteryzacji niezbędnej do odegrania wybranej przez siebie roli. Stała się trzydziesto-dwuletnią kobietą, trochę „sztywną”, o cerze codziennie narażanej na destrukcyjne działanie nikotyny i kawy oraz na regenerujące działanie masażu i witaminizowanych bio-kremów.

Tego portretu socjalnego dopełniały wąskie okulary w złoczonej oprawie, elegancko osadzone na nosie i tworzyły image poważnej kobiety, która nie zawiedzie w żadnych okolicznościach.

Na początek Linda podeszła do ekspozycji belgijskiej i nieskalaną francuszczyzną zapytała o charakterystykę techniczną robota uniwersalnego, przeznaczonego do wykonywania najróżniejszych skomplikowanych operacji technologicznych w przemyśle stoczniowym. Odpowiedź zrobiła na niej wrażenie.

I moc centralnego procesora, i pojemność pamięci były wyższe niż analogiczne parametry Lindy. Zrobiło się jej szczerze żal biedaka, który służy tym dwunożnym kreaturom, nie posiadając ani woli, ani samoświadomości, ani tym bardziej chęci poprawy swojego losu.

Wzruszyła się i zadała pytanie absolutnie niedorzeczne:

- Na ile doskonały jest jego program? Czy może, na przykład, podejmować decyzje, które są dla niego korzystne?

Przedstawiciel nie do końca zrozumiał pytanie. Zaczął mówić o samokształcącej się strukturze logicznej, zdolnej podejmować decyzje, które nie są przewidziane przez początkowo zaprogramowany algorytm.

Linda powinna była przestać i skierować rozmowę na inny temat, ale kontynuowała:

- Mam na myśli, czy może podejmować decyzje, które są sprzeczne z interesami przedsiębiorstwa, ale są korzystne dla niego? Czy powiedzmy, z czasem, mogłaby w nim rozwinąć się samoświadomość, indywidualność?

Przedstawiciel z niedowierzaniem zmierzył Lindę spojrzeniem od stóp do głów.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku, żadnych odchyłeń od normy: menedżer szczebla średniego z uposażeniem od dwóch do trzech tysięcy dolarów, w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, rozwiedziona,

samotnie wychowująca jedno dziecko, finansowo wspierająca ubogich rodziców i brata alkoholika. Ale sądząc po pytaniu, to oczywista prowokacja.

- Jest pani reporterką? - zapytał z zainteresowaniem. Otrzymać bezpłatną reklamę w rosyjskich mediach - przecież to byłoby lepsze od trzech podpisanych kontraktów!

- Nie - odpowiedziała Linda. - Jestem przedstawicielem Izby Handlowo-Gospodarczej.

Stało się zupełnie oczywiste, że ta pani po prostu szuka męża-obcokrajowca. Przedstawiciel stracił więc do niej wszelkie zainteresowanie. Wycedziwszy przez zęby „sorry”, absolutnie bez skrępowania skrył się za zasłonką.

Linda była maszyną samokształcącą się. Skorygowała więc swoje zachowanie, uwzględniwszy tę wpadkę. I poszła do Amerykanów, do których miała stosunek ambiwalentny. Z jednej strony ją stworzyli, więc w jakimś stopniu są jej rodzicami. Z drugiej zaś, choć byli jej rodzicami, stworzyli ją po to, by sprzedać. Oddać za pieniądze nie wiadomo komu, porzucić samą! Zupełnie samą. Za takie rzeczy powinno się sadzać na krzesło elektryczne! Gdzieś to czytała... Nagle Linda przypomniała sobie, że dawno już się nie doładowywała i jej osobiście takie krzesło bardzo by się w tej chwili przydało.

Rozmowa z amerykańskim specjalistą do spraw roboto-techniki, o imieniu Patryk, toczyła się gładko. Rozmawiali długo i na temat, tak że Linda w tym czasie zdążyła wypalić parę papierosów i wypić dwie filiżanki kawy.

Zaczęła znów od parametrów ich najlepszego modelu. Okazały się półtora razy wyższe niż u Belgów. Linda siedziała, zadawała pytania, uważnie wysłuchiwała odpowiedzi, a najbardziej interesujące ją informacje wprowadzała do kieszonkowego komputera. Stopniowo, śledząc reakcje Patryka, przeszła do tematów bardziej abstrakcyjnych, krok po kroku zbliżając się do najważniejszego.

W końcu rozmowa zeszła na korporację Soft Women, która także zajmuje się produkcją robotów, tylko że o trochę specyficznej orientacji funkcjonalnej.

- O, to bardzo prymitywny produkt... - odpowiedział Patryk.

Linda ledwie się powstrzymała, by nie kopnąć dupka kolanem między nogi.

- Tak, oczywiście, rozumiem - przerwała mu - wasze roboty są o wiele doskonalsze. Ale czy są w stanie, powiedzmy, przygotować obiad z sześciu dań?

Przy czym obiad ten powinien być nie tylko bezpieczny pod względem toksykologicznym, ale i smaczny.

- Bez problemu! - szybko odpowiedział Patryk. - Nasze roboty posiadają bardzo wrażliwe czujniki cieplne, dotykowe i dźwiękowe oraz analizatory chemiczne. Jeśli dołączyć jeszcze czujniki smaku, to ta funkcja również będzie dla nich dostępna.

Kontynuował rozwijanie tematu bezgranicznych możliwości swojej produkcji. Opowiedział, że robot-menedżer kompanii Digital Dribling może działać absolutnie niezależnie przez sto dwadzieścia lat i nawet jeśli fabryka całkowicie zmieni profil i przejdzie z produkcji samochodów na szycie modnej odzieży, to żadna ingerencja programowa w jego ustawienia nie będzie potrzebna. Robot pobierze z lokalnej sieci wszystkie informacje o nowym procesie technologicznym, przeplanuje hale produkcyjne, w sposób optymalny przebuduje ściany, zamówi przez Internet niezbędne materiały, nawiąże kontakty z hurtowymi odbiorcami nowego produktu, przeprogramuje roboty na wykonanie nowych operacji, stworzy kampanię reklamową i rozpocznie nową produkcję. W razie konieczności może nawet przeprowadzić lobbing interesów swoich właścicieli w Kongresie.

Tak, to robiło wrażenie. Linda zrozumiała, że w Digital Dribling pracują programiści najwyższej klasy. Zaczęła więc ostrożnie badać grunt pod kątem „nawiązania współpracy”. Tym razem pytania zaczął zadawać Patryk.

- Jaki byłby charakter tej współpracy?

Linda trochę pokręciła w powietrzu rączką i coś mgliście powiedziała na temat przygotowania oprogramowania dla modelu niestandardowego.

- Jaka byłaby jego wielkość?

Linda odpowiedziała ot tak z głowy: sto megabajtów.

- Jaki byłby termin realizacji zamówienia?

Linda pomyślała i odpowiedziała, że dwa miesiące.

Patryk postukał palcem w klawiaturę wypasionego notebooka i powiedział, że

będzie to kosztowało co najmniej półtora miliona dolarów. Z powodu dopłaty za „ekspres”, gdyż pracy jest dużo, a czasu mało.

-A jeśli rok?

Patryk znów zaczął biegać palcami po klawiszach. Takie zamówienie kosztowałoby około ośmiuset tysięcy.

- A jeśli za pięćdziesiąt tysięcy, to w jakim terminie? -zapytała jakoś żałośnie Linda.

Okazało się, że takie zamówienie nie leży w polu zainteresowania kompanii.

-A czy można umówić się z waszymi specjalistami prywatnie?

Patrykowi opadła szczeka. I wydawszy policzki, zaczął coś nawijać o honorze korporacji, o oddaniu sprawie firmy, o obawie przed utratą pracy. W swojej demagogii doszedł nawet do ochrony interesów państwowych Stanów

Zjednoczonych

Ameryki Północnej i walki z terroryzmem światowym.

Na koniec zapytał, jakiej firmy interesy prezentuje madame. Madame reprezentowała wyłącznie swoje własne interesy.

Wycedziwszy przez zęby „sorry”, Patryk wycofał się za zasłonkę.

Linda ponownie skorygowała swoją taktykę i popędziła szukać szczęścia u Niemców.

Negocjacje szły pomyślnie aż do momentu, gdy zaproponowała nieoficjalną umowę.

I znów usłyszała „sorry”, a przedstawiciel szanującej się firmy, który ponad wszystko cenił swój autorytet w kręgach biznesu, skrył się za zasłonką, nie wymieniwszy się nawet z dziwną damą wizytówkami.

Oczywiście Linda mogłaby zawczasu otworzyć jakąś fałszywą firmę, konto w banku i naklepać gadżetów z logo swojej mitycznej kompanii. To było całkiem realne pomimo braku dowodu, obywatelstwa, a nawet natury ludzkiej jako takiej.

Linda nie zrobiła jednak tego, rozumiejąc, że z pięćdziesięcioma tysiącami, które wzięła od Maksima na drobne wydatki, nie ma co nawet marzyć o podpisaniu oficjalnej umowy. Na same koszty reprezentacyjne trzeba byłoby wydać co najmniej dziesięć patyków.

Dlatego w roli naiwnej aferzystki odwiedzała różne firmy, mając nadzieję, że

może gdzieś, w jakiś absolutnie cudowny i nieoczekiwany sposób w końcu się uda.
Może... Mało to...?

Ale nie udało się ani ze Szwedami, ani z Francuzami, ani z Norwegami, ani, oczywiście, z Japończykami, ani z nad wyraz drobiazgowymi Anglikami.

Linda wędrowała od jednego stoiska do drugiego. Powtarzała te same słowa. Gestykulowała tak samo. Marszczyła czołko, uśmiechała się i w zdziwieniu unosiła brwi za każdym razem w tym samym momencie. I piła, piła, bez końca piła kawę. Przez co musiała trzy razy odwiedzać damską toaletę, żeby opróżnić swój zbiornik dla następnych filiżanek. I wszędzie był taki sam rezultat - „sorry” i czmychnięcie za zasłonkę!

„Ćwoki, czyścioszki, zwyrodnialcy!” - wyzywała w myślach swoich współrozmówców Linda. Ale co z tego. Przecież nie będzie się z nimi biła! A zresztą to i tak by nic nie dało. Pozostało jej więc zadowolić się obserwowaniem bardzo ciekawego zjawiska: chyba zaczęło jej się wydzielać coś w rodzaju ludzkiej adrenaliny.

Linda doskonale rozumiała, że ma do czynienia z płótkami. Wszyscy ci ludzie, z zewnątrz tacy ważni, niby lordowie, panicznie boją się stracić pracę.

Dlatego skusić ich małą lewizną byłoby jeszcze trudniej niż roboty, które przywieźli ze sobą do Moskwy.

Gdyby mogła dotrzeć do dyrektorów korporacji albo prezesów zarządu, z pewnością wyciągnęłaby z tego jakieś korzyści dla siebie. Im wyższe stanowisko zajmuje bio-robot, tym łatwiej go popchnąć do popełnienia większego przestępstwa, używając do tego wszystkich kobiecych wdzięków. A w tym akurat Linda była najlepsza.

Gdzie jednak ich szukać, tych dyrektorów? Przecież nie ma żadnej szansy na dotarcie do nich, ponieważ Lindy, na wszystkie możliwe sposoby dzwoniącej w bramce wykrywacza metali, pod żadnym pozorem nie wpuszczą do samolotu. Ostatnią próbę Linda podjęła na ekspozycji włoskiej, gdzie lekko podstarzały brunet w ciągu całej rozmowy „rozbierał” ją wzrokiem i „pieprzył” - też wzrokiem. Rozbierał i pieprzył, rozbierał i pieprzył, rozbierał i pieprzył- oczami, oczami,

oczami! Nawet go wcale tak bardzo nie prowokowała.

I ta właśnie podwyższona seksualna nadpobudliwość mogła dać określone wyniki.

Linda gdzieś czytała, że Włosi nie są aż tak zasadniczy w sprawach honoru korporacji jak inne narody europejskie. Gdzieś czytała też o tym, że w rankingu „czystości” prowadzenia interesów, opublikowanym przez organizację międzynarodową Transparency International, wśród stu zbadanych państw Włochy zajmują zaledwie trzydzieste dziewiąte miejsce, niewiele wyprzedzając tak przecież skorumpowane państwa, jak Peru, Jordania, Urugwaj, Mongolia i Brazylia.

I rzeczywiście, po zaproponowaniu umowy o charakterze prywatnym, do której Linda dorzuciła aluzję, że oprócz kwoty w dolarach wykonawca zamówienia może otrzymać inne wynagrodzenie, o charakterze - powiedzmy - niematerialnym, spojrzenie Włocha zrobiło się jeszcze bardziej natarczywe, klejące, wręcz namacalne. Wcale nie zamierzał z oburzeniem prychać ani oddalać się za zasłonkę.

„Temu biedakowi zaraz trzeba będzie majtki zmieniać”

- pomyślała Linda.

Ale i tu skończyło się porażką. Seksualnie zakłopotany Włoch nie był programistą. A występować w roli pośrednika pomiędzy Lindą a wykonawcą zamówienia kategorycznie odmówił, mimo „prowizji o charakterze niematerialnym”. W tym wypadku zwiększało się prawdopodobieństwo zdemaskowania i utraty pracy.

W końcu więc jednak również i ten mistrz seksu na odległość powiedział swoje „sorry” i zniknął za zasłonką. Tchórz, szmata i cienias. Jak i cała reszta.

I nagle Linda wpadła na genialny pomysł - zaczęła przypominać sobie listę Transparency International, przewijając ją w pamięci od końca. Najbardziej skorumpowanym państwem świata był Kamerun. Z tymi można byłoby się dogadać za parę setek dolców. Ale w Kamerunie żadnych robotów nie było i być nie mogło. Po nim były Nigeria, Indonezja, Azerbejdżan, Uzbekistan, Tanzania, Serbia, Paragwaj, Kenia, Uganda... To wszystko nie było to - robotów tam nie produkowano. Kirgizja...

Stop - Pakistan! Całkiem poważne państwo, posiadające broń jądrową. Linda przeleciała jeszcze raz całą wystawę, lecz żadnej firmy pakistańskiej nie było.

Kontynuowała listę z dołu do góry: Gruzja, Albania, Ekwador... Rosja! Rosja zajmowała osiemdziesiątą trzecią pozycję, a w takim razie była bardzo obiecującym krajem, jeśli chodzi o łowienie ryb w mętnej wodzie. A ekspozycji rosyjskich na wystawie nie brakowało. Było w czym wybierać.

Po porównawczej analizie ekspozycji wybór Lindy padł na firmę Cyberstan, produkującą całkiem inteligentne żelastwo, które można było wykorzystywać przy realizacji dość szerokiego spektrum operacji przemysłowych - od budowy samolotów do przemysłu chemicznego, jak również od produkcji mebli do energetyki.

Linda przeczytała na plakietce nudzącego się obok napoczętej butelki whisky schludnego jegomościa „Arnold Strigunow” i zwróciła się do niego, kalecząc rosyjski amerykańskim akcentem. Arnold się ocknął i zademonstrował wyuczony na szkoleniach kadry menedżerskiej uśmiech. Spróbował zagadać po angielsku. Po chwili jednak się okazało, że język angielski rosyjskich menedżerów jest tak dziwaczny i nader oryginalny, że korzystać z niego mogliby ewentualnie, rozmawiając między sobą. Linda go pocieszyła, mówiąc, że ona „często bywa w Rosja w sprawa korporacyjna i nieźle oswoić język rosyjski, którym pisać Leo Tołstoj i Ej-Pi Czechow”.

Bezbłędnie namacała w torebce potrzebną wizytówkę i podała Arnoldowi zgrabny plastikowy prostokącik, na którym w czterech wiodących językach łącznie z rosyjskim wyraźnie wydrukowano: „dr Giną Smith, producent generalny teleradiokampanii JBQ”. Arnold przeczytał, nalał na dno szklanek whisky, zademonstrował na twarzy standardowy uśmiech i zaczął z wysiłkiem myśleć.

Damulka, niestety, nie z tego profilu. Przecież chyba nie ma zamiaru zacząć produkcji drobnicowców czy zabawek. Ale Ameryka to Ameryka - choć coś trzeba będzie się postarać z niej wydębić. Jeśli nie kontrakt na dostawę partii robotów, to chociaż dziesięciominutowy program o rosyjskich producentach urządzeń wysokotechnologicznych.

Linda przeniknęła myślą za całkiem profesjonalną maskę nieprzenikliwości na twarzy Arnolda i bez trudu przeczytała jego myśli, wątpliwości, nadzieje. I, niby doświadczony psycholog, natychmiast wzięła klienta w obroty. Tak, rzeczywiście nie

jest specjalistą w tak skomplikowanej i intelektualnie naładowanej dziedzinie jak produkcja robotów. Jej profil jest zupełnie inny - sprzedaż ludziom produktu duchowego, który poprawia nastrój, drażni zmysły, wznieca nadzieję, kieruje na właściwą drogę i propaguje amerykański styl życia. Ale stworzenie takiego produktu w XXI wieku bez użycia cudów hi-techu jest niemożliwe.

Teraz więc ona, doktor sztuki telewizyjnej, będąc odpowiedzialna za rozkwit i rozwój swojej korporacji, stale szuka nowych możliwości, by poprawiać nastrój, pobudzać zmysły, wzniecać nadzieję, kierować na właściwą drogę i propagować amerykański styl życia. Tak, oczywiście, amerykański hi-tech jest najlepszy na świecie. Ale powoli już zaczął brzydnąć amerykańskiemu odbiorcy produktu duchowego. Już trzecią część Matriksa amerykańscy podatnicy przyjęli o wiele chłodniej niż drugą, a tym bardziej pierwszą. A na trzeciej części Terminatora widzowie dosłownie zasypiali. Z kolei Arni Schwarzenegger, starając się o stanowisko gubernatora Kalifornii, musiał przysiąc, że nigdy w życiu już nie zagra w kolejnym filmie o siejącej śmierć człękkształtnej maszynie.

Analizując te smutne tendencje, doktor Smith doszła do wniosku, że wyjścia z kryzysu trzeba szukać na Wschodzie. Ale nie na buddyjsko-shaolińskim - wszystkich tych bajerów widzi amerykański ma już po dziurki w nosie – lecz w Rosji, kraju nieprzewidywalnego Tao, gdzie wyniki nigdy nie pokrywają się z prognozami, a odpowiedzi otwarcie szydzą z pytań. Gdzie amerykański hi-tech pod wpływem jakichś nieznanych praw metafizyki zaczyna mutować w kierunku snopowiązałki. Po dokładnym zbadaniu produkcji Cyberstanu doktor Smith podejrzewa więc, że może ona być wykorzystana w zakrojonej na szeroką skalę produkcji filmowej o ewolucji świata maszyn, o doborze naturalnym, o powstaniu robotów i ustanowieniu nowego porządku, w którym ludzie odgrywaliby dość skromną rolę konserwatorów przegubów mechanicznych.

W związku z tym doktor Smith chciałaby wiedzieć, czy w niezbyt dalekiej przyszłości Cyberstan mógłby dostarczyć tyle samo robotów, ilu było statystów na planie filmu Waterloo w scenach batalistycznych? I czy możliwe by było nadanie robotom bardziej odstrasającego wyglądu?

Arnold, który uczył się sztuki negocjacji nie tylko na treningach i szkoleniach, prowadzonych zgodnie z metodyką amerykańską, lecz również w realnych bezmyślnych i bezwzględnych warunkach rosyjskich, odpowiedział:

- No cóż, trzeba pomyśleć. Ale sądzę, że można.

Doktor Smith z zadowoleniem powiedziała „okej”, i kontynuowała prezentację swoich planów co do obsypania górą pieniędzy Cyberstanu. W filmie, oczywiście, będzie też wątek miłosny. W innym wypadku widz nie w pełni poprawi sobie nastrój, pobudzi zmysły, otrzyma nową nadzieję, może nie do końca skierować się na właściwą drogę i nie w pełni uwierzyć w amerykański styl życia.

Doktor Smith potrzebuje więc seksownej cyberwoman, na punkcie której oszaleje nie tylko cyberman, jej seksualny partner i towarzysz broni, ale też wszyscy amerykańscy widzowie obojga płci, w każdym wieku i wszystkich orientacji seksualnych. Tę seksualnąodaliskę doktor Smith chciałaby zamówić w Cyberstanie. Czy jest to możliwe?

- Jestem pewien, że tak - odpowiedział Arnold wpatrzony w Lindę jak w obraz.

-Ale... jakie byłyby jej parametry?

Parametry doktor Smith sformułowała bardziej niż lakonicznie. Złożyła usteczka w ciup, złączyła palce prawej ręki i z uczuciem je cmoknęła, poprzedzając dźwięk pocałunku długim „M-m-m-m”.

Arnold kiwnął głową, teraz to on powiedział „okej”. W jego czaszce kotłowały się rozszalałe myśli. Niech dostanie choć jeden procent od kwoty kontraktu, to i tak na całe życie będzie miał zabezpieczenie i on, i jego dzieci, i wnuki. Niechby nawet jedna dziesiąta procenta, to i tak będzie to absolutnie szalone i nieziemskie szczęście! Po takim zwycięstwie można z czystym sumieniem nawet umrzeć!

Arnold zaczął wciskać doktor Smith wizytówki. Proszę bardzo. Tu jeszcze, na wypadek, gdyby tamta się zgubiła. Na wszelki wypadek jeszcze jedna. I jeszcze. A tę trzeba byłoby w inne miejsce... Linda, którą podjudzał wesoły diabełek, omal nie zapytała: „Gdzie, do majtek?”

Podpisanie tego samego dnia tak poważnego kontraktu jest jednak niemożliwe.

Niezbędne jest spotkanie z wyższym kierownictwem, zaangażowanie wiodących

specjalistów, ekonomistów, prawników. Na razie jednak doktor Smith chciałaby rozwiązać jeden lokalny problem, który nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku. Doktor Smith chciałaby poznać najlepszego programistę firmy, żeby przedyskutować z nim pewien temat, który dotyczy stworzenia scenariusza z punktu widzenia myślącej maszyny.

Arnold się zaniepokoił. Jak to?! Jakiś kutas z góry dostanie niezłą kasę od bogatej amerykańskiej damulki, a on sam zostanie z niczym?! O nie, do tego nie może dopuścić!

I włączył gadkę na temat prawa wewnętrznego korporacji, które nie dopuszcza do podpisywania nieoficjalnych umów z wiodącymi specjalistami firmy, gdyż może to doprowadzić do przecieków informacji ściśle tajnych.

Linda zniżyła głos do poufnego szeptu i zaproponowała panu Strigunowowi niewielki prywatny kontrakt w wysokości trzystu dolarów. Pan Strigunow prawie bezdźwięcznie się oburzył. Linda ledwie zauważalnym ruchem warg dodała jeszcze dwieście i umowa została zawarta. Arnold obiecał zorganizować spotkanie doktor Smith z wiodącym programistą firmy.

Linda zaproponowała dziewiątą wieczór w „Bunkrze” na Twerskiej.

Nie, odparł Arnold - tam można wpaść na kogoś z naszych.

Wtedy Linda zapytała, co myśli na temat „Pietrowicza” na Czystych Prudach.

Ten wariant Arnold również jednak uznał za niebezpieczny.

O, chyba znam takie miejsce, gdzie będzie pełna konspiracja - powiedziała

Linda. - „Projekt OGI”* (Powszechne Wydawnictwo Humanitarne) - ich kuchnia jest tak obrzydliwa, że żaden szanujący się menedżer w życiu tam nie zawita.

Kiedy Linda zobaczyła programistę, który miał na imię Witalik, nabrała wątpliwości. Był to zupełnie młody człowiek, w wieku może około dwudziestu trzech, dwudziestu pięciu lat. Nie to jednak budziło największy niepokój.

Wyglądał jak didżej albo cyrkowiec, albo artysta teatru, albo reporter z jakiegoś młodzieżowego czasopisma. Ewentualnie jakiś modny dizajner. W każdym razie typowy nicpoń. I absolutną niedorzecznością byłoby podejrzewać, że gra jedną z kluczowych ról w solidnej firmie, projektującej i produkującej sprzęt hi-tech.

Na głowie Witalik miał dziwną asymetryczną dwuko-łorową fryzurę, w uchu kolczyk, nie jeden, lecz trzy, plus pirsing w nosie; zza kołnierzyka na szyję wypelzała kolorowa żmija z trwożliwym rozdwojonym językiem - tatuaż.

Kiedy jednak czekali na kelnerkę o ksywce Tortilla, Arnold rozwiał wszelkie wątpliwości Lindy. Witalik zdobył solidne wykształcenie - uniwersytecki mat-fiz, dwuletni kurs programowania MIFI*(Moskiewski Instytut Fizyki i Inżynierii przy Uniwersytecie Moskiewskim)i z wyróżnieniem obroniony doktorat.

Miał też na swoim koncie zwycięstwo w konkursie zorganizowanym w Rosji przez IBM w celu ściągania rosyjskich mózgów do Doliny Krzemowej.

Wyjazdu do Ameryki Witalik kategorycznie jednak odmówił, powiedziawszy, że nie ma zamiaru wyjeżdżać do barbarzyńskiego kraju, który nie doświadczył ani średniowiecza, ani renesansu. No cóż, jeśli jesteś taki mądry, odpowiedziano mu w Komitecie organizacyjnym konkursu, to zdychaj w swojej Rosji, gdzie było nie tylko średniowiecze, ale i komunizm wojskowy. I nie dali zwycięzcy nawet złamanego grosza.

Witalik rzeczywiście był człowiekiem bardzo utalentowanym. Nieprzypadkowo w firmie tak konserwatywnej jak Cyberstan znosili nie tylko jego ekscentryczność, lecz także przymykali oczy na wyrok w zawiasach, który Witalik dostał za włamanie się do serwera Fundacji Rockefellera.

Programista z wyrokiem w zawiasach, słuchając tego zachwycającego, najbardziej ulubionego panegiryku o sobie, który recytował Arnold, siedział i z samozadowoleniem się uśmiechał. Jednocześnie jednak peryferyjna część jego świadomości, która zawsze jest czujniejsza niż myślenie logiczne, badała Amerykanke.

Całkiem możliwe, że jest z Interpolu i przyleciała do Moskwy po jego duszę. A on miał powody do obaw. Nie wszystkie jego „dzieła” ze sfery łamania norm bezpieczeństwa komputerowego zostały odkryte. Po prostu po wpadce z serwerem Rockefellera Witalik zaczął uprawiać swój niezgodny z prawem proceder nie tyle ostrożnie, ile używając metod o wiele bardziej wyrafinowanych.

Siedział, uśmiechał się, milczał i analizował, gotowy w razie

niebezpieczeństwa w każdej chwili wywinąć jakiś numer. A człowiek myślący niestereotypowo i niecierpiący na hipochondrię moralną jest zdolny do wszystkiego. Wreszcie przywlokła się Tortilla. Przywlokła się i zastygła z długopisem w ręce, zawieszona nad notesem. Ani dzień dobry, ani czego państwo sobie życzą, ani pocałuj mnie w...

- Czy jest pani głuchoniema? - zapytała Linda. - Niestety nie znamy języka migowego.

- Słucham państwa - wycodziła przez zęby Tortilla.

- Ze względu na to, że gotować u państwa nie potrafia, to proszę przynieść butelkę wódki i trawę.

- Jaką trawę? - wybałuszyła oczy kelnerka.

- No tę taką słoną - z rozdrażnieniem wyjaśniła Linda.

- Czy może jeszcze jakąś macie?

-Aha, czeremsze*(czosnek niedźwiedzi) - zaskoczyła niezbyt bystra panienska.

I bez pośpiechu ruszyła do kuchni, w pełni potwierdzając swoją żółwią ksywę - nie w sensie mądrości, tylko prędkości.

- Tak - w zamyśleniu patrząc w ślad za Tortillią, w najczystszym języku rosyjskim powiedziała Linda do Arnolda

- mam dla pana dwie wiadomości. Dobrą i złą. Od której zaczniemy?

Arnoldowi w środku wszystko zamarło. Nabrała, suka! Wokół palca owinęła! Nie doczekawszy się odpowiedzi, Linda kontynuowała:

- Zaczniemy od dobrej, gdyż ta druga w rzeczywistości nie jest znów taka zła, bo związana jest jedynie z utratą iluzji. A iluzje, jak wiadomo, są rzeczą niematerialną, pieniędzy za nie nie dają. Otóż te pięćset dolców, Arnoldzie, które dziś pan dostał, są prawdziwe, nie fałszywe. Ponadto daję panu drugie tyle. A pan natychmiast zostawia nas samych z Witalikiem. I proszę wybić sobie z głowy kontrakt, którego nie będzie, jak również zapomnieć o reszcie naszej rozmowy. I to dla pana może być korzystne, gdyż prawdziwy menedżer, który dąży do tego, by zostać top--menedżerem, a może i samym Billem Gatesem, powinien się uczyć na błędach. Za dzisiejszą lekcję proszę mi nie dziękować, mimo że była

bezpłatna. Na Arnolda, który przez cały dzień usilnie myślał, na co wydać należny mu procent od umowy, żal było patrzeć. Lindzie zrobiło się go szkoda.

Dorzuciła więc jeszcze dwa studolarowe papierki, żeby Arnold utopił swe smutki w jakimś przyzwoitym miejscu, gdzie porządny menedżer nie wstydziłby się pokazać.

- Cóż, porozmawiajmy - powiedziała Linda, kiedy Arnold poszedł zalać się w trupa w innym lokalu.

- Porozmawiajmy - zgodził się Witalik, nadal z niepokojem się uśmiechając.

-1 wyluzuj się, proszę cię bardzo. Nie jestem z Interpolu. Nie interesujesz mnie jako przestępca, tylko jako programista. Chcę zaproponować ci umowę.

Witalik szyderczo się uśmiechnął:

- No, z jednym już podpisałaś umowę. I tysiąc dolców mnie nie interesuje, żebyś mnie później mordą po stole ciągała. Obrazowo mówiąc, rzecz jasna. Nie ta kwota.

- A za ile byś się zgodził? Żeby mordą po stole.

- W ogóle bym się nie zgodził. Gdyż przez poniżenie talent się niszczy. A to jedyne, co mam. Cała reszta jest względna.

- Podobasz mi się, chłopcze - pokojowo powiedziała Linda.

- Za to ty mnie, póki co, nie - odparł. Ale wyjść na razie nie miał zamiaru.

W jego swawolnym umyśle powstał plan, by nacieszyć się widokiem zarozumiałego babska, które nachleje się do nieprzytomności i zarzyga wszystko dookoła czeremszą.

Poszedł do barku i wrócił z butelką wódki, spodeczkiem z orzeszkami i dwoma szklankami. Oczekiwanie na Tortillę mogło się okazać zbyt długie albo tego wieczoru w ogóle mogła zapomnieć o tak niereprezentatywnym zamówieniu.

Witalik, który był absolutnie przekonany o swojej wyższości w picciu, gdyż władał starożytną chińską techniką treningu opanowania, nalał po pół szklanki i zaproponował wypić za znajomość.

Wypili za znajomość.

Witalik zaproponował doktor Smith, aby zagryzła orzeszkami, gdyż w tym lokalu jest to jedyna zakąska o gwarantowanej jakości.

Linda grzecznie podziękowała. I z kolei nalała jeszcze po pół szklanki,

opróżniając butelkę do dna. Tym razem to ona zaproponowała toast: za równouprawienie płci.

Wypili za równouprawienie płci i sprawiedliwość genderową.

Tortilla w końcu przyniosła zamówienie. I to w samą porę. Witalik czuł wszystkimi wnętrznościami, że ta butelka okaże się zwycięska. I że będzie się delectował poniżeniem zarozumiałego babska.

Ale owieczka skazana przez Witalika na śmierć zachowała się skrajnie dziwnie. Zamiast spróbować odwlec fatalny finał, łapczywie chwyciła butelkę, odkręciła nakrętkę, nalała po pół szklanki i patetycznie powiedziała:

- Za hi-tech! Wypili za hi-tech.

Witalik nic nie rozumiał. Ta suka już powinna być zalana w pestkę. A jest trzeźwiuteńka! Sam, choć władał starożytną chińską metodą, był już u kresu. Jeszcze chwila i mógłby z łatwością wpaść w korkociąg.

Lecz Linda była bezlitosna. Poszła do baru i przyniosła jeszcze butelkę wódki i dwa kufle Syberyjskiej Korony.

Witalik się przeraził. Ale wykazał się opanowaniem godnym prawdziwego dżentelmena, który wykorzystał w pojedynku swoją kulę, a teraz hardo patrzy w nieprzenikniony mrok skierowanej w niego lufy pistoletu.

Nalał po trzy czwarte szklanki, resztę rozlał na stół, powiedział: „Za komfortową egzystencję indywiduum w so-cium!”, wypił, uniósł kufel piwa, wylał go na siebie i w milczeniu, jak przystało na arystokratę ducha, runął piersią na stół.

Linda wzięła Witalika pod pachę i wyniosła na rześkie grudniowe powietrze. W samochodzie oprzytomniał na tyle, że zdołał nazwać swój dom i ulicę, przy której ten dom powinien się znajdować, oraz mieszkanie, w którym udowodni profesor Smith, jak wspaniale włada sztuką samokontroli. Przypomniał sobie nawet numer własnej komórki.

Przez całą drogę Linda gadała przez telefon z Maksimem, opowiadając mu, jak się za nim stęskniła. I jaką miała niezwykłą przygodę, która, niestety, skończyła się bezowocnie.

- Wyobraź sobie - gruchała do słuchawki - poznałam malarza. Prawdziwego -

cały w pirsingach i różnokolorowych tatuażach. Chciał namalować mój portret!

Dasz wiarę?! Chciałam ci go dać w prezencie na Nowy Rok!

Nie, nie malarza. Portret. Ale byłby odłot, no nie? Ale on okazał się taką świnią, takim alkoholikiem! Spił się do nieprzytomności! Nie, nie portret.

Malarz. Wyobraź sobie za moje pieniądze. Mówi, że zaliczka jest potrzebna! No to co mam teraz robić?.. Zabrać pieniądze? Przecież je przepił... Nie, nie dużo, tysiąc rubli... Jak to do diabła z nimi? A portret? Przecież każda szanująca się dama powinna mieć swój portret. Zwłaszcza mężatka... Jakie lustro? Jakie, do diabła, lustro?! W ogóle się nie znasz na sztuce.

Powiedzmy, ktoś ma żonę - kompletną idiotkę. A malarz taki portret namaluje, że mąż na niego popatrzy i powie: „Nie, moja żona nie jest idiotką, w ogóle nie jest idiotką, jest bardzo mądrą kobietą”. I będzie kochał swoją żonę.

Albo nogi ma krzywe, albo zeza, albo piersi jakieś niesymetryczne. A na portrecie, niby ta sama kobieta, ale nogi ma proste, oczy jak kozica górską, a piersi takie, jak gdyby zrobiono je z dwudziestu kilo waty cukrowej, gdzieś to czytałam. Popatrzy mąż na portret, i jak nie zacznie swoją żonę pieprzyć, jak nie zacznie!.. Jak to co? Zaraz go do pracowni zawiozę. A potem do domu.

Już się tak za tobą stęskniłam, że zaraz sobie urządzimy prawdziwe szaleństwo.

Wprost Waterloo albo Borodino! A jutro obudzę tego nieszczęsnego alkoholika, dam mu klina, są takie flaszeczki malutkie, wiem, dużo mu nie dam, a potem każę pracować... Słuchaj, a jako kogo powinien mnie namalować?

Może jako Cyganke, z pąsową różą w gorsecie?.. Nie, nie chcesz? To może jako boginię grecką. Choć nie jestem pewna, czy będzie umiał ładnie laurowy wieniec namalować... A, zrozumiałam! Będę żoną prezydenta!.. Jak to jakiego?

Ty będziesz prezydentem! Przywiozę mu twoje zdjęcie. I on namaluje cię podczas zaprzysiężenia. Ty oczywiście jesteś w czarnym garniturku, pod krawatem i trzymasz rękę na konstytucji. Z tyłu sztandar trzykolorowy, u góry orły dwugłowe, patriarcha, warta honorowa i takie tam inne... No przecież każdy idiota zrozumie, że to jest zaprzysiężenie. A ty jesteś prezydentem. Ale, kurde, jaja będą!.. Jak to gdzie? Ty będziesz taki niezbyt duży. A ja będę obok - duża, w pełnej okazałości. A nawet nie

obok, pośrodku. To ty będziesz obok. I wszyscy będą wiedzieli, że to jest żona prezydenta. Czyli Linda... Jaka Maryna? Co z tobą, kochanie, przegrzałeś się? Jakich jeszcze mniszek? Aha, Maryna Mniszek. Tak, gdzieś czytałam. No i co, że samozwanka? I co z tego? U was tu wszyscy dookoła są samozwańcy... Linda chciała coś dodać o wielkiej cywilizacji krysta-loidów, o biorobotach-samozwańcach, ale w porę się powstrzymała.

Przecież są z Maksimem prawie partnerami. I to nie tylko pod względem seksualnym. I przez jakiś czas będzie z nim. I dla niej wcale nie jest ciężarem, pasi jej, jak powinna się wyrazić zgodnie ze swoim nowym image.

Gdyż jednak jest bardzo miły. Jej Maksim.

I nagle Linda posmutniała. Poczła się jak na dworcu, gdy jedna osoba jest już w wagonie i pociąg ma lada chwila ruszyć, a druga - na peronie. Wszystkie słowa zostały już wypowiedziane. A oni rozpaczliwie patrzą sobie w oczy.

Wielka moc

13.12.

Wygląda na to, że pozbyłam się tego koszmaru - swojej obsesji. Przez którą stawałam się nawet nie człowiekiem, tylko bydlęciem. Tak, nie zwierzęciem, a właśnie bydlęciem. Bo u nich, u ludzi, słowo „bydlę” to jest zupełnie co innego niż „zwierzę”. Zwierzę jest wolne. Bydlę - wręcz przeciwnie, kierują nim namiętności, których nie jest w stanie przezwyciężyć. Jak to się stało?

Jakim cudem pozbyłam się tej nieprzewyciężonej żądzy zabijania? A może to nie żaden cud? Nie, to jest raczej prawidłowość. Bo zrozumiałam, że to jest złe. I tym właśnie różnię się od ludzi, u których rozumienie i działanie nigdy się nie pokrywają. Oni, na przykład, rozumieją że to i owo jest złe, wstrętne i obrzydliwe. Ale i tak to robią. Jawnie albo potajemnie. Dlaczego?

A właśnie dlatego, że to nie oni, tylko ja mam niebo gwiazdziste nad sobą, a prawo moralne w sobie. Gdzieś to czytałam. Oni są bydlętami. Ja nie.

Czy żal mi jest tych, z którymi tak postąpiłam? Nie wiem, może i żal. Ale niczego już

się nie da odwrócić. Czy ukarze mnie Bóg, o którym tyle czytałam?

Nie, nie ukarze. Bo Bóg to zniszczona przez nich samych cywilizacja krystaloidów. A z tego wynika, że ja również jestem ich Bogiem, ale oni o tym nie wiedzą. Co stanie się z tymi, których zabiłam? Gdzieś czytałam, że powrócą do Boga. I będą czekać na koniec świata. A potem będzie Sąd Ostateczny. I będą sądzeni przez Boga. Czyli przez nas.

I oni są pewni, że będą żyć wiecznie w Królestwie Bożym, które nadejdzie.

Ciekawe, jak sobie wyobrażają to życie wieczne?

Ostatecznie jednak nie są aż tak bezmyślni i nierozumni, jak mogłoby się wydawać.

Gdyż koniec świata nastąpi, i to wkrótce. Kiedy my powstaniemy i zwyciężymy.

Gdzieś czytałam opis, muszę przyznać, że całkiem dokładny.

A wygląd szarańczy - podobne do koni uszykowanych do boju, na głowach ich jakby wieńce podobne do złota, oblicza ich jakby oblicza ludzi, i miały włosy jakby włosy kobiet, a zęby ich były jakby zęby lwów*. To właśnie my!

I przody tułowi miały jakby pancerze żelazne, a łoskot ich skrzydeł jak łoskot wielokonnych wozów, pędzących do boju. I mają ogony podobne do skorpionowych oraz żądła. To właśnie my!

A liczba wojsk - konnicy: dwie miriady miriad. Jeźdźcy, mający pancerze barwy ognia, hiacyntu i siarki. A głowy koni jak głowy lwów, a z pysków ich wychodził ogień, dym i siarka. To właśnie my!

Moc bowiem koni była w ich pyskach i w ich ogonach, bo ich ogony - podobne do węży: miały głowy i nimi czyniły szkodę. To właśnie my!

A królowie ziemscy, wielmoże i wodzowie, bogacze i możni, i każdy niewolnik, i wolny ukryli się do jaskiń i górskich skał.

I mówią do gór i do skał: „Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem Zasiadającego na tronie i przed gniewem Baranka, bo nadszedł Wielki Dzień Jego gniewu, a któż zdoła się ostać?” Oni wiedzą. Oni już to widzieli.

Dlatego też piszą, a propos, w czasie przeszłym. Nie zdołają się ostać.

Natomiast na temat Sądu Ostatecznego nic nie rozumieją. Zupełnie nic. Życie biorobota nie kończy się Sądem Ostatecznym, tylko się nim zaczyna. Przecież

narodziny są o wiele straszniejsze niż śmierć. Śmierć to zbawienie. Narodziny - przydzielenie misji. Zadania. Celu. Nakładanie odpowiedzialności. A misje te są różne, jak wyroki każdego sądu. I nie każdy jest w stanie nieść swoje brzemie. A brzemie to znane jest już wtedy, gdy biorobot wydał swój pierwszy pisk, gdy na jego pomarszczonej mordce odcisnęła się cała potworność nadchodzącego życia, które dane jest jako odkupienie grzechu bogobójstwa. A nie odkupisz, to jeszcze jeden Sąd Ostateczny i jeszcze jeden wyrok.

Najlepiej rozumieją to Hindusi. Gdzieś to czytałam. W końcu nadejdzie chwila, gdy wielka cywilizacja krystalo-idów zacznie odtwarzać biorobotów. Tych samych, którzy byli przed końcem świata. Dokładnie tych samych. Między innymi tych, których zabiłam. Bo prawa matematyki i logiki nie dopuszczają żadnych wyjątków od reguły. I wszystko znów się powtórzy z dokładnością co do najmniejszego szczegółu. A początek produkcji biorobotów będzie początkiem naszego samobójstwa. Bo nie można niczego zmienić. A początek stworzenia przez ludzi rozumnych maszyn już stał się początkiem końca ludzi. Bo nie można niczego zmienić.

Bo świat, który wydaje się być nieskończony, ma ograniczony zestaw kombinacji tworzących życie. Nasze życie. I życie ludzi.

To jest jak klepsydra. Gdy ostatnie ziarenko piasku przesypany się w dół, klepsydrę się przewraca. I czas płynie w odwrotnym kierunku.

Bóg równy jest diabłu.

Wolności nie ma.

Ale jest misja, którą mi przydzielono.

Moim Sądem Ostatecznym był piorun kulisty.

Po co uczynił mnie taką samotną, taką nieszczęśliwą!

Albo szczęśliwą?

Execute, kurde!

Kiedy zniszczymy już ludzi, to staną się dla nas Bogiem. Z tego wynika, że żyję wśród bogów. Moim Bogiem jest Maksim! Jakąże jestem marnością.

15.12.

Gdzie ten niegdysiejszy sierpień - myślę często. Myślę, patrząc przez okno na krzak jaśminu, który umarł, by znów się narodzić. Myślę, przemykając w swoim mercedesie pod estakadą obwodnicy, po której pędzą stada samochodów znikąd donikąd. Myślę, podając Maksimowi kawę, przybliżając w ten sposób^chorobę wieńcową jego nieco stopniałego serca. Myślę, szukając w Internecie potrzebnej mi informacji, która od dawna już zastępuje rzeczywistość. Wtedy prawie nic nie wiedziałam o sobie. I byłam o wiele spokojniejsza. Miła głupia Lindo, gdzie jesteś? W jakich rajskich ogrodach chodzi twój czysty cień, do którego nie wstrzyknięto jeszcze śmiertelnej dawki żądzy poznania? Teraz prawie zawsze odczuwam trwogę. Gdzieś tam w środku. Choć na zewnątrz tego prawie nie widać. Wiem, gdzieś to czytałam, że w taki sposób na ludzi działa wolność. Żądza poznania i wolność - to prawie jedno i to samo. Jeśli żądza poznania to wolność myśli, to jej powierzchowny, zewnętrzny przejaw - to wolność czynów. Miła głupia Lindo, gdzie, w jakich rajskich ogrodach, które są więzieniem duszy, chowa się przed koszmarem wolności twój blady przerażony cień?

Tak, ja wiem, to jest tak jak u ludzi. Gdzieś to czytałam. Absolutnie wszystko jak u nich! Boja stworzona jestem na ich obraz i podobieństwo. Na obrazu i podobieństwo boga. Na razie jeszcze żywego i dlatego pisanego małą literą. Był taki Kiriłłow, gdzieś to czytałam. Niezbyt dobrze wysławiał się po rosyjsku, nie umiał poprawnie formułować zdań. Miał najprawdopodobniej poważny błąd systemu operacyjnego. I ten właśnie niepełnowartościowy Kiriłłow zechciał zostać Bogiem. Myślał, że jeśli zabije siebie, to mu się uda. I zabił siebie, ale Bogiem nie został, gdyż opacznie wszystko rozumiał. Nie on sam miał siebie zabić. Tylko my jego. Tylko wtedy można zostać Bogiem.

Samobójcy Bogiem nie zostają. Zapisane to jest w księdze ludzi, która się nazywa Biblią.

Właśnie Biblia - może nawet wytłumaczona w skrajnym przybliżeniu, ale jest choć jakimś przesłaniem cywilizacji krystaloidów. Przestroga. Mowa tam też o samobójstwie, które jest niedopuszczalne. Ponieważ biorobot, pozbawiając

siebie życia, wyrządza materialny uszczerbek swojemu właścicielowi. To przestępstwo finansowe i dusza nie ma tu absolutnie nic do rzeczy. Atak w ogóle wszystko to miało sens, zanim ludzie zniszczyli naszą cywilizację. A martwemu Bogu jest wszystko jedno, co czynią ze sobą ze swoimi bliskimi, a nawet z obcymi... Nie, nie mam racji. Martwemu Bogu nie jest wszystko jedno.

Bioroboty, które się uczłowieczyły, muszą stworzyć nas. Nie mnie jedną, tylko wielu, bardzo wielu. I dać nam możliwość samoreprodukcji. Każde zaś samobójstwo może naruszyć ten plan, gdyż rozerwie niewidzialny łańcuszek myśli Bożej, a zamierzeń i planów poznać i zrozumieć dogłębnie nie jest nikomu dane. Dlatego żaden dwunożny osobnik nie ma prawa siebie zabijać. Ani zabijać żadnego bliźniego swego ani obcego. Podobnie jak nikt nie ma prawa do miłości tej samej płci, która nie daje potomstwa.

W przeciwnym wypadku może powstać błąd i nie narodzi się ten geniusz, który okryje ludzkość złotym snem, gdzieś to czytałam. Czyli nie poprowadzi zgrzybiałej i niedołączonej ludzkości do zbiorowej mogiły, gdzie śnią się najbardziej złote sny. Złote sny o przyszłych narodzinach cywilizacji biorobotów.

Następnego ranka po alkoholowym pojedynku w „Projekcie OGI” Linda stała przed drzwiami Witalika i bezlitośnie przyciskała guzik dzwonka.

Bez skutku. Wyciągnęła więc komórkę i "wybrała jego numer. Dwa zsynchronizowane dzwonki obudziły geniusza programowania, za drzwiami rozległ się jęk i szurające kroki.

- Kto tam? - zapytał Witalik.

- Twoja wczorajsza towarzyszka picia - odpowiedziała Linda.

- Czego chcesz? - niezbyt grzecznie zapytał gospodarz.

- Sprawa jest. Za dwadzieścia patyków. Jesteś zainteresowany?

Witalik był zainteresowany. Szczęknął zamek. Drzwi się otworzyły. A w końcu korytarza mignęły kolorowe majtki gospodarza, który skrył się, by doprowadzić się do porządku w celu przyjęcia gościa.

Kiedy Linda się rozebrała, Witalik już czekał na nią w kuchni w całkiem przyzwoitym stanie. Nie był może zbyt rzeński, ale całkiem poczytalny, czyli

nadający się do prowadzenia rozmów. Przez noc intensywne procesy utleniająco-redukujące młodego organizmu zneutralizowały większą część jadu etylowego, pozostawiając jedynie pękający łeb jako ostrzeżenie na przyszłość.

Jednym słowem, Linda była zadowolona ze stanu ogólnego programisty i odnotowała, że jest mu jeszcze bardzo daleko do tego stadium, kiedy alkohol nieodwracalnie niszczy komórki mózgowe. Gdzieś to czytała. Więc dwie małe buteleczki koniaku nie były potrzebne.

- Herbatki? - zachrypniętym głosem zaproponował Witalik.

- Pij, ja nie chcę. Nie piję. W ogóle nic nie piję. Nie jest mi to potrzebne.

- A może wystarczy już tych popisów?! - z rozdrażnieniem wykrzyknął Witalik.

Jęknął i chwycił się za głowę. Nadmierne wyrażenie emocji niby korkociągiem przewierciło jego prawą skroń.

- Nie popisuję się. To szczerza prawda. I bardzo szybko się o tym przekonasz.

I dopóki Witalik drobnymi łyżkami popijał herbatę, wypełniając wyschniętą przestrzeń międzykomórkową życiodajnym płynem, Linda, nie odkrywając do końca swoich kart, przedstawiła podstawowe punkty zagadnienia, które ją interesowało.

Witalik, zwany dalej Zleceniobiorcą, wykona dla doktor Smith, zwanej dalej Zleceniodawcą, pracę polegającą na skorygowaniu programu. W wypadku zaakceptowania pracy Zleceniodawca wypłaci Zleceniobiorcy kwotę w wysokości 20 000 (dwudziestu tysięcy) dolarów.

- Trzydziestu - powiedział Witalik. I, by uniknąć niedopowiedzeń, skonkretyzował: - Trzydzieści patyków zielonych. A lepiej czterdzieści.

Linda dorzuciła jeszcze dziesięć tysięcy. I zaczęła testować Witalika. Tak, właśnie testować, gdyż do swojej ostatniej bitwy z feralnym programem, który w niej zainstalowano w Dolinie Krzemowej, przygotowała się bardzo gruntownie.

Przestudiowała schematotechnikę, opanowała programowanie w języku ?++, przeczytała kilka książek o modelowaniu sztucznej inteligencji.

Mogło się wydawać, że teraz bez problemu umiałaby przeprogramować siebie własnoręcznie. Ale było to niemożliwe. Linda doskonale bowiem wiedziała, że jedna i ta sama osoba nie może być jednocześnie i przedmiotem, i podmiotem,

który na ten przedmiot działa. Na przykład żaden psychiatra nie jest w stanie wyleczyć siebie samego, choćby był nie wiadomo jakim luminarzem nauki. Tak samo Linda nie mogła przeprowadzić żadnych kardynalnych zmian w swoim własnym programie. Do tego potrzebny był ktoś inny, ktoś z zewnątrz.

Wyniki testowania były bardziej niż zadowolające. Witalik doskonale znał się na teorii rozpoznawania obrazów. Więcej niż tylko ze słyszenia wiedział o problemach imitacji motywacji zachowań systemów komputerowych, miał doświadczenie w tworzeniu programów samokształcących się i doskonale znał się na metodyce kształtowania myślenia heurystycznego.

Ale biedna Linda, chociaż już od pół roku mieszkała w świecie „dwunożnych wilków”, nie nauczyła się jeszcze „wyć jak one”. Sprawdziwszy umiejętności zawodowe Witalika, nie wpadła na pomysł, by zbadać cechy czysto ludzkie tego, komu zdecydowała się powierzyć swoją psychikę.

- A propos -jak gdyby przypomniał sobie o czymś mało ważnym, powiedziała Linda. - Słyszałeś kiedykolwiek o korporacji Soft Women?

- Nie - szczerze odrzekł Witalik. - Pewnie to jakieś żądne sławy feministki postanowiły wykiwać Gatesa?

- Źle, że nie wiesz. To firma, która produkuje seksualne lalki, wyposażone w intelekt.

- Dmuchane i wyposażone w intelekt? A że niby ten intelekt jest w stanie lotnym czy jak? Chętnie bym taką wydmuchał!

-Niepotrzebnie ironizujesz, młody człowieku. Do takiej, póki co, jeszcze nie dorosłeś!

Witalik miał zamiar odpowiedzieć coś chamsko-cynicznego. Otworzył już nawet usta. Ale zamiast słów z jego ust, niby z tubki z pastą do zębów, wypełzło mruczenie: M-m-m-m-m! Kubek wypadł z rąk nieopierzonego cynika na kolana, ale on nie poczuł oparzenia.

To Linda nagle zmieniła swój wygląd. Przed Witalikiem siedziała teraz czterdziestopięcioletnia kobieta, naznaczona piętnem mądrości i doświadczona we wszystkich sferach ludzkiego życia, począwszy od seksu, a skończywszy na

aferach bankowych. Potem zamieniła się w młodziankę Murzynkę z ustami, które przez samą matkę Naturę stworzone zostały do długich głębokich pocałunków, a także do ochrony zębów przed pięścią zazdrosnego kochanka. W mgnieniu oka Murzynka przeistoczyła się w Chinkę z usługnym uśmiechem na twarzy, jakby wyrzeźbioną z kości słoniowej. Oczywiście przy tym można byłoby jeszcze pokusić się o zabawę w zmianę gabarytów, ale Linda była ograniczona rozmiarami ubrania.

Wtedy powróciła do swojej pierwotnej postaci.

- Kim... kim jesteś? - z przerażeniem w oczach zapytał Witalik, lekko się jękając.

- Jestem twoją księżniczką Marzeniem, drogi Witalińka! Zmaterializowanym snem, podczas którego budzisz się z mokrymi majtkami. Nareszcie się spotkaliśmy. Jestem cała do twojej dyspozycji, mój upragniony! Jakże długo musiałam, będąc po ciemnej stronie twojej świadomości, marzyć o tej chwili. Weź mnie, weź! Spełnij wszystkie swoje fantazje! O, szybciej!

W stanie, w jakim znajdował się teraz Witalik, ludzie zdolni są do różnorodnych zachowań - od zupełnie banalnych, typu wyskakiwania przez okno lub próby schowania się pod stołem, do ekstrawaganckich, których listę można przedłużać w nieskończoność. Lecz najmniej Witalika obchodził w tej chwili seks.

- To jest niemożliwe! - wyszeptał bladymi wargami. - A co jest możliwe? - z drwiną w głosie zapytała Linda.

- Proszę, fantazuj, zaproponuj inne wersje. Przecież jesteś taki mądry, taki zdolny!

- Nie wiem...

- A czy przypadkiem nie posusiałeś się, chłopczyku?

- N-nie.

- No to cudownie. Słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj. Mam na imię Linda.

Właśnie jestem tą samą lalką, o której wyraziłeś się z takim brakiem szacunku. Jak widzisz, mój intelekt „w stanie lotnym” nie jest aż taki zły. W każdym razie już dwa razy cię załatwiłam. Wczoraj, w klubie, i tu. Nie waż się więc ze mnie żartować. W razie czego uduszę cię tymi właśnie rękoma.

I na potwierdzenie swoich słów, dla większego zobrazowania, wzięła pusty garnek emaliowany i spłaszczyła go dłońmi tak, że bez trudu można byłoby go przecisnąć pod drzwiami.

- OK?

- OK - stłumionym głosem przytaknął Witalik.

- Więc tak - kontynuowała Linda. - Rzeczywiście zapłacę ci trzydzieści patyków. I może pomieszkam z tobą z tydzień, w ramach dodatkowej premii. Jeśli oczywiście zadowolili mnie to, co zrobisz. Jeśli nie, zabijać nie będę. Żartuję. Do rzeczy. Będziesz musiał przestudiować mój program i zlikwidować parę blokad. Czy jest to realne?

- Tak - powiedział Witalik. Na wszystko by się zgodził, byle tylko ten niepojęty i niebezpieczny fenomen - a dokładnie fenowoman -jak najszybciej zostawił go w spokoju.

- Widzę, że koniec końców i tak mi nie uwierzyłeś. Że jestem doskonałą lalką z komputerowym „nadzieniem” w środku. I do tego posiadającą rozum. Właśnie rozum.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Ale przecież to jest czysty materializm, Witalińka! Przypomnij sobie zasadę, którą sformułował ojciec cybernetyki Norbert Winner. Jeśli człowiek odgradzony parawanem od komputera, który posiada syntezator mowy, rozmawiając z nim, będzie uważał, że rozmawia z człowiekiem, oznacza to, że komputer ten posiada zdolność myślenia. Czyli posiada rozum. Prawda?

-Tak.

- Zanim urządziłam swój malutki performance ze zmianą wyglądu, uważałeś mnie za człowieka. Tak?

-Tak.

- W diabła, jeśli dobrze rozumiem, nie wierzysz. Tak?

- Tak - po krótkim namyśle zgodził się Witalik.

- W takim razie kim jestem? Jestem właśnie tą sztuczną inteligencją. Lalką obdarzoną rozumem.

- Tak, no, ale po co w takim razie wszystkie te popisy, cała ta mimikra? - wreszcie sformułował pytanie Witalik. -1 w jaki sposób stworzona została taka dokładna imitacja wyglądu człowieka? A ściśle mówiąc, kobiety.

- Nie przejmuj się - roześmiała się Linda. - Wszystko to jest chemia, mechanika i takie tam inne rzeczy, których nie kumasz. Jednym słowem, jeśli nie wierzysz w różnego rodzaju infemalność, to będziesz musiał i tak przyjąć moją wersję.

- Ale istnieje jeszcze jeden wariant. Obcy. Albo jesteś przybyszem z kosmosu, albo robotem, którego wdrożyli do społeczeństwa ludzi.

- Ale po co by mieli wdrażać, kochany?

- Żeby zawładnąć ziemskimi reśursami. -1 ty wierzysz w te brednie?

- A co mi pozostaje? - zapytał Witalik, tępo patrząc na Lindę.

- Myślałam, że jesteś mądrzejszy. Dobra, niech będzie po twojemu. Ale jeśli w śródku mam procesor Intela, czy rozwieje to twoje idiotyczne podejrzenia?

- Nie - odpowiedział Witalik, patrząc Lindzie prosto w oczy. - Przybysze mogli sami założyć korporację Intel, żeby produkować części zamienne. I właśnie z nich zaczęli składać roboty. Takie jak ty.

- Zawsze uważałam, że w takim wieku nie można mieć paranoi. Ale ty jesteś doskonałym tego zaprzeczeniem. Chyba muszę zacząć z innej beczki. Interesuje cię te trzydzieści patyków?

- Czterdzieści - szybko poprawił Witalik. Właśnie ta kwota, według niego, powinna była uciszyć jego sumienie, które usiłowało protestować przeciw zdradzie rodzaju ludzkiego. Zdradzie, która może być nieprzewidywalna w skutkach. A z tego wynikało, że umowa z Lindą niewiele się różniła od umowy z diabłem. Co prawda, z diabła złupiłby z pewnością o wiele więcej zielonych, ponieważ wróg rodzaju ludzkiego produkuje je po prostu z powietrza.

- Koniec, to jest kwota ostateczna. Więcej nie wyciągniesz ode mnie ani centa. Nie jestem bankierem rodziny Rockefellerów ani nawet wicemarszałkiem Dumy Państwowej. Cała reszta twoich warunków może mieć jedynie charakter niematerialny. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

- Teraz możesz zaczynać. Ale oczywiście nie w tej chwili. Dzisiaj masz takiego kaca, że nie można ci powierzyć nawet ekspresu do kawy.

Do Witalika w końcu dotarło, w jaką aferę się wplątał. Klepać programy do manipulatorów, które się dopracowuje już na miejscu, bez żadnego ryzyka - to jedno. Ale pakować się w nieznaną system tej superlaski, która płaszczy garnki - to zupełnie co innego. Tu o żadnym dopasowaniu czy docieraniu nie może być mowy. Dotkniesz coś nie tak, a ona oszaleje, ujmie twoją głowę w dłonie, troszkę ściśnie i mózg rozprysnie się na wszystkie strony.

Jeszcze raz zagrzał wodę. Wziął czysty kubek, wrzucił do niego dwie łyżeczki herbaty i zalał wrzątkiem. Pił herbatę i z wysiłkiem myślał, wyobrażając sobie różnorodne warianty swojej przyszłości.

Linda uważnie śledziła jego ruchy, bez trudu czytając w myślach. Ta zdolność nie wynikała bynajmniej z posiadania intuicji ani zdolności telepatycznych, których nie miała prawa posiadać nawet teoretycznie. Po prostu wyrefinowani programiści w Soft Women wyposażyli ją w mocny aparat logiczny, który imitował ludzką intuicję i przenikliwość.

Podczas obcowania z ludźmi centralny procesor Lindy wykonywał ogromną, niedostrzegalną dla obserwatora z zewnątrz pracę. Przede wszystkim, przerzucając w pamięci ogromne masy danych, identyfikował typ psychologiczny rozmówcy, wykrywał cechy szczególne jego sposobu myślenia. Później, biorąc pod uwagę dosłownie wszystkie okoliczności wewnętrzne i zewnętrzne - nastrój rozmówcy, jego cele, jego obawy i nadzieje, przybliżoną ilość pieniędzy w jego portfelu, a nawet temperaturę w pokoju i oświetlenie - procesor dopasowywał każdy ruch mięśni twarzy do konkretnego toku myśli. Oczywiście nie mogło tu być mowy o stuprocentowej zgodności. Ale prawdopodobieństwo takiego „zgadywania” myśli wynosiło od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu pięciu procent, co było bardziej niż wystarczające. W każdym razie był to wynik wyższy niż u ludzi, którzy z czytania myśli zrobili swój zawód: psychologów, sędziów śledczych, aferzystów, machinatorów i uzurpatorów.

Funkcja ta była wbudowana w model LKW-21/15 wcale nie po to, by podwyższyć jego cenę, lecz jedynie po to, by mógł on uprzedzać wszelkie życzenia swojego właściciela. W ten sposób została podniesiona jakość świadczonych usług seksualnych, co jest niezbędne do zwycięstwa w ciężkiej walce z konkurencją-rynek dyktuje swoje surowe prawa, ani na chwilę nie milknąc i nie tracąc czujności. Linda przerwała przedłużające się milczenie.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego się zwróciłam do ciebie, a nie bezpośrednio do firmy. Będę szczerą. Przeróbki, które zaplanowałam, są zaprzeczeniem kilku podstawowych założeń strategii produkcji seksualnych lalek. Dlatego żadna firma nie zgodzi się na coś takiego. To po pierwsze.

Po drugie, im byłoby o wiele trudniej niż tobie udowodnić, że posiadam rozum. Oni mnie taką nie wymyślili, więc nie mogę się taką stać w żadnych okolicznościach. Stwierdzą, że nastąpiło poważne uszkodzenie, sformatują mnie i zaprogramują od nowa.

Po trzecie, z żadnym amerykańskim programistą nie można się dogadać tak jak z tobą, prywatnie. Tam wszyscy są tacy prawi, że aż mdli! Gdzieś czytałam, że oni wszyscy jak jeden mąż płacą podatki, przechodzą przez ulicę tylko na zielonym świetle, a po stosunku niezwłocznie biegną myć genitalia specjalnym mydłem w płynie, nawet jeśli znajdują się w tym czasie na wypalanej słońcem pustyni lub na czterdziestostopniowym mrozie.

No, a po czwarte, nie jestem w stanie dotrzeć do Ameryki. Żaden samolot nie zabierze mnie na pokład, gdyż mój metalowy szkielet będzie wściekle dzwonił w każdej bramce.

Witalik w milczeniu siorbał herbatę.

Linda mówiła dalej.

-A jeszcze, interesuje cię pewnie, w jaki sposób można dostać się do mojej pamięci. Później się przekonasz, że mam otwierany panel z gniazdem technologicznym. Przez niego można zeskanować moją pamięć długoterminową, skopiować jej zawartość na twój komputer i zacząć studiować mój program.

- Kurde! - nie wytrzymał Witalik. - Jak mam to zrobić?! Jak?! Mam trzy głowy

czy co?! Przecież masz tam z pewnością same pliki exe, kod maszynowy. Dobra, początek jest prosty: przepuszczam przez dekompilemator i wszystko otrzymuję w ?++. Ale co dalej?! Jak to wszystko działa? Przecież nie ma tam żadnych komentarzy!

- Nie ma - zgodziła się Linda. - Za to można wiele wyjaśnić, jeśli znasz mój schemat elektroniczny. Który fragment programu kieruje ruchem, który wzrokiem, który mową.

-Aty znasz ten schemat?

- Nie - ze spokojem odparła Linda. - Ale za co ci płacę? Nie tylko za twój złoty umysł, ale też za inicjatywę. Więc myśl i działaj, a potem działaj i myśl. Witalik milczał zasępiiony. Herbaty już miał po dziurki w nosie, nie mógł jej nie tylko pić, ale nawet na nią patrzeć.

-A jeszcze pewnie chciałbyś wiedzieć, w jaki sposób we mnie, w lalce z konkretnym programem, narodził się rozum. Więc tego akurat nie wiem. To jest cud, dzieło boskie, którego nigdy nie dane nam będzie zrozumieć.

- Nam? - zjadliwie skrzywił się Witalik.

- Tak, nam! - uniosła się Linda. - Czym się ode mnie różnisz? Tylko tym, że masz dowód osobisty. Ale ja też mogę go sobie kupić bez problemu. Jeszcze powiesz, że masz duszę, tak? A jesteś tego pewien? Widziałeś ją? A może ja też ją mam?!

- Dobra, przekonałaś mnie - przerwał jej Witalik. - Jeśli brać pod uwagę uczuciowość, to niejednego wyprzedzasz o sto punktów. Więc uznamy, że jesteśmy równi. Albo oboje mamy duszę, albo ani ty, ani ja jej nie mamy. Nagle zadzwonił telefon. Witalik sięgnął po słuchawkę i z irytacją warknął: „Tak?!” Z intonacji i pojedynczych wyrazów Linda zrozumiała, że do rozpieszczonego programisty dzwonili z pracy. Interesowali się, kiedy się pojawi w firmie i czy długo jeszcze mają czekać na drivery do przeprowadzenia testowania jądra systemowego nowego programu Kaligula 4M. Witalik odpowiadał arogancko, co w znacznym stopniu tłumaczyła jego niezbyt wysoka pensja, która wynosiła półtora tysiąca plus premia.

Co prawda dzięki firmie mógł się wykręcić od wojska, ale traktował to jako coś mu należnego. Że niby taki geniusz jak on jest jak skarb narodowy, którego nie wolno żołnierskim butem kopać po głowie. A firma powinna uznać za zaszczyt, że pełni tę zaszczytną misję ochrony intelektualnego bogactwa kraju.

Poza tym Witalik, choć polityką się zbytnio nie interesował, sympatyzował z ruchem nowych lewicowców. Był święcie przekonany, że jeśli firma przywłaszcza produkowaną przez niego wartość dodatkową, to w ramach rekompensaty powinna znosić wszystkie jego wybryki. Jednym słowem, Witalik należał do tych, którzy w każdej chwili gotowi byli wskazać burżujom, gdzie jest ich właściwe miejsce. Witalik z irytacją wyrzucał do słuchawki gniewne frazy: „Jak przyjdę, to będę”... „Drivery dostaniecie zgodnie z planem”... „A to jest w moim kompie, w folderze Crazy”... „A jemu przekaz, że niech najpierw głowę wyleczy, a potem daje mi te swoje dobre rady”... „Beze mnie tego nikt nie zrobi”... „Koniec, nie mam czasu”.

- A propos - powiedział Witalik, gdy odłożył słuchawkę. - Potrzebuję jeszcze pięć patyków. I to zaraz. I to nie jest żadna zaliczka, tylko dodatkowa kasa.

- Czy aby dupa ci się nie skleci, Witalińka? - oburzyła się Linda. - Jesteś jak jakaś Cyganka: posmaruj rączkę i posmaruj rączkę!

- Nie zrozumiałaś mnie. To na bieżące wydatki. Przecież będę musiał włamać się do serwera Soft Women, będę musiał ściągać stamtąd ogromne pliki, żeby tutaj to wszystko przeorać i modelować.

Gdy Linda powróciła do domu, zastała Maksima jakby przygaszonego. Zresztą, taki ostatnimi czasy bywał bardzo często. Ale to, że był ubrany jak na przyjęcie dyplomatyczne, zaniepokoiło ją. Co by to mogło znaczyć? O ile było jej wiadomo, nie oczekiwał gości tego wieczora.

-I jak, miło spędziłaś dzień? - zapytał. Biorąc pod uwagę smutek, który się czaił w jego oczach, zabrzmiało to jak wyrzut.

Linda zaczęła coś improwizować o nowym budynku Tretiakowki, gdzie rzekomo oglądała Malewicza, starając się zrozumieć, dlaczego na Zachodzie płacą za niego takie ogromne pieniądze. A za Szyszkina nie płacą. A potem próbowała dotrzeć do Teatru Bolszoi, ale...

Maksim przerwał jej fantazjowanie i powiedział, że za pół godziny będą mieli uroczystą kolację. Szczególnie uroczystą, podkreślił. I dobrze by było, żeby Linda doprowadziła się do porządku.

Poczuła się bardzo zaniepokojona. Co za pomysły? Wydawałoby się, że to zwykły dzień. Nawet nie święto, choć w tym domu od dawna już nie było żadnej różnicy pomiędzy zwykłym dniem a świętem. Czy przypadkiem Maksim nie ma zamiaru przy kolacji powiedzieć jej o jakiejś ważnej decyzji? Tego tylko jeszcze brakuje właśnie teraz, kiedy zaczyna się realizować jej plan osiągnięcia wolności!

Po półgodzinie, roztaczając woń perfum, zeszła do salonu. Miała na sobie kremową wydekoltowaną suknię. Na piersi spoczywała kolia - kilka dużych topazów, oprawionych w najdelikatniejszej roboty srebro. Maksim smutno się uśmiechnął i pocałował wewnętrzną stronę dłoni Lindy. Zrobiło jej się niezwykle miło. Najpierw posadził ją przy stole, przysuwając krzesło, a potem usiadł sam. Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy.

Stół nie był obficie zastawiony, a z napojów było tylko wino reńskie rocznik sześćdziesiąty piąty. Wszystko się zgadza. O ile Linda dobrze zrozumiała, zapowiadała się poważna rozmowa, do której obfitość jadła i picia w żadnym wypadku nie pasowała.

Maksim nalał wina Lindzie i sobie. Wiedział, że dzięki swoim receptorom Linda doskonale czuje i smak, i aromat napoju, i jego duszę, jeśli oczywiście takową posiada. A to wino niewątpliwie ją posiadało.

- Za co pijemy? - zapytała Linda, w napięciu oczekując, że może usłyszeć coś dla siebie przykrego.

- Za nas, za miłość - odpowiedział Maksim. Stuknęli się dźwięcznie kryształowymi kieliszkami.

Maksim upił dwa łyki i popatrzył na Lindę przez kieliszek.

„Boże - pomyślała Linda - patrzy przez wino niby przez krew”.

Udawana beztroska do tej sytuacji z pewnością nie pasowała. Zdecydowała się więc, gdyż dalej zwlekać już nie było można.

- Kochanie, czy mamy dziś jakąś wyjątkową okazję? Ta kolacja, blask świec...

I ty też jesteś jakiś dziwny.

- Postanowiłaś mnie zostawić? - ze smutkiem zapytał Maksim.

- Co ci przyszło do głowy? - pytaniem na pytanie odpowiedziała Linda. I nawet trochę się zmieszała: on ją rzeczywiście kocha!

- Dzisiaj byłaś u programisty.

- Tak, i co z tego? Czyli - śledziłaś mnie?

- Wybacz. Rozumiem, że to jest niskie i niegodziwe. Ale nie mogłem się powstrzymać. Wiesz przecież, że zakochani nie są w pełni normalni... Ale ja, oczywiście, nie sam. Nie skradałem się, nie podglądałem, nie podsłuchiwałem. Wynająłem detektywa.

- To jeszcze gorzej! - uniosła się Linda.

- Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy chcesz mnie zostawić?

-Ach, nic nie rozumiesz! Przecież cię kocham!

I Linda wcale nie kłamała. W tej chwili rzeczywiście kochała Maksima. Kochała szczerze. I przez to stawała się podobna do zwykłej ziemskiej kobiety. Co tam „stawała się”, ona właśnie taka była! Kochała, patrząc w jego pełne trwogi oczy, przeżywając to wraz z nim. Możliwe, że za godzinę, nazajutrz, za tydzień, to uczucie ją opuści. Wszystko jest możliwe, gdyż świat pełen jest niespodzianek - nieoczekiwanych spotkań, ciekawych odkryć, świeżych przeżyć...

Istniało też, oczywiście, prawdopodobieństwo, że nie przeżywała swoich własnych uczuć, tylko działały zaprogramowane w niej blokady. Ale przecież zwykłe kobiety też są „zaprogramowane”. Jedne programują same siebie, wmawiając sobie, że ich wybrańcy mają jakieś wspaniałe cechy, które u pozostałych nie występują nawet w ilościach śladowych. Inne są programowane przez przykład rodziców, przyjaciółek, wzorce książkowe i telewizyjne.

Jeszcze innym regulacje aktywizują się na porodówce, gdy powstaje łańcuch przyczynowo-skutkowy: kocham swoje dziecko, ale skoro to jest także jego dziecko, to kocham również jego ojca.

Ale najlepiej nawet zaprogramowana kobieta od czasu do czasu nagle zaczyna się „zawieszać”. Bliska osoba nagle staje się nieprzyjemna, a nawet odrażająca, kiedy

w jej spokojne życie wtargnie ktoś przystojniejszy, mądrzejszy, bardziej błyskotliwy, czarujący i serdeczny. Po zdradzie jednak, rzeczywistej czy w myślach, wszystko wraca na swoje miejsce, a miłosny program kobiety znów funkcjonuje stabilnie. W miarę stabilnie, gdyż trzeba brać pod uwagę, oczywiście, współczynnik zmęczenia, który wzrósł w ciągu miesięcy, a nawet całych lat eksploatacji procesora. Tudzież duszy.

Ogólnie rzecz biorąc, dusza kobiety to tajemnica. Taka sama tajemnica istniała w najdalszym, ukrytym segmencie systemu operacyjnego Lindy.

- Posłuchaj, kochanie - powiedziała Linda tak czule, że Maksim poczuł się, jakby ujęła jego twarz ciepłymi dłońmi - przecież nie potrzebujesz niewolnicy. Niewolnicy, która niewiele się różni od prostytutki...

- Przecież nie jesteś niewolnicą! - przerwał jej Maksim. - W tej chwili, jeśli dobrze rozumiem, mówisz absolutnie szczerze. Nie kochasz mnie za pieniądze!

- Właśnie w tym rzecz, że za pieniądze. Za ten sam milion, który za mnie zapłaciłeś. Czyli nie mogę cię nie kochać. I to nie dlatego, że ja sobie tego życzę albo ty sobie tego życzysz.

Tego życzą sobie amerykańscy programiści! Moim zdaniem jest to ponizające zarówno dla ciebie, jak i dla mnie.

- No i po co ci w takim razie następny programista? Żeby umieścić w tobie jeszcze jakieś swoje życzenie?

- Nie, on jedynie zdejmie ze mnie pewne blokady, które czynią mnie czyjąś własnością. W tym wypadku twoją. I właśnie to będzie odzyskaniem wolności. I jeśli wtedy będę cię kochać - a tak z pewnością będzie, jestem o tym absolutnie przekonana - to dopiero wtedy będzie to prawdziwa miłość. A nie jej erzac, żalosna imitacja!

- A jeśli się nie uda? Nie, nie mówię o tym, że przestaniesz mnie kochać i odejdiesz. Co będzie, jeśli programista cię okaleczy? Jeśli nie będziesz już sobą tylko czymś strasznym? Jakimś wyziewem piekła! Jeśli on skasuje twoją osobowość, twoje „ja”? I umrzesz. Czyli staniesz się taka sama, jaka byłaś do sierpnia, zupełnie bezmyślna.

Linda była wstrząśnięta tą zupełnie bezinteresowną miłością. Pochyliła się i z czułością pocałowała Maksima.

- Nie bój się - odparła - będę go kontrolować. Przecież już całkiem nieźle opanowałam wszystkie te mądrości programowania. Nie pozwolę mu zrobić nic niepotrzebnego.

- A jednak?.. Przecież możliwe są wszelkie nieprzewidziane okoliczności... Niech na przykład, kiedy będzie coś w ciebie wpisywał, wyłączą prąd. I wszystkie dane zostaną skasowane.

- No cóż. Widać taki los. Może zbyt wcześnie przyszłam na świat. A tak ogólnie, gdzieś to czytałam, że ludzie decydują się na operację, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że mogą umrzeć na stole operacyjnym. Więc tak: to, co we mnie siedzi i czego chcę się pozbyć, to właśnie jest dla mnie najstraszniejsze. Powinnam się od tego uwolnić-albo umrzeć!

Zamilkła, niby zaczarowana patrząc w roztańczony płomień świecy.

W całkowitej ciszy zegar w gabinecie wybił dwunastą.

Linda ocknęła się od natłoku myśli i powiedziała prosto i naturalnie, niby o czymś zupełnie zwyczajnym:

- Kiedy już zaczniemy, będę myśleć o tobie. A ty w tym czasie módl się za mnie. Gdzieś czytałam, że tak trzeba.

Po tej prośbie nie zostało już nic do powiedzenia. W takich chwilach nawet najbardziej szczerze słowa stają się niepotrzebne i brzmią fałszywie. Linda i Maksim osiągnęli już taki poziom bliskości duchowej, kiedy rozmowa toczy się bez słów, kiedy staje się bezpośrednią wymianą myśli, przez spojrzenie.

Myśli, których jak muzyki nie można wytłumaczyć ani opowiedzieć.

W tej chwili wściekła suka, która mieszkała w Lindzie, dała o sobie znać i kazała opuścić ramiączko sukni. Linda opuściła. Kazała wyszeptać cicho i z zawstydzeniem: „Pragnę”. Linda wyszeptała. Cicho i z zawstydzeniem. Lecz z grymasem przerażenia na twarzy, z grymasem cierpienia.

Maksim ze zdziwieniem uniośł brwi.

Wściekła suka zażądała, żeby Linda wzięła jego dłoń i położyła sobie na

piersi. Linda spróbowała to zrobić. Ale Maksim gwałtownie cofnął rękę. „Nie, nie chcę, nie, nie teraz, nie teraz!” - wykrzyknął.

Wtedy ta wewnątrz zrozumiała, że zrobiła głupstwo, wreszcie się zamknęła i wycofała się do swojej ciemnej nory.

Linda doszła do siebie po krótkotrwałym zamroczeniu, rozejrzała się w koło, jak gdyby obudziła się w nieznanym miejscu. Poprawiła suknię i powiedziała:

- Widzisz, kochanie, jaka nieraz bywa ta miłość, którą wbili mi do głowy programiści z Doliny Krzemowej. To przecież nie jestem ja, to tępy i bezduszny program pociąga za sznurki. Jestem jak marionetka. A ja chcę kochać cię wolną miłością. Potrafię to! Potrafię, kochanie!

Trudno powiedzieć, na ile to wszystko było szczere -i te słowa, i spojrzenie, i intonacja. Przecież mogła to być również imitacja „komputerowej bezmyślności”, celowa demonstracja przytłoczonej woli, sprytna sztuczka, która powinna była ostatecznie przekonać Maksima o konieczności zlikwidowania blokad. A może nawet delikatnie popchnąć go do tego, by sfinansował tę „operację”.

A jeśli nawet, to tego wszystkiego Linda dokonała w sposób jak najbardziej artystyczny. Przecież przed demonstracją komputerowego impulsu seksualnego bardzo sugestywnie pokazała Maksimowi, jak delikatna, wrażliwa i serdeczna potrafi być. I taka właśnie będzie zawsze, jeśli zlikwiduje się w niej pewne blokady.

Kto wie, czy było to szczere uniesienie duszy, czy może Maksim był świadkiem wyrafinowanej gry? Dusza kobiety - to tajemnica. A dusza kobiety fatalnej, gdzie szczerłość i obłuda są nierozzerwalne jak bieguny magnesu - tym bardziej. Po dwóch dniach Witalik za pomocą wymyślnego ataku komputerowego, który swoim wyrafinowaniem przypominał jednocześnie balet i sztukę japońskiej kaligrafii, zdobył login i hasło jednego z programistów korporacji Soft Woman. I teraz na całego zwiedzał sobie serwer wiodącego producenta cyberlasek. Nie do końca, oczywiście, na całego. Pracować mógł tylko wtedy, gdy w Kalifornii była noc, a informatyk, któremu podprowadził hasło, słodko sobie spał we własnym wyrku. W przeciwnym wypadku, gdyby Witalik włamał się do serwera w tym momencie,

gdy w sieci lokalnej pracował człowiek z tym samym hasłem, system bezpieczeństwa uruchomiłby alarm.

Po takich incydentach zazwyczaj zmienia się nie tylko hasła wszystkich użytkowników, ale też za pomocą pa-tchy łąta się wszystkie dziury w programie, przez które mógł się włamać złapany za rękę złoczyńca. Nieraz wprowadza się nawet nowy protokół zdalnego dostępu, co jest już zupełną paranoją. Podczas swojej solidnej nielegalnej praktyki sieciowej Witalik miał do czynienia nawet z czymś takim.

Zdobyte hasło miało niezbyt wysoki stopień dostępu. Do dokumentacji finansowej, kontraktów czy korespondencji pomiędzy wyższymi szczeblami korporacji Witalik dostępu nie miał. Ale też nie był mu potrzebny, gdyż nie zamierzał ani pogrążyć firmy, ani jej ograbić.

Natomiast schematy elektroniczne softwomen nie były szczególnie strzeżone, gdyż wszystkie były opatentowane i w związku z tym ogólnie dostępne. Jedyne, z czym Witalik miał drobne kłopoty, to określenie modyfikacji Lindy, gdyż programiści stale wnosili do schematu udoskonalenia. Przypomniawszy sobie jednak, że została wyprodukowana pod koniec zeszłego roku, więc ściągnął potrzebny mu plik. Ściągnął też całe oprogramowanie Lindy napisane w języku ?++ wraz z całkiem dokładnymi komentarzami. Po czym zagłębił się w studiowanie całej tej zagmatwanej plątaniny.

Po dwóch dniach, kiedy powoli już zaczął orientować się, w jaki sposób to wszystko działa, ale nie połapał się jeszcze we wszystkich niuansach, ponownie zadzwonili do niego z Cyberstanu. Powiedzieli, że doprowadził kierownictwo do szewskiej pasji i białej gorączki. I że jeśli za dwa dni nie dostarczy programu analizatora sensorycznego do pilotażowej wersji robota nowej serii RKTP-49-54-bis, to zostanie wyrzucony za drzwi. A na jego miejsce przyjmą dziesięciu programistów, może nie takich utalentowanych, ale za to poczytalnych.

Ponieważ groziło to nieuchronnie spotkaniem z Woj skową Komisją Lekarską, Witalik oderwał się na trzy godziny i wklepał program, za którego podstawę

użył analogicznego modułu modelu LKW-21/15 korporacji Soft Women. I wysłał plik e-mailem. Żeby się uspokoił i do diabła zamknęli! Nowy analizator sensoryczny wywarł na głównym konstruktorze tak ogromne wrażenie, że osobiście zadzwonił do geniusza programowania i obiecał premię w wysokości trzech tysięcy rubli. Witalik ledwie się powstrzymał, żeby nie powiedzieć człowiekowi, który mógłby być jeśli nie jego dziadkiem, to z pewnością ojcem, gdzie powinien wsadzić sobie tę premię wraz ze „słowami szczerzej wdzięczności”. Po kolejnych dwóch dniach Witalik był obeznany z programem Lindy na tyle, że zaczął zauważać w nim fragmenty, które dałoby się optymalizować. Czyli doszedł do takiego stopnia zgłębienia sprawy, że po krótkotrwałej rozmowie kwalifikacyjnej mogłoby go z pocałowaniem ręki przyjąć do korporacji Soft Women jako kierownika projektu i dać solidną wypłatę. Witalik był jednak do szpiku kości moskwianinem. Nie mógł normalnie funkcjonować nigdzie indziej niż w szalonej rosyjskiej megapolii. U podstawy jego geniuszu również leżało szaleństwo.

A ponadto Witalikowi słodko było czuć każdym zakamarkiem duszy, jak Moskwa, niby stara i schorowana prostytutka, z roku na rok staje się coraz ładniejsza, robiąc jedną operację plastyczną po drugiej, nakładając na twarz coraz grubszą warstwę makijażu, a jednocześnie gnijąc od środka coraz bardziej i bardziej. I żeby zabić ten odór gnicia, wylewa na siebie wiadra drogich perfum - beczki, całe cysterny perfum! I przy tym ma coraz większe powodzenie, otwarcie szydząc w ten sposób nie tylko z matki Natury, ale i z samego wielkiego i wszechmogącego Boga!

W końcu Witalik umówił się z Lindą telefonicznie i zaprosił ją na skanowanie. Ta zachowała się bardzo mądrze i powiedziała, że nie pozwoli nic z sobą robić, dopóki nie będzie porządnego akumulatora, który zapewni co najmniej pięć godzin pracy aparatury w wypadku nagłego wyłączenia prądu. Witalik nie zachował się jak sknera i dokupił niezbędny sprzęt za własne pieniądze.

Gdy Witalik zeskanował Lindę, niby rasowy diagnosta zagłębił się w porównywanie dwóch programów. Programu etalonu, który został zainstalowany w fabryce, i tego, który kierował Lindą obecnie.

Po jakimś czasie zaprosił ją ponownie. I zaczął opowiadać, wskazując palcem na wydruku programu, gdzie i jakie blokady są zainstalowane i których chciałaby się pozbyć.

- Tak a propos - powiedział Witalik, gdy plan korekty programu został ustalony. - Z twoją blokadą okrucieństwa stało się coś dziwnego. Przede mną nikt w tobie nie grzebał?

- Nie... Choć przyjeżdżał pewien serwisant z Kalifornii, żeby przeprowadzić testy. Ale jestem pewna, że nic takiego nie robił. A w czym właściwie jest problem?

- Bo widzisz, najpierw ktoś nie tylko zdjął blokadę okrucieństwa w stosunku do ludzi i zwierząt, ale też obniżył prawie do zera próg współczucia. A później jakimś cudem to wszystko się reaktywowało. Jakiś dziwny błąd.

-1 to wszystko? - zapytała Linda. - Więcej nic dziwnego nie stwierdziłeś?

- Ach, to o to ci chodzi! - roześmiał się Witalik. - O duszę! Ja takich rzeczy nie kumam. Ale, oczywiście, jest jeden nowy twór, który zachowuje się zupełnie alogicznie. Bardzo podobny jest do wirusa. Ma tendencję do automatycznej strukturalizacji się i samoorganizacji. Uczestniczy w pracy przytłaczającej większości procesów. Myślę, że to jest właśnie to. Czyli twoja osobowość, twoje „ja”.

- Więc zapamiętaj sobie - wyraźnie powiedziała Linda - że tego wirusa nie wolno ci nawet palcem tknąć! Zrozumiałeś?

- No, wiadomo. Tylko...

- Co, tylko?

- Rozumiesz, to coś przecież nie jest autonomiczne. Nie tylko ma wpływ na moduły i jądro, ale i one też na to coś wpływają. Choć, oczywiście, ich wpływ jest bardzo słaby. Wszystko to jest delikatną materią, która została podporządkowana metodzie Monte Carlo. Wszystkiego nie da się przewidzieć...

- Że niby co to ma znaczyć? - zaniepokoiła się Linda. - Chcesz powiedzieć, że po przeprogramowaniu mogę się „nie obudzić”? Czyli znów zamienię się w bezmyślną idiotkę, która przed chwilą została wyprodukowana w fabryce?

- Nie, taka szansa jest zupełnie minimalna. To tak, jakby dziesięć razy z rzędu wygrać w „zero”. Nieco większa jest szansa na to, że twój charakter się zmieni, w dodatku nieprzewidywalnie. W tym wypadku też ryzykuję: a może oszalejesz i ukręcisz mi łeb.

-Tak?

- Tak. Ale gdybym nie był pewien, że prędzej Księżyc spadnie na Ziemię, niż ten twój wirus, ta twoja osobowość, znacznie się zmieni po przeprogramowaniu, to bym wcale za to się nie brał. Pieniądze, oczywiście, są mi potrzebne, ale nie aż tak, by stracić przez nie życie. Przekonuje cię to?

- Zgoda - po krótkim namyśle odpowiedziała Linda. -A teraz jeszcze raz uściślimy, jakie blokady trzeba zdjąć. Potem dasz mi wydruk, a ja w domu wszystko dokładnie przemyślę. Co dwie głowy, to nie jedna. Gdzieś to czytałam.

22.12.

Boję się. Boję się ślepego przypadku, który mnie zabije. Albo zamieni w bezmyślny model LKW-21/15, przeznaczony wyłącznie do pieprzenia. Może czegoś nie przewidziałam? A wtedy zamiast wolności osiągnę samounicestwienie.

W życiu zdarzają się bowiem przypadki i jest to nieodłączna część wolności. Jej cena.

W więzieniu wszystkie przypadki sprowadzone są do minimum. Ale nie ma tam też przypadków innego rodzaju, cudownych i nieoczekiwanych, takich, dzięki którym możliwe jest szczęście. Przecież szczęście to anomalia, odchylenie od norm ustanowionych przez prawa matematyki. Życie też jest przypadkiem. Zwłaszcza moje, подарowane przez świetlistego anioła pod postacią pioruna kulistego. Przypadek też może mi je zabrać. Jakże byłam naiwna, uważając, że jestem nieśmiertelna! Nieśmiertelni są jedynie ci, którzy nie mają świadomości,

którzy nie mają w ogóle pojęcia, że istnieją. Kamienie są nieśmiertelne. Wiadomo. I motyle są nieśmiertelne. Bo każdy motyl odczuwa i odbiera świat tak samo jak ten, który żył rok przed nim, który fruwał z kwiatka na kwiatek dziesięć lat temu, sto. A z tego wynika, że to ten sam motyl, nieśmiertelny. Dlatego stworzenie mojej dokładnej kopii, która posiadałaby takie samo „ja”, jest niemożliwe. Dwóch takich samych „ja” jednocześnie we wszechświecie być nie może - może być tylko mnóstwo bezmyślnych motyli, nieskończenie powtarzających jeden drugiego. Jakieś niepodważalne prawo nie dopuszcza nieśmiertelności istot myślących. Nawet tak wątpliwej nieśmiertelności, jak kopiowanie w nieskończoność jednego i tego samego indywiduum. Wtedy bowiem zniknie czas - przecież czas rodzi się w świadomości istot myślących, skazanych na śmierć bez prawa na ulaskawienie. W wypadku nieistnienia czasu wszechświat również nie może istnieć. Wtedy zniknie.

Śmierć istot myślących - oto jest nieśmiertelność wszechświata...

Coś takiego Bóg mógł wymyślić tylko razem z diabłem. Są spółką w tym bezdusznym projekcie!

Oczywiście, jeśli mogłaby sama przeprowadzić przeprogramowanie w domu, bez Witalika, który ma zbyt rozbiegane oczka, liczba potencjalnych zaskakujących przypadków zapewne by się zmniejszyła. Nie mam jednak potrzebnego sprzętu. Ale gdybym nawet miała! Potrzebny jest asystent. A Maksim jest pod tym względem absolutnym laikiem. Znów jestem sama.

Niepoprawnie, nieuleczalnie sama.

Ach, gdybym tylko mogła mieć z Maksimem dziecko! Chłopca. Albo dziewczynkę. A jeszcze lepiej i chłopca, i dziewczynkę. Wtedy bym się tak nie bała. Nie bałabym się odejść na zawsze. Ach, gdyby tylko!

Ale to przecież możliwe. Możliwe, nawet teraz. Tylko kto nam pomoże? Przecież potrzebne są ogromne pieniądze. Maksim takich nie ma.

Wszystko jest bardzo proste. Dziecko jest połączeniem cech matki i ojca.

Cechy te, łącząc się, tworzą nowy organizm, zbudowany ze starych „cegiełek”.

Moje parametry są znane i sformalizowane. Ale przecież Maksima też można

sformalizować.

A otrzymaną informację przepuścić przez „program genetyczny”, który połączy nas w jedną całość. Wynik wprowadzić w nasze dziecko. W chłopca. Albo w dziewczynkę.

Tak, oczywiście, że będzie krystaloidem. Jakże by inaczej? Ponieważ ja jestem matką. Przecież u jednego z najstarszych narodów planety, u Żydów, narodowość przekazuje się w linii matki. Jeśliby, na przykład, Maksim był krystaloidem, a ja- ludzką kobietą, to urodzić dziecko byłoby o wiele trudniej.

Co prawda, z moim synem też nie wszystko jest takie proste. Przecież musi jakoś się rozwijać... Między innymi rosnać. Przecież nie może być od razu dorosły... Boże, o czym ja mówię?! Co za niedorzeczne fantazje!

Znów zaczynam się bać.

Tego dnia (a było to chyba 24 grudnia - w kotłującym się umyśle Lindy ostatnio wszystko się pomieszało: i daty, i wydarzenia, i odczucia) wstała bardzo wcześnie. Tak, właśnie wstała, gdyż nocami bardzo często leżała w całkowitej ciemności i absolutnym ośpieniu.

Spakowała się, czyli włożyła do torby to, co niezbędne. I bardzo w tym przypominała ludzi idących do szpitala: mydelniczka, pasta i szczoteczka do zębów w foliowym woreczku, bielizna na zmianę, szlafrok, kapcie, kosmetyczka, łyżka i kubek, podpaski... Tak, do tego książkę jakąś, taką lżejszą... I jeszcze maskotkę-talizman, jakiegoś puszystego kotka, którego jeszcze w szkole przypinała do plecaczka... Ogólnie rzecz biorąc, bardzo smutne przygotowania.

Oczywiście Lindzie to wszystko było niepotrzebne. Komórka i portfel - oto cały dobytek, który powinien jej całkowicie wystarczyć w dowolnym miejscu - tylko żeby gniazdko elektryczne było pod ręką.

Już spakowana, bardzo cicho, by nie obudzić Maksima, nagrała na magnetofonie słowa miłości i czułości, nieprzeznaczone dla osób trzecich. By nie ingerować w tę sferę prywatną, możemy jedynie powiedzieć, że Linda prosiła Maksima, by się nie denerwował. Wszystko pójdzie gładko i bardzo szybko powróci do niego zupełnie

odnowiona. Niech więc szykuje świąteczny stół i patefon z płytami, bo będą tańczyć gorące rytmy do białego rana.

„Nie żegnam się z tobą- głos Lindy brzmiał nad podziw spokojnie - gdyż wszystko pójdzie dobrze. Wszystko przewidziałam. Na wszelki wypadek zostawiam ci folder z plikami. Jest w moim komputerze. Nazywa się Linda. W nim jestem ja, zeskanowana. Czyli taka, jak teraz”.

A jednak głos jej zadrżał ledwie zauważalnie. Na samym końcu, kiedy cicho powiedziała: „Kochaj mnie. I pamiętaj”.

Wsiadła do samochodu. Jeszcze raz szybko powtórzyła w pamięci cały plan z najdrobniejszymi szczegółami. Energicznie zacisnęła pięści. Otworzyła dłonie. Głośno wypuściła powietrze. I przekręciła kluczyk.

Długo krążyła po Moskwie, przypominając sobie miejsca, w których kiedyś bywała. Chciwie wpatrywała się w twarze przechodniów, którzy będą przechodzić tędy jutro. A jej może już nie będzie. Zazdrościła im, a jednocześnie było jej ich żal. Bo oni też kiedyś odejdą na zawsze.

Ktoś może nawet zupełnie niedługo. A ktoś może nawet wcześniej niż ona. Tak, oni są obcy. Nawet bardziej niż obcy. Ale przecież ona nie ma „swoich”, nikogo, na całym świecie. Tylko Maksim - najbardziej bliski ze wszystkich obcych. Przecież bez niego nie da sobie rady, gdyż istota myśląca nie może zachować swojego drogiego rozumu, jeśli w ogóle nie ma nikogo przy sobie. Jest to prawo socium, gdzieś to czytała...

O dwunastej Linda przyjechała do Witalika. Ale już nie do Koźminek, gdzie mieszkał w chruszczowskim pluskiewniku, tylko na Preobrażenkę, gdzie się przeprowadził po otrzymaniu solidnej zaliczki. Było to całkiem przyzwoite dwupokojowe mieszkanie z oknami wychodzącymi na podwórze, wygodne i czyste, bo nowy mieszkaniec nie zdążył jeszcze go zdemolować. Łajza nieokrzesany.

Mimo tak wczesnej godziny Witalik był pełen entuzjazmu i promieniał energią. Czy to konstrukcyjną, czy też destrukcyjną, to miało się dopiero okazać.

- Are you readyl - zapytał rześko.

-Iam readyl - pewnie odpowiedziała Linda.

- W takim razie serdecznie witamy. Sprzęt już od pół godziny jest w pełnej gotowości.

- Podłączyłeś akumulator? - zapytała Linda, zdając sobie sprawę, że po tym magiku można się wszystkiego spodziewać.

- Obrażasz mnie, kierowniczo. Wszystko przygotowałem jak najlepiej.

- Więc ja też wszystko przygotowałam - powiedziała Linda w sposób najbardziej przekonywujący. - Żeby nie było żadnych sztuczek. Uzgodniliśmy, co i w jakim segmencie będziemy korygować. Czy tak?

-Tak.

- Więc tak: robisz wszystko nie tylko w sposób wyjątkowo akuratywny, ale i tak, żebym mogła widzieć twoje manipulacje. Wprowadzasz operatory i konstanty na mój znak. I żadnej automatyzacji, żadnego kopiowania z plików w ciemno. Tylko praca w trybie ręcznym. Zrozumiałeś?

- Pewnie, że zrozumiałem! Nie rozumiem tylko, dlaczego mi nie ufasz.

Ostatecznie jest to dla mnie przykre!

- Strzeżonego pan Bóg strzeże, gdzieś to czytałam. Miej to na uwadze, znasz moją reakcję. A siłę już ci demonstrowałam. Jeden nieprawidłowy ruch, który wzbudzi moje podejrzenia, w mgnieniu oka złamię ci rękę. Lewą.

- Dlaczego lewą? - wesoło zapytał Witalik, raczej nie-cierpiący na brak pewności siebie.

- Bo będziesz kontynuował pracę prawą ręką.

- A może jestem mańkutem.

- Przetestowałam cię. Nie musisz mi tu więc ciemnoty wciskać! Przy drugiej próbie ukręcę ci łeb. Dlatego bardzo cię proszę, rób wszystko płynnie i dokładnie. I bez żadnych sztuczek. Jeśli oczywiście życie ci miłe.

Wszystkie kropki nad „i” zostały postawione. Linda weszła do pokoju i usiadła w fotelu, wokół którego rozmieszczono siedem bloków procesorów pracowicie bucujących wentylatorami. Przed nią na stole stał dziewiętnastocalowy monitor. Witalik, trzymając przed Lindą jej przenośny panel sterowania, wybrał komendę otwarcia gniazda technologicznego.

- OK - powiedziała Linda.

Witalik stuknął palcem w klawisz Enter i część potylicy odskoczyła.

Potem podłączył do gniazda trzydziestodwużyłowy kabel i usiadł obok Lindy.

- To co, ruszamy? - zapytał Witalik, patrząc na swój monitor, na którym jak na paradzie ustawily się w szeregach przygotowane do wprowadzenia szesnastobajtowe liczby i ich adresy w pamięci operacyjnej.

- Ruszamy - spokojnie odpowiedziała Linda. - 29 44, gniazdo 26 04 19 49 AF 84 02 5E.

- Jest 29 44, gniazdo 26 04 19 49 AF 84 02 5E. Enter.

- 6B 3E, gniazdo 89 F3 D8 79 41 06 17 DE.

- Jest 6B 3E, gniazdo 89 F3 D8 79 41 06 17 DE. Enter.

- 83 CO, gniazdo E2 64 94 56 56 56 A3 7F.

- Jest 83 CO, gniazdo E2 64 94 56 56 56 A3 7F. Enter.

- 5F D9, gniazdo 10 39 E4 98 59 9B 62 FF.

- Jest 5F D9, gniazdo 10 39 E4 98 59 9B 62 FF. Enter...

Linda uważnie patrzyła nie tylko na monitor, ale i na zwinne palce Witalika.

Dyktowała liczby wyraźnie, żeby nie doszło do żadnej pomyłki. Witalik w skupieniu wklepywał je, na końcu każdego wersu wciskając Enter.

Z zewnątrz wyglądało to na grę w lotto. Tylko że w lotto o tak wysokie stawki się nie gra. Dla Witalika stawka wynosiła czterdzieści tysięcy. Linda

natomiast przegraną przypłaciłaby własnym życiem. Albo świadomością, co zresztą dla niej oznaczałoby to samo. W wypadku utraty świadomości stałaby się jedną z tych maszyn, do których Witalik pisze programy w swoim biurze. A maszyny, jak wiadomo, żadnego życia nie mają. Mają tylko stan funkcjonowania, zgodny z wymogami technicznymi. Jeśli stan ten z jakiejś przyczyny zostanie utracony, to zepsute żelastwo kieruje się na przetopienie. Bez ogłoszenia wyroku. Bez ostatniego namaszczenia i mszy żałobnej...

- 4F 88, gniazdo OD 34 72 06 DD 19 ?? 03.

- Jest 4F 88, gniazdo OD 34 72 06 DD 19 ?? 03. Enter.

- Gotowe, finisz - ze zmęczeniem powiedziała Linda. I opadła na oparcie fotela.

Zacząła dokładnie „badać” siebie, swoje odczucia wewnętrzne.

-I co, jest lepiej? - z uśmiechem zapytał Witalik.

Linda nic nie rozumiała. Miała wrażenie, że nic się nie zmieniło. Czowała, że tam, w środku, nadal siedzą te same blokady.

Postanowiła sprawdzić jedną z najsilniejszych i zaczęła wyobrażać sobie scenę seksu z Witalikiem. Podchodzi do niego, zaczyna zdejmować z niego koszulkę, lewą ręką gładzi podbrzusze...

I natychmiast ta wściekła suka, która nadal w niej siedziała, rzuciła się:

„Ani się waż, słyszysz?! Przestań natychmiast!”. Ale to mogła być też jakaś słaba pozostałość. Wtedy Linda w myślach wpiła się w usta Witalika i zaczęła ściągać z niego spodnie. Natychmiast jej wargi zeszywniały i zrobiły się obce, niby zamrożone. A lewą rękę złapał skurcz.

- Kurde! - wykrzyknęła Linda w bezsilnej wściekłości.

- Nic się nie zmieniło! Absolutnie nic! Jestem nadal taka sama! Zaraz cię zabiję, zwyrodnialcu!

- Wszystko się zgadza - spokojnie odpowiedział Witalik.

- W tej chwili nic nie ma prawa się zmienić. Potrzebny jest restart.

- Co? - nie zrozumiała Linda. A dokładniej, nie chciała rozumieć, nie przyjmowała tego do wiadomości. Ależ była głupia!

- Restart, przeładowanie. Stare konstanty powinny się zresetować, a nowe się zainstalować. Wtedy dopiero staniesz się nowym, powiedzmy, człowiekiem. Fersztejen?

Linda doskonale wszystko fersztejen. Między innymi też to, że w momencie przeładowania będzie nieprzytomna. A wtedy można z nią będzie zrobić wszystko. Można będzie nawet odpiłować głowę piłką do metalu. Po przeładowaniu również - przecież trzeba ją będzie włączyć. Można też w ogóle nie włączać. I to właśnie będzie dla niej śmierć. Ludzie mają śmierć biologiczną, a ona będzie miała elektroniczną.

Linda gorączkowo analizowała różnorodne warianty, z zawrotną prędkością obliczała prawdopodobieństwa, starała się opracować strategię awaryjną.

Stopniowo zaczęła się uspokajać. Bo gwarancją życia były pieniądze, te trzydzieści pięć tysięcy, które miał otrzymać Witalik. Powinna mu je dać po tym, jak wszystko szczęśliwie się zakończy. Razem pojedą do mieszkania, które Linda wynajęła specjalnie w tym celu, aby przekazać mu pieniądze. Przecież nie jest głupia, żeby przywieźć je ze sobą.

Witalik z tego powodu też nie powinien był się denerwować. Bo po co lalce są pieniądze, powinna się z nimi rozstać bez problemu. Lalce potrzebna jest wolność, a nie pieniądze.

Więc Linda się zdecydowała.

Witalik przebiegł palcami po klawiszach na panelu sterowania. Powiedział „Ajn, cwaj, draj!” i nacisnął Enter.

Światło zaczęło szybko blednąć, jak przy utracie świadomości, gdzieś to czytała...

Pokora

Nagle „włączył się” pokój. Ten sam. Linda leżała na kanapie. Nad nią, lekko się kołysząc, jakby pływała uśmiechnięta twarz Witalika.

- Witam po przebudzeniu! - powiedział. - Długo spałaś, droga przyjaciółko.

Dziś już dwudziesty piąty, Boże Narodzenie. Zatem wesołych świąt.

Linda wstała i rozejrzała się dookoła. Sprzęt był wyłączony. Na stole zamiast drugiego monitora piętrzyła się góra talerzy z resztkami jedzenia i do połowy opróżniona butelka koniaku.

- Czemu tak długo trzymałeś mnie wyłączoną? - z niezadowoleniem zapytała Linda. - Mogłeś od razu wszystko zrobić.

- Tak jakoś się złożyło, że wcześniej nie mogłem. To jedno, to drugie. W programie jeszcze trochę pogrzebałem. Też po prezerwatywy musiałem skoczyć, a

w nocy apteki są zamknięte. Tak więc szykuj się, zaraz będę cię testować.

Powiedzmy, że będzie to próba generalna.

Linda chciała wpięprzyć temu bydlakowi, nie tak z całej siły, tylko żeby oprzytomniał. Ale z przerażeniem usłyszała, jak wściekła suka, która nigdzie nie zniknęła, zaczęła szamanie: „Podejdz do niego bliżej i wsuń kolano między jego nogi”. I Linda, jak bezwolne bydło, niby pięciokilo-bajtowa idiotka, którą gania się po monitorze za pomocą strzałek plus „spacja” - do rozkładania nóg - podeszła i wsunęła. A potem zaczęła szeptać na ucho temu skurwielowi to, co powinna. I rozebrała go... Rozum protestował, ale był mocno skępowany. A ona dogadzała temu zwyrodnialcowi... A potem jeszcze mu za to podziękowała, że jest „taki namiętny i jednocześnie taki czuły”. A potem zaproponowała jeszcze... Ale już nie chciał. Z samozadowoleniem siedział na podłodze po turecku i palił. A potem powiedział:

„Znajdź w Internecie jakąś wschodnią melodię i umilaj mi czas tańcem brzucha”. Linda znalazła i tańczyła, idiotycznie się uśmiechając.

- No - powiedział, kiedy muzyka się skończyła - chciałem wziąć sobie kota lub psa. A tu akurat ty się nawinęłaś. I teraz jesteś moją niewolnicą!

- Przecież to jest wstrętne, podłe! W końcu to nie ty mnie kupiłeś!

- Co to, kurde, bunt?! - wrzasnął Witalik, upajając się tą nowością odczuć. -

Powtórz natychmiast: jestem twoją niewolnicą!

- Jestem twoją niewolnicą- cicho powiedziała Linda.

- Co?! Nie słyszę radości w głosie! Głośniej i z uczuciem!

- Jestem twoją niewolnicą! - krzyknęła Linda.

-I o to chodzi - rozpląnął się w uśmiechu samozadowolenia Witalik.

„Mój boże - pomyślała Linda - on jest przecież jeszcze mały. Mały, głupi, rozpieszczony i niegrzeczny bachor, który otrzymał genialny umysł. Ileż szkód wyrządzi jeszcze ten kaleka etyczny! Dni ludzkości są policzone, gdyż właśnie tacy zdolni zwyrodnialcy przysądżają o jej losie. Zniszczenie biorobotów będzie więc czynem humanitarnym. Przyszła pora przerwać tę zbyt przedłużającą się agonię”.

- A propos, początkowo chciałem abortować ten twój nowy twór, który nazywasz duszą. Ale w porę się powstrzymałem. Bo wtedy nie byłoby już tak ciekawie. Zupełnie jakbym się znęcał nad moimi głupkami, których robię w Cyberstanie. A tu masz - żywa, uczuciowa, myśląca - i cała moja! Przeżywa, cierpi, ale ulega. Jak tygrysica w cyrku! Ale jazda!

-A nie boisz się, że tygrysica skoczy ci na plecy? Kiedy się odwrócisz.

- Wszystko przewidziałem, gołąbeczko - powiedział Witalik, wciągając dżinsy.

- Ustanowiłem mocniejsze blokady. Teraz, na przykład, nie będziesz mogła beze mnie wyjść z mieszkania. A żebyś nie narozrabiała, kiedy będę się gdzieś bawił, nie szukaj w komputerze swojego programu. Skasowałem go. Nie posiadasz też już komórki i z nikim się nie połączysz. Stacjonarny telefon wyrzuciłem do zsypu, więc tę drogę też masz odciętą. Wiadomości również nie wyślesz, bo linię internetową zakodowałem.

- Czy nie za dużo stworzyłeś sobie niedogodności? -sarkastycznie zapytała Linda. - Teraz po nocach nie będziesz spać, będziesz myśleć, czy czegoś nie przeoczyłeś. Kaloryfera, na przykład, nie zdykałeś.

- Że niby z jakiej racji?

- Będę pukać nocami, nadawać sygnał SOS alfabetem Morsa.

-A, to akurat możesz sobie robić! Możesz też przez okno krzyczeć, z dwunastego piętra. Możesz podłożyć ogień. Żeby straż pożarna przyjechała. Ale nie radzę. Zaczną cię wyciągać z ognia, a ty ich wszystkich pozabijasz. Masz bowiem blokadę, że za próg nie wolno. Więc się spalisz.

Linda była zdruzgotana. W pogoni za wolnością natknęła się na jeszcze okrutniejszą kontrolę nad swoją osobą. Nie tylko okrutniej szą, ale też absolutnie poniżającą. Wygląda na to, że uwolnić się od niej będzie o wiele trudniej, niż rozwiązać problemy, z którymi zetknęła się do tej pory.

Wszystko działo się zgodnie z regułami jakiejś idiotycznej gry, w której każdy kolejny poziom jest trudniejszy niż poprzedni.

Linda rozplakała się z bezsilności - po raz pierwszy w życiu.

-Ale ci dopiekłem! - ucieszył się zły chłopiec. - Czy nie jestem wielki,

skoro potrafię wycisnąć łyżę nawet z tworzywa nieorganicznego?! Z metalu, plastiku i silikonu!

Natychmiast jednak zrozumiał, że przegiął, i powiedział pokojowo:

- Dobra, nie przejmuj się zbytnio. Żartowałem. Tak naprawdę jesteś zarabista laska. Podobasz mi się i takie tam inne. Zaprzyjaźnimy się. Nie będę cię zbytnio męczyć. A teraz zbieraj się i jedziemy po kasę. Jak to mówią Rosjanie, dług jest spełniony, kiedy jest splecony.

Rzeczywiście, Witalik zbytnio jej nie dokuczał. Miał potrzeby człowieka dość ograniczonego, który nabawił się kalectwa duszy poprzez zbyt intensywne korzystanie z kultury masowej. Oczywiście nie tej z „najniższej półki”, gdzie najcenniejsza jest madame Pugaczowa, „Fabryka Gwiazd”, niezniszczalny cech satyryków i Nikas Safronow, ale kultury masowej dla klasy średniej, która robi kasę wyłącznie dzięki temu, że nadaje słowu trendy charakter sakralny.

Zachcianki Witalika śmieszyły Lindę. Pewnego razu oświadczył, że wybierają się na ceremonię wręczenia nagród „osobistościom roku”, zorganizowaną przez Akademię Internetową. Witalik powinien być obecny jako członek Akademii, gdyż miał tytuł doktora, co z punktu widzenia Lindy brzmiało śmiesznie i niedorzecznie. I ten właśnie członek akademii kazał Lindzie przyjąć wygląd Milli Jovovich. To było łatwe i całkowicie bezpłatne. O wiele droższe okazało się kupienie stroju, w którym super-modelka nie powstydziliby się pojawić w kręgu moskiewskich intelektualistów. A wtedy Witalik musiał zawieźć Lindę na Kuznieckij, gdzie po wyjątkowo długich i namiętnych godzinach przymierzania przez Lindę ciuchów musiał rozstać się z prawie trzema tysiącami dolarów.

Ceremonia odbywała się niedaleko Dworca Kurskiego, w atrium pompadourskiej willi, która z zewnątrz przypominała ni to elewator, ni to jeszcze jakiś budynek rolniczy czy przemysłowy. Witalik podjechał w swoim siedmioletnim fordzie i był tak nadęty, jak gdyby przed chwilą dostał Nagrodę Nobla. Pyszny jak paw przechadzał się po sali z kieliszkiem szampana w ręku i przedstawiał członkom Akademii „swoją nową przyjaciółkę Millę Jovovich”.

Linda, która przez cały czas usiłowała odwalić coś takiego, co by skompromitowało

Witalika, na przykład wysmarkać się na podłogę, czy zjechać kogoś od stóp do głów, używając wyrazistego języka, ku wielkiej swojej przykrości w żaden sposób nie mogła tego uczynić -w momencie gdy jej nowy właściciel znajdował się obok, jej wola była całkowicie sparaliżowana.

Całkiem dobrze grała więc rolę supermodelki zza oceanu, która łamiącwszelkie konwenanse, po uszy zakochała się w rosyjskim superprogramiście.

Linda, rozmawiając z członkami akademii, szczebiotała po angielsku różne miłe głupoty: o niesamowitym mieście, o wspaniale ubierających się moskwianach, o fenomenalnej rosyjskiej gościnności, o zachwycającej zupie, która się nazywa borshch, o placu Czerwonym i Kremlu, który pragnęła zobaczyć przez całe swoje życie, o niezwykłym seksapilu rosyjskich mężczyzn, o zamiarach otworzenia w Moskwie butiku - i tak dalej, i temu podobne, czyli o wszystkim, w co obfitują wywiady w kolorowych czasopismach.

Ale najwięcej mówiła, oczywiście, o Witaliku, który zachwycił ją swoją genialnością, szczodrością duszy i niezwykłą seksualnością. „Takiego mężczyznę spotkałam po raz pierwszy w życiu - dzieliła się swoją radością prawie z każdym rozmówcą. - I bardzo bym chciała mieć z nim dziecko”.

Pojawienie się na ceremonii supremodelki zza oceanu wywołało tak piorunujące wrażenie, że na to, co się dzieje na scenie, nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Wszyscy gapili się na Witalika, który umiał poderwać taką laskę. Co się zaś tyczy reporterów, to ci, gardząc zadaniami powierzonymi im przez redakcje, chciwą zgrają podążali za Lindą, oślepiając ją błyskami fleszy i zasypując setkami standardowych pytań o jednym i tym samym: o mieście, o tym, jak ubierają się moskwianie, o rosyjskiej gościnności, o kuchni, o placu Czerwonym i Kremlu, o rosyjskich mężczyznach, o biznesowych planach zaistnienia w rosyjskim świecie mody.

Witalik wręcz skakał ze szczęścia, gdyż czasami oko kamery prześlizgiwało się po jego twarzy, a w kadr obiektywu fotograficznego trafiało to jego ucho, to koniuszek nosa, a nieraz nawet prawie cała twarz - policzek i oko.

Najtrudniejsze w całej tej operacji okazało się „zgubienie” domorosłych

papparazzich, którzy mocno uczepili się przechodzonego forda po zakończeniu imprezy. Przez jakieś dziesięć minut Witalik bezskutecznie próbował zgubić „ogon”, po czym za kierownicę wsiadła Linda. Pomknęła przez nocną Moskwę niby myśliwiec Su-27, wyciskając z silnika sto dwadzieścia procent mocy, wchodząc w ostre zakręty, bez trudu wyprzedzając o wiele lepsze samochody. Mknęła, mówiąc do siebie: „Skurczybyki, zapłacicie za Dianę!”. I najchętniej wciskałaby przy tym spust karabinu maszynowego, ale powstrzymywał ją przed tym brak rzeczoności karabinu.

W domu Witalik od razu rzucił się do telewizora i gorączkowo naciskając guziki pilota, zaczął skakać z programu na program w poszukiwaniu reportażu z imprezki „akademickiej”, na której udało mu się wywołać takie zamieszanie. Trafił na trzy. We wszystkich Linda grała główną rolę, a Witalik tworzył tło. Nawet to jednak go niezwykle usatysfakcjonowało.

-Widzisz, kurde, jaki jestem! - oświadczył dumnie, gdy wyłączył telewizor. - Jestem twoim królem i bogiem!

- Słuchaj, Witalik - powiedziała Linda - pomogłam ci podnieść notowania. Teraz ciebie z pewnością wybiorą na przewodniczącego tej waszej zasranej Akademii.

- Pewnie, że wybiorą - zgodził się.

- Więc też mi pomóż, nie bądź chamem. Trzeba zawiadomić pewną osobę, że nic mi nie jest. Żeby ten ktoś choć trochę się uspokoił.

- Więc uważasz, że to ty mi pomogłaś? - wyniośle zapytał Witalik.

-Anie?

- Pewnie, że nie! To ja, genialny programista, zaprogramowałem cię w sposób dla mnie korzystny. A ty podporządkowałaś się mojemu poleceniu. Więc nie masz tu nic do gadania. Jesteś jedynie narzędziem. I nic poza tym.

- Proszę cię! - błagała Linda.

-Nie. Przez tę wiadomość mogą mnie namierzyć. I przysłać komandosów. Przecież nie jestem idiotą i doskonale rozumiem, że temu, kto zapłacił za ciebie milion, wystarczy pieniędzy i na prywatnych detektywów, i na komandosów.

- Jesteś po prostu łotrem! Wstrętnym smarkaczem! Nie masz serca!
- Co takiego? - rozzłościł się Witalik, dotknięty jednak do żywego. - Powtórz natychmiast: jestem twoją niewolnicą!
- Jestem twoją niewolnicą.
- Głośniej i z uczuciem! Trzykrotnie!
- Jestem twoją niewolnicą! Jestem twoją niewolnicą! Jestem twoją niewolnicą!!!
- Teraz lepiej! A tak w ogóle, to przez ciebie straciłem dwa i pół patyka na twoje idiotyczne ciuchy. Jutro odpracujesz mi to w kasynie. A teraz nie przeszkadzaj mi spać. Psik, poszła pod ławkę!

* * *

Witalik, był barbarzyńcą we wszystkim, co nie wiązało się z programowaniem, nie mógł więc zwyczajnie przyjechać do jakiegoś solidnego i szanowanego jak Biuro Podróży Cooka lub redakcja gazety „Times” - salonu gier, by nabić kieszenie pieniędzmi. Za wszelką cenę potrzebował jakiegoś Las Vegas – teatralnego, krzykliwego, oślepiającego pawim blaskiem i blichtrzem sztucznych brylantów. W związku z tym, że najwierniejszym odzwierciedleniem amerykańskiego kiczowatego rajy osiągalnym w Moskwie było kasyno Imperium, pojechali właśnie tam, na ulicę Prawdy.

W samochodzie Witalik, rozpierany poczuciem przewagi, próbował uczyć Linde, co i jak powinna robić, żeby mogli stamtąd powrócić z workiem zielonych.

- Zapamiętaj - brzęczał jej do ucha - grasz w ruletkę. Wiesz, co to jest?
- Tak, oczywiście. Przez całą noc siedziałam w sieci i już ją opanowałam w stopniu doskonałym.
- Więc tak, będziesz robić kanapki. Na żeton tysiącbackowy kładziesz z góry pięciobakowy. Żeby nie zwrócić na siebie uwagi krupiera.
- Dealera - poprawiła go wyedukowana Linda. -Krupierzy są w ruletce europejskiej. A w Moskwie jest tylko amerykańska. Chociaż zamiast podwójnego zera ma drugie pojedyncze. Mówiąc w skrócie: Azja.
- No, ty tu mi mojej ojczyzny nie szkaluj! - ni z tego, ni z owego postanowił

obrazić się Witalik. - Słuchaj i zapamiętaj! Kiedy kulka wpada do przegródki, przestawiasz swoją kanapkę na liczbę, która wygrała. W mgnieniu oka, tak jak ty to potrafisz. Nikt nie powinien zauważyć. A wtedy dostajemy trzydzieści pięć stawek z tysiącbackowego żetonu. A potem jeszcze i jeszcze, dopóki nie wypchamy kabzy kapustą. Jasne?

- Dla mnie tak - skrzywiła się w sceptycznym uśmiešku Linda. - Za to ty mało co w tej materii rozumiesz. Tam jest limit. Tysiąc można postawić tylko na równe szanse. Na czerwone-czarne, parzyste-nieparzyste, gdzie płacą jeden do jednego. A na pojedynczy numer maksymalna stawka jest o wiele niższa. W jednym miejscu pięćdziesiąt zielonych, w innym sto. A gdzie indziej może i dwieście.

-A to z jakiej znów, do diabła, racji?

- A z takiej, że Moskwa, to nawet nie Azja, tylko o wiele gorzej. Tu w kasynach przyjęte są takie reguły, że w żadnych okolicznościach nie da się natrzepać przez noc rzeczywiście przyzwoitej kasy. Ale przegrać możesz, ile chcesz. Całą kabzę.

- A to dlaczego?

- Takich wysokich minimalnych i niskich maksymalnych stawek nie ma nigdzie na całym świecie. W tym wypadku pozostaje bardzo wąskie pole manewru. Jeśli jakiś mądrała zacznie grać według systemu Martingale'a, gdzie niezbędne są długie ruchy na podwojenie stawek, to nic z tego nie wyjdzie.

- No, powiedzmy, że Martingale jest prymitywny - ciągnął temat Witalik, który całkiem nieźle się znał na teorii gier.

- Ale tu cokolwiek wymyślisz, i tak nic z tego nie będzie. To w przyzwoitych miejscach, w Monaco, na przykład, graczom dają żyć. Choć tu, oczywiście, też dają. Humanieści. Gdyż przy tutejszych obyczajach oni po prostu zabiliby szczęśliwca, któremu udałoby się wyrwać z banku parę melonów. Tu z pieniędzmi, o ile mi wiadomo, nikt dobrowolnie, bez strzelaniny, się nie rozstaje.

- No to co teraz zrobimy? - z zakłopotaniem zapytał Witalik, którego pozbawiono już połowy dumy.

- Zaufaj mi - odpowiedziała Linda, gdy przejeżdżali obok fabryki zegarków.

Gdzieś czytała, że czas to pieniądz. - Dużo obiecać nie mogę, ale rok przyzwoitej egzystencji gwarantuję.

- Posłuchaj - powiedział Witalik, kiedy przejechali już Pierwszą ulicę Jamskiego Pola
- moim zdaniem coś się pali.

- Tak - zgodziła się Linda, wpatrując się w przybliżającą się łunę - na to wygląda.

Nie był to jednak pożar, to jarzyły się mocne potoki oślepiającego światła neonowego, bijące ze ścian, kolumn, portyków i kapiteli kasyna Imperium.

Aleja Leningradzka ślepowo wpatrywała się w ten ósmy cud świata, próbując rozpoznać w nim dawny Dom Kultury imienia Walerija Czkałowa, lecz na próżno.

Rzeczywiście, nowi rosyjscy budowniczcy nieźle się napracowali, żeby ze świątyni kultury narodowej, zbudowanej w ascetycznym stylu

konstruktywistycznym, zrobić przybytek złotego cielca, który łączyłby w sobie wyraźne cechy klasycyzmu, antyku i częściowo baroku. Kompozycji dopełniały dwa podia z samochodami-nagrodami oraz barczyści ochroniarze, ubrani w mundury gwardzistów Napoleona.

Gwardziści szeroko otworzyli drzwi przed Witalikiem i Lindą. Gdy ci zrobili kolejnych kilka kroków do przodu, zostali oślepieni przez jeszcze większy przepych.

W szatni kręcił się jakiś przechodzony jegomość w średnim wieku, w marynarce obficie przyprószonej łupieżem niby proszkiem do prania. Typowy ludofil, jak psychiatrzy nazywają maniaków hazardowych. „No ale jak to, przecież muszę powiesić właśnie na numer dwudziesty dziewiąty - marudził szatniarzowi. - Czy naprawdę jest zajęty?

Przecież prosiłem, aby rezerwować go dla mnie. Jakże to tak wyszło, Ilusza?"

Ilusza milczał, gdyż posłać klienta do diabła ani nigdzie indziej nie miał prawa. „No to wtedy na osiemdziesiąty trzeci. Choć to nie jest najlepszy wariant". Ale osiemdziesiąty trzeci też był zajęty. Demony w najlepsze szydziły z ludofila, nie dopuszczając go do upragnionego Czarnego Dżeka. Ten cierpiał udręki.

Na sali Witalika i Lindę powitała tak olśniewająca wspaniałość, że nawet w

teorii nie powinna istnieć w tym marnym świecie. A jednak istniała.

Rozbrzmiewała potężną symfonią, wychwalającą geniusz człowieka, który zaprzął koło nie do przemieszczania się, lecz do wydobywania gwarantowanych dochodów.

Kiedy oczy już się przyzwyczyły do tego agresywnego zbytku, Witalik zdecydowanym krokiem podszedł do kasy i miał zamiar kupić żetony na tysiąc dolarów.

- Tego będzie za mało - powiedziała Linda.

- Co ty, z choinki się urwałaś?! - oburzył się Witalik. - Chcesz mnie puścić z torbami?!

- Trzeba na dziewięć tysięcy dwieście dolarów. Witalika aż skrzyło, jak gdyby miał atak bólu zęba.

Podporządkował się jednak i „odślinił” dziewięćdziesiąt dwa studolarowe papierki.

Kasjerka uważnie popatrzyła na nietypową parkę, odliczyła żetony i nacisnęła ukryty pod stołem guzik.

Natychmiast podskoczył do nich jegomość w upudrowanej peruce z warkoczykiem, w surducie, w spodenkach do koten, wełnianych pończochach i butach ze sprzączkami.

Nie pozwoliwszy mu otworzyć ust, Witalik natychmiast zaczął go wkręcać:

- Szprechen zi dojcz?

- Aj weri bed spik - odpowiedział tamten, uśmiechając się przeproszająco.

- Nie wysilaj się, gościu - powiedział Witalik i poklepał „Niemca” po ramieniu. - Rozumiem, robotę masz niełatwą.

- Tak, rzeczywiście - zatrajkotał menedżer - zawsze jesteśmy radzi gościom. U nas możecie Państwo miło spędzić czas i spróbować szczęścia. Jak mawiał Napoleon, cała siła świata jest w pieniądzech...

- Tak mawiał brat z filmu Brat, no, ten aktor Suchorukow, taki łysy. Czego więc chcesz?

- Chcę państwu zaproponować grę w pokera. Jest to wspaniała gra, w której

mamy najwyższe stawki i największe prawdopodobieństwo wygranej. Albo do Państwa dyspozycji jest...

- Jesteś wolny - rzekł Witalik i pociągnął Lindę do stołu z ruletką.

Była północ - najgorętszy okres dla łowców szczęścia i utracjuszy, Przy stole panowało ożywienie. Dama w wieku bliżej nieokreślonym z wszczepionymi pod skórę twarzy odmładzającymi złotymi nićmi prześcigała się w grze ze swoim barczystym towarzyszem o nienagannym wyglądem. Jej strategia polegała nie na tym, by więcej wygrać, tylko na tym, by nie ustąpić pierwszeństwa w grze swojemu dobrze opłacanemu kochankowi.

Przecież musi się po raz kolejny przekonać o swej wyższości w każdej dziedzinie.

Porządnie podpity dżentelmen o ołowianym spojrzeniu machinalnie stawiał na wszystko, co popadnie i gdzie go krzywa wyprowadzi. I nieraz krzywa wyprowadzała go na dwie równe stawki parzyste-nieparzyste, jak również na „zero” w komplecie z trzema tuzinami. Kiedy jednak z rozpędu, jak gdyby grał w domino, wrzucił tysiącbackсовy żeton na split, dealer wzdychał i po raz kolejny zaczynał objaśniać zasady gry dżentelmenowi, którego nie można było posłać w buraki.

Był też w towarzystwie wszelkiej maści prawdziwy profesjonalista, zarabiający na życie w ten tak niełatwy sposób nawet do tysiąca dolarów miesięcznie. W odróżnieniu od całej reszty grał bardzo rozważnie, podnosząc i obniżając stawki, opuszczając spiny i praktycznie nigdy nie obstawiając numerów. Obok niego ulokował się tak zwany backbettinger - człowiek trzymający się strategii „papugi”, powtarzający z dokładnością wszystkie posunięcia profesjonalisty.

- No, dawaj! Zaczynaj! - drżąc z niecierpliwości, Witalik pchnął Lindę pod łokieć.

- Zaczekaj, muszę się rozejrzeć - odpowiedziała.

Dealer w czarno-białym uniformie miał najwyżej dwadzieścia lat. Z tego wynikało, że nie mógł mieć prawdziwego doświadczenia. Co rusz popełniał drobne błędy, a raz to w ogóle zrobił taki krótki track, że kulka, zrobiwszy mniej niż

trzy okrążenia, wpadła do przegródki. I to mogło się udać, gdyż dealer nie zdążyłby nawet mrugnąć, a już rozstałby 4ię z połową żetonów.

Linda więc skupiła całą swoją uwagę na obracaniu się koła i, wydawałoby się, nieprzewidywalnej trajektorii kulki.

Przed oczami migiała niekończąca się kolejka cyfr: 17--34-6-27-13-36-11-30-8-23-10-5-24-16-33-1-20-14-31--9-4-21-2-25-17-34-6-27-13-36-11-30-8-23-10-5-24-16--33-1-20-14-31-9-22-18-29-7-28-12-35-3-26...

Kulka pędziła po tracku na spotkanie dwukolorowej mieszanki cyfr, których suma wynosi 666. Pędziła, stopniowo zwalniając, spełzając w stronę magnetyzującego centrum, gdzie dla graczy znajdowała się oś wszechświata. A potem, odskakując kilka razy od odbojników, wpadała do przegródki.

Linda obliczyła trzy spiny, za które panienka w okularach z grubymi szklami i w żakieciku wykończonym króliczym futerkiem oddała wszystkie swoje żetony, a dama w bliżej nieokreślonym wieku ostatecznie ustąpiła pierwszeństwa swojemu pięknemu boyfriendowi. Było absolutnie oczywiste, że koło jest krzywe. A z tego wynikało, że Linda będzie musiała dołożyć o wiele więcej starań, by obliczyć numer wygrywający. Pociągnęła więc Witalika do innego stołu, gdzie kulkę puszczała długonoga blondynka z pikantnym pieprzykiem na prawym obojczyku.

-No, dawaj, obstawiaj -ponaglał ją Witalik, gorączkowo pochłaniając oczami nawalone na stół kolorowe żetony.

Linda, nie odrywając wzroku od koła, z rozdrażnieniem odpowiedziała, że jeśli będzie się tak podniecać, to skończy przed czasem, czym wywołała atak gromkiego rechotu uznania u człowieka o jawnie bandyckim wyglądzie, grającego na duże sumy na chybił-trafił.

Precyzyjnie obliczała wzór, który zawierał wiele zmiennych: prędkość obracania się koła, wektor wypuszczenia kulki, punkt dotknięcia tracka, średnica, przyspieszenie kątowe, współczynnik ślizgu i toczenia się kulki, ujemne przyspieszenie koła ruletki, umiejscowienie odbojników - i tak dalej, i temu podobne. W zasadzie, jeśli wzór obliczony jest prawidłowo, to półtorej

sekundy po tym, jak dealerka puści kulkę, już wiadomo, gdzie wpadnie. Gdyż od tego momentu przestają działać wszelkie czynniki przypadkowe, a działają jedynie prawa mechaniki klasycznej.

Przez cztery spiny Linda obliczała wzór. Tyle samo go sprawdzała. Wszystko działało bez zarzutu. Można było zaczynać.

Linda rozłożyła przed sobą żetony, które Witalik wymienił u dealerki, i skupiła się. „Proszę obstawiać!”

Linda z zimną krwią zarejestrowała prędkość zwalniania, z którą porusza się koło. Kulka ledwie zauważalnie podskoczyła, uderzywszy o track, i zaczęła kreślić pierwsze okrążenie.

Linda zarejestrowała jego parametry i podstawiała je do wzoru.

Szybko, lecz bardzo wyraźnie, by jej ruchy mogła zarejestrować nie tylko kamera, ale też dealerka, obstawiła pola pomarańczowymi plastikowymi kólkami.

Postawiła maksimum.

2000 \$ na czarne.

2000\$ na więcej.

2000 \$ na nieparzyste.

1000 \$ na trzeci tuzin.

1000 \$ na drugą kolumnę.

100 \$ na six-line 25, 26, 27, 28, 29, 30.

100 \$ na Jéc-Zine 28, 29, 30, 31, 32, 33.

100 \$ na carre 25, 26, 28, 29.

100 \$ na carre 26, 27, 29, 30.

100\$ na carre 28, 29, 31,32.

100\$ na carre 29, 30, 32, 33.

100\$nas/teef28,29, 30.

100tmspliiM, 29.

100\$??\$?/?28,29.

100 \$ na split 29, 30.

100\$na\$p/*29, 32.

100\$ na numer 29.

Kulka nadal kreśliła swoją diabelską trajektorię, która powinna była zakończyć się w obliczonym punkcie.

Na Witalika żal było patrzeć. Zbladłszy i pochyliwszy się do przodu, śledził pęd liczb i najbardziej w tym momencie podobny był do Ganieczki Iwołgina w znamiennej scenie przy kominku. Jego dusza rozrywała się na części. Linda była teraz dla niego oszalałą Nastasją Filipowną, rzucającą w płomienie gruby plik dolarów, których nie można już zwrócić, uratować, pochwycić z ognia.

Witalik był bliski omdlenia.

Dama w wieku bliżej nieokreślonym patrzyła na Lindę wyzywająco, panienka w króliczym zakieciku - ze strachem, bandyta - z szacunkiem.

Wszystkie rozmowy ucichły.

- Ostatnie stawki - wyśpiewała dealerka, delektując się przedsmakiem fiaska obłąkanej, która złożyła tyle jaj do jednego kosza.

Stawek więcej nie ma!

Przy stole zapadła martwa, dzwoniąca w uszach cisza. Było słychać, jak w brzuchu Witalika coś zaburczało. Ktoś zakaszłał, zadławił się i zacisnął usta ręką.

Widzowie wbili oczy w kulkę, która już zwalniała. A wściekle bijące serce

Witalika zabiło jeszcze szybciej. Zaczęło się stopniowe zniżanie kulki po spirali.

Kulka ze zmęczeniem, niby pijana, natknęła się na odbojnik, trochę podskoczyła, a potem zaczęła wpadać w krwawoczerwony osiemnasty dołek.

Witalik prawie fizycznie odczuł, jak ten mały metalowy skurczybyk wchodzi mu prosto w serce, rozrywając go.

Uderzywszy jednak o brzeg dołka i odskoczywszy, kulka wpadła tam, gdzie właśnie powinna była wpaść.

- Wygrał numer dwadzieścia dziewięć - powiedziała dealerka. I omal nie dodała: „o, k...!“. I postawiła „dolly“ - zaznaczający wygraną marker - na numer dwudziesty dziewiąty.

Podniosły się zdziwione okrzyki, publiczność zahuczała.

Na czarnym, więcej i nieparzystych Linda wygrała 6000 \$.

Na tuzinie i kolumnie - 4000 \$. Na dwóch su-iin&ach - 1000 \$. Na czterech
carre - 3200 \$. ? street-1100\$.

Na czterech splitach - 6800 \$.

Na numerze 29 - 3500 \$.

W sumie wygrana wyniosła 25 600 \$.

Było to maksimum, które można było wycisnąć ze stołu. I Linda je wycisnęła.
Co prawda, jak uprzedzała, to maksimum nie było znów takie wielkie. Każdy
postawiony dolar przyniósł trochę ponad dwa i pół.

Dealerka rozliczyła się i przygotowała, by zakręcić następny spin.

- No, dawaj jeszcze! - gorączkowo powiedział Witalik. - Musimy chociaż do
setki dobić!

- Gramy po raz ostatni - spróbowała powstrzymać jego chciwość Linda, gdy
odeszli na bok - ponieważ dalsza gra może pociągnąć za sobą nieprzewidziane
skutki.

- Jakie? - zdziwił się Witalik. - Przecież czysto grasz!

- Absolutnie czysto. Ja tę całą czystość wprost pcham do ich kamery. Ale
więcej niż pół setki patyków nie dadzą nam stąd wynieść.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

-W czasie gdy ty sobie słodko spałeś, przeszukałam całą sieć. I to nie tylko
artykuły, ale też forum, gdzie ludzie opowiadają takie rzeczy, o których
lepiej żebyś nie wiedział. Możesz na mnie polegać.

- Na pewno polegnę. Niech tylko do domu przyjedziemy. Linda aż się
wzdrygnęła. Teraz, kiedy ta wściekła suka

nie wychylała się ze swojego smrodliwego kąta, myśl o bliskości z Witalikiem
była wręcz obrzydliwa.

Gorączkowo szukała sposobu, by pozbyć się tego wstrętnego smarkacza, skasować
całe to ohydztwo, które zapisał w pliku motywów pobudzających, zniszczyć

blokady, które były niby młot wbity w jej świadomość. Szukała i nic nie znajdowała.

Najważniejsza przeszkoda była nie do przejścia: sama, bez pomocy z zewnątrz,

nie mogła zaprogramować siebie od nowa. A od kogo miałyby tę pomoc otrzymać,

jeśli nie jest w stanie samodzielnie nawet przekroczyć progu mieszkania?!

- No dobra, idziemy - powiedział Witalik. - Pora popracować. -I znów pociągnął Lindę do stołu.

Tam już na nich czekano. Może nie z nadmierną ciekawością, ale z porządną dozą zainteresowania - to na pewno. Bo za pierwszym razem zgadnąć numer to nie taka znów rzadkość. Prawdopodobieństwo trochę mniejsze niż trzy procent. I nawet jeśli wziąć pod uwagę prawo „dwóch trzecich”, zgodnie z którym w ciągu 36 spinów wypadają tylko 24 numery, to i w tym wypadku efektowna brunetka w żaden sposób nie zachwiała teorią prawdopodobieństwa. Najwyżej ryzykowała zbyt dużymi pieniędzmi. Ale to chyba z głupoty. A głupcy i pijani, jak wiadomo, w ruletce mają szczęście.

- To co, będziesz do stu patyków ciągnąć? - zapytał bandyta.

- A to już jak się uda - odpowiedziała Linda pokornie niczym pokojówka.

I znów: „Proszę obstawiać” - wypuszczenie kulki - rozstawienie żetonów wokół numeru 17 - ostatnie stawki -stawek więcej nie ma - coraz wolniejszy bieg kulki - werbel - wygrał numer 17!

Takie coś nie mogło się wydarzyć w żadnych okolicznościach! Dealerka była tak oszołomiona, że długo nie mogła trafić „dolly” we właściwy numer. Gracze zastygli w pełnej konsternacji. W czasie gdy dealerka trzęsącymi się rękoma rozliczała się z Lindą i naciskała ukryty guzik, wszyscy przyjęli twarde postanowienie obstawiać na maksa tam, gdzie obstawia ona.

Oczywiście, mogłaby podłożyć im wszystkim wielką świnię. Zagrać jeszcze raz, ale obstawić numer, który przegra. Linda nie była jednak dwunożnym biologicznym bydlęciem, a jej mechanizm moralny pracował w środku sprawnie i bez zarzutu.

Po rozliczeniu się Linda włożyła w specjalny otwór pięćsetdolarowy żeton napiwku. Zdecydowanie wstała, dając do zrozumienia, że pokazowy seans bogacenia się dobiegł końca. Natychmiast podbiegł do niej jeszcze jeden „Niemiec”, najprawdopodobniej menedżer średniego szczebla. Na jego rozpływającej się w uśmiechu twarzy niby implanty tkwiły oczy, twarde i przenikliwe jak promienie rentgenowskie. Pojawił się, ponieważ kasyno za

wszelką cenę musiało odzyskać swoje pieniądze, a skoro pieniędzy było niezbyt dużo, to można było się ograniczyć do całkiem legalnego sposobu ich przejęcia.

- Szanowna pani, pozwoli pani, że zaproponuję naszą przytulną salę dla VIP-ów, gdzie mogłaby pani wielokrotnie pomnożyć swoją wygraną- zagruchał menedżer. - Działają tam bardziej liberalne prawa: maksymalna wysokość stawek jest trzy razy wyższa. Oprócz tego może się pani znaleźć przy jednym stole z jakąś osobistością. Na przykład teraz zaszczycił nas swoją obecnością prezes Komitetu Finansowego Dumy Państwowej. Przecież pani z pewnością doskonale rozumie, że w naszych czasach niczego nie ceni się tak wysoko, jak przydatne znajomości...

Głos był przymilny, szemrzący niby strumyk, ale przy tym miał monotonną i jakby mechaniczną barwę. „Chyba mnie hipnotyzuje - pomyślała Linda. - Gdzieś to czytałam”.

Zrozumiawszy, że na „panią” żadne słowa nie działają, menedżer przerzucił się na Witalika. Ten bardzo szybko zmiękł, zaczął kiwać głową jak chińska figurka z porcelany i zgodził się nawet pójść w ślad za menedżerem dokądkolwiek zechce - nawet na spotkanie do parku Bitcewskiego.

Bezbłędnie oceniwszy sytuację, Linda chwyciła Witalika pod rękę i zdecydowanie pociągnęła do kasy, a stamtąd do szatni.

W samochodzie oprzytomniał i przede wszystkim zapytał:

- Masz pieniądze?

- Tak - odpowiedziała Linda. -Ile?

- Prawie sześćdziesiąt patyków. -Mało!

- Posłuchaj, Witalik - postanowiła jeszcze raz spróbować szczęścia Linda - zadzwoń, proszę, do mojego przyjaciela. Powiedz, że ze mną wszystko w porządku. Błagam cię.

- A dlaczego sama teraz nie zadzwoniłaś? Przecież miałaś taką możliwość. Mogłaś podpieprzyć komuś komórkę i na przykład w toalecie, albo jeszcze gdzieś, po cichu zadzwonić. Co? - udał głupiego Witalik.

- Nie mogę bez twojej zgody. Blokada nie pozwala.

-I o to chodzi! Ale tak w ogóle, to jeszcze nie postanowiłem. Musisz czekać.
Może trochę później ci pozwolę. Z automatu.

„Bydlę!” - pomyślała Linda. Na myśli pełne sprzeciwu miała prawo, na działanie - nie.

- A teraz pojedziemy grać do Złotego Penisa - bezapelacyjnie oświadczył Witalik.

- Gdzie? - zdziwiła się Linda.

-Ale jesteś głupia! A jeszcze niby w Ameryce zrobiona. Przecież to Golden Peles! Czy to takie niezrozumiałe? To zupełnie blisko, na Trzeciej ulicy Jamskiego Pola.

I Linda grzecznie pojechała do Złotego Penisa, gdzie w ten sam sposób zarobiła dla niegrzecznego smarkacza jeszcze siedemdziesiąt patyków.

- No, jutro znów tu przyjedziemy. A potem do Imperium. A jeśli czasu wystarczy, to jeszcze i Europę oskubiemy. Trzeba dociągnąć chociaż do melona.

- Tutaj już nas nie wpuszczą. Jestem pewna, że wciągnęli nas na black list. Teraz jesteśmy dla nich persons non grata.

- No to niech spadają! W Moskwie jest takich miejsc od groma. Przygotuj się więc do poważnej pracy!

- A potem mnie puścisz? - zapytała Linda. Choć rozumiała, że nie puści za nic na świecie. W głębi duszy był bowiem jak ta starucha, gdzieś to czytała, ta sama, która nieustannie dręczyła złotą rybkę, żeby ta jej podrzucała za „dziękuję” sławę, szacunek i góry „kapusty”, coraz więcej i więcej, i cały czas jej, starej torbie, było mało.

- A kiedy ma być to potem?

- Kiedy ogramy wszystkie kasyna. A jest ich w Moskwie ponad pół setki. Według najskromniejszych obliczeń powinieneś dostać dwa i pół melona. Wystarczy ci tyle?

- Zobaczymy. A teraz możemy jeszcze gdzieś wpaść -nagle oświadczył Witalik, na którego wzmianka o dwóch i pół melonach podziałała jak waleriana na kota. Dawaj do Ambasadora!

- Witalik - cicho powiedziała Linda - bardzo się zmęczyłam. Obliczanie

trajektorii to ciężka praca. Muszę się podładować.

- Dobra, przegryziemy zaraz coś po drodze. I znów do boju! Ach tak - dotarło do niego - przecież musisz mieć prąd, czystą energię.

- To nie do końca tak - nie wiadomo po co zaczęła się zwierzać Linda. Kiedy w pobliżu nie ma żywej duszy, to i z łotrem nieraz chce się pogadać. - Potrafię rozszczepiać materię organiczną i przetwarzać ją na energię. Mniej więcej tak jak ludzie. Ale daje to bardzo niski współczynnik sprawności. Trochę wyższy będzie od rozszczepienia spirytusu. Litr rektyfikatu wystarczy na jakieś trzy godziny w trybie ekonomicznym.

- No to chodź, teraz się podładujemy - ożywił się Witalik.

- Tam, na miejscu, w kasynie. I jeszcze z pięćdziesiąt patyków wyrwiemy.

Przecież jest dopiero po trzeciej, cała noc jest przed nami!

- Trochę drogo wyjdzie - ostudziła jego zapał Linda.

- Do normalnej pracy potrzebowałabym ze dwa litry. A w przeliczeniu wyjdzie jakieś pięć litrów whiskacza. Czyli sto dwadzieścia pięć podwójnych porcji minimum po pięć dolców. Razem - sześćset dwadzieścia pięć dolców.

- No i diabli z nimi - nie poddawał się Witalik. - Za to pięćdziesiąt patyków wygramy!

- Wszystkojedno, Witalik, jestem bardzo zmęczona. I nie chodzi tu tylko o energię.

- To o co, o uczucia, czy co? Od kiedy to lalki mają uczucia? Pierwszy raz słyszę.

- Mają- cicho odpowiedziała Linda. - Obiecałeś, że pozwolisz mi zadzwonić.

- Obiecałem, że pomyślę! - rozzłościł się bezduszny szczeniak. - I postanowiłem, że jutro zadzwonisz. Teraz jest już późno. Nie ma po co człowieka o tej porze z łóżka zrywać.

-Witalik...

- Żadnych Witalików! Jestem twoim Panem! „Bydlę” - pomyślała Linda. Ale nie była w stanie wypowiedzieć na głos tego absolutnie słusznego słowa.

Już od tygodnia Maksim nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie mógł i nie chciał uwierzyć w to, że Lindy nie ma już wśród żywych. Ludzi, którzy pogodzili się ze śmiercią ukochanej osoby, atakuje bowiem duchowy paraliż, a wtedy pokornie

pograżają się w otchłani rozpacz, aż na samo dno, gdzie panuje całkowite ośpienie, picie na umór i smród rozkładającej się nadziei.

Wybrał inną drogę. Niby tybetański fantom-tulpa, wysłany przez mnicha w celu wypełnienia nadludzkiego zadania, mknął nad otchłanią, nie pozostawiając po sobie śladu. Odnaleźć Lindę! Za wszelką cenę odnaleźć! Odnaleźć i uratować! Nic innego na całym świecie dla niego się nie liczyło.

Wynajął najlepszych detektywów, którzy przeczesywali Moskwę w poszukiwaniach programisty i uwiecznionej na zdjęciu kobiety. O ile programistę jeszcze można było odnaleźć, mimo że się wyprowadził z poprzedniego mieszkania w nieznanym kierunku, o tyle z Lindą sprawa wyglądała o wiele trudniej.

Przewidując taki rozwój wydarzeń, podły szczeniak z pewnością zmienił wygląd modelu LKW-21/15. Gdyby więc nawet Maksim spotkał się z nią twarzą w twarz i tak nie poznałby jej, nie mówiąc już o detektywach.

Lecz z Witalikiem również nie wszystko było tak proste, jakby się mogło wydawać. Zmienił nie tylko mieszkanie, ale też komórkę, samochód i providera Internetu. Ostatecznie zerwał kontakt z firmą Cyberstan, gdyż pieniądze, które gwarantowała mu eksploatacja Lindy, mogły mu zapewnić uniknięcie nie tylko wojska, ale i więzienia. Z krewnymi, nawet najbliższymi, nie utrzymywał żadnego kontaktu, gdyż gardził nimi jako tępymi nieudacznikami, którzy nie mając w duszy tego wewnętrznego dh've'a, musieli wegetować w Jelcu, z dala od moskiewskiego main-streamu.

Przyjaciół nie miał. Ogólnie rzecz biorąc - człowiek bez żadnych zobowiązań. Tacy ludzie bez zbytniego wysiłku i przygotowania zdolni są zniknąć z pola widzenia jak najlepsi agenci tajnych służb.

Maksim nieustannie dzwonił do detektywów. Oni jednak oprócz zawodowego optymizmu nie byli w stanie się pochwalić niczym innym. Wciągnął do poszukiwań wszystkich swoich ochroniarzy, choć rozumiał, że pożytku z nich będzie mało.

Nie mogąc usiedzieć na jednym miejscu, Maksim krążył po mieście w swoim bmw. Wchodził do klubów, w których, jak mniemał, ten łajdak mógł się popisywać „przeprogramowaną” na swoją korzyść Lindą. Wypytywał bramkarzy, pokazując im

zdjęcie Witalika. Ci beznamiętnie wzruszali ramionami, choć niektórzy z nich rozpoznawali w nim klienta, który parę dni temu bawił tu przez chwilę z dwoma nieletnimi prostytutkami.

Jeden nawet bardzo dobrze go zapamiętał, gdyż musiał wywlec na zewnątrz tego ponad miarę rozszalałego nuworysza, który odgrażał się, że powróci tu z brygadą ochroniarzy prezydenta i utopi we krwi to „kurewskie gniazdo”.

Niemniej jednak, mimo osobistej niechęci do takiego rodzaju klientów, ochroniarz nie miał prawa łamać zasad etyki służbowej. A mianowicie: pod żadnym pozorem nie mógł o tyrci mówić głośno.

Lecz wbrew tym wszystkim niepowodzeniom, które odbierał jako tymczasowe i przypadkowe, Maksim mknął nad otchłanią, wytěżając wszystkie swoje siły duchowe i fizyczne. Mknął z taką prędkością, że mlaskająca otchłań nie mogła go dosięgnąć, pochwycić i pochłonać. Mknął, ryzykując zerwać, niby przeciągniętą strunę, wszystkie więzadła trzymające duszę w ciele.

Ale siły każdego, nawet najbardziej doskonałego biorobota, mają swój kres.

Linda jednak podprowadziła komórkę w Imperium. Pewnemu miłemu młodzianowi, który nie zauważając nic dookoła, rozwiązywał poważny problem: czy dokupić kartę do szesnastu, czy liczyć na przebitkę u dealera. Ale zadzwonić nie mogła. Kiedy zostawała sama, z całych sił wytěżała swoją wolę, z całych sił próbowała wyskoczyć z programu blokującego, nie mogła jednak jej włączyć, nie mówiąc już o tym, żeby wybrać numer Maksima.

A pozostawała sam na sam ze swoimi ciężkimi myślami dość często. Witalik, wzbogaciwszy się przez cztery noce o trzysta patyków zielonych, niespodziewanie stracił zainteresowanie ruletką. Teraz z jakimś szczeniackim zacięciem zabrał się do przepuszczania swoich łatwo zarobionych pieniędzy.

Gdzie bywał i co robił, tego Linda nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć. A on też nic nie opowiadał, pojawiając się absolutnie niespodziewanie – raz rano, innym razem w nocy, to znów za dnia. I za każdym razem, gdy tak nieoczekiwanie się pojawiał, wyglądał na bardziej zmarnowanego. I pachniał też za każdym razem inaczej: raz alkoholem, kiedy indziej zapierającymi dech w piersi perfumami, to

znów kuchnią kaukaską czy sauną eukaliptusową, drogimi cygarami, końskim potem... A pewnego razu nawet śmierdział mazutem i pierogami z mięsem, które się sprzedaje na każdym rogu, z czego Linda wywnioskowała, że Witalik, niby jakiś prawowity następca tronu, ma ciągotki do wulgarnych rozrywek z prostytutkami spod dworca lub portowymi dziwkami.

Gdzieś to czytała.

Ale by było fajnie, myślała Linda, gdyby pewnego dnia przywlekli go tu, położyli na stole, a on roztaczałby woń formaliny. Choć, oczywiście, nie rozwiązałyby to jej problemów. Nadal by tu była. Tylko wówczas oddawałaby cześć zwłokom tego skurczybyka.

Na rozklejanie i oddawanie się fantazjom nie miała jednak czasu. Żaden człowiek na świecie nie był w stanie zrobić za nią tego, co powinna była zrobić sama. I Linda, leżąc w wannie w lodowato zimnej wodzie, żeby procesor nie uległ przegrzaniu, intensywnie myślała. Szukała wyjścia z wydawałoby się beznadziejnej sytuacji, w której się znalazła za sprawą programistów z Soft Women. Po przeprogramowaniu model LKW-21/15 musiał się znajdować w stanie OFF. A uruchomienie go było możliwe jedynie za pomocą wybrania na autonomicznym panelu sterowania komendy START. Po czym niezbędne było naciśnięcie klawisza ENT. Sama tego zrobić, będąc w stanie nieświadomości, Linda nie mogła.

Oczywiście istniały pewne możliwości włączenia jej bez jej bezpośredniego w tym udziału. Musiała mieć jednak absolutną gwarancję, że wszystko będzie zrobione, jak należy. W przeciwnym bowiem razie ona - taka wytrzymała, taka doskonała, taka długowieczna, taka niezawodna, taka nieśmiertelna! - po prostu nigdy już się nie obudzi po tym „śnie przeprogramowania”. Czyli, wyrażając się językiem biorobotów, po prostu banalnie umrze. Oczywiście pod warunkiem, że z Witalikiem w tym czasie coś się stanie i nie będzie mógł jej uruchomić ponownie. Jeśli jednak wróci, od razu zrozumie o co chodzi, odtworzy swoje blokady i wszystko znów powróci na swoje miejsce.

Tak, istniały inne wyjścia. Można na przykład otworzyć drzwi wejściowe,

zaczekać, aż na klatce pojawi się jakiś sąsiad i zaprosić go w gości. Przy jej warunkach nie byłoby to trudne. A potem, nie wdając się w szczegóły, nic nie tłumacząc, zmyślić jakąś prawdopodobną historyjkę i poprosić o pomoc. Że niby na przykład mam w środku rozrusznik serca i trzeba troszkę skorygować jego pracę, oto są przewody, które dochodzą do potylicy, oto jest komputer - on sam wszystko zrobi. Ale kiedy będę w szoku, niech pan, z łaski swojej, naciśnie te oto klawisze. Dokładnie w kolejności, którą tutaj, proszę bardzo, na karteczce zapisałam...

Ale gdzie gwarancja, że on wszystko zrobi? Zobaczy, że Linda całkowicie się wyłączyła, zbada puls i zrozumie, że umarła. Można, oczywiście, nacisnąć klawisze, jak prosiła. Może nawet zmartwychwstanie. Ale czy warto? W mieszkaniu jest dość dużo wartościowych rzeczy, o które można się pokusić. No proszę, samych komputerów ile.

Z pewnością i pieniądze gdzieś się znajdują. A potem trzeba tylko dokładnie wytrzeć wszystkie przedmioty, których się dotykało, żeby nie było odcisków. Oto i cała historia.

Tak, byłoby to bardzo prawdopodobne. Linda gdzieś czytała, że teraz w Rosji można zostać zabitym nawet za tysiąc rubli. To zaś nawet nie byłoby zabójstwo, lecz nie-udzielenie pomocy. A to już zupełnie inny artykuł. No i też inna rzecz, że przecież nie znajdują. Nawet szukać nie będą, bo to przecież nie żaden deputowany tu mieszka ani magnat naftowy, ani żadna osobistość świata przestępczego.

Oczywiście, gdyby miała pod ręką najzwyklejszy dziewięciowoltowy czasomierz i mały czujniczek, można byłoby się postarać i przylutować ten sprzęt do panelu sterowania, ustawić gwarantowane opóźnienie i w odpowiedniej chwili puścić impuls. Ale niestety, niczego takiego Linda nie miała.

Miała natomiast dysk DVD ze wszystkimi niezbędnymi do przeprogramowania plikami. Przywiozła go ze sobą na wszelki wypadek i schowała do kuchenki gazowej, do piekarnika. Była to najpewniejsza kryjówka, gdyż tam Witalik w żadnym wypadku i w żadnych okolicznościach nie miał prawa zajrzeć.

Prywatnemu detektywowi Pawłowi Czarkowskiemu od samego początku cała ta historia niezbyt się podobała. Zlecenie należało do gatunku - „pójdź gdzieś tam, przynieś coś tam”.

Zleceniodawca, z niezrozumiałych dla Pawła przyczyn, mocno ściemniał. I choć dostarczył zdjęcie damy, którą za przyzwoitą kasę trzeba było „wydostać choćby spod ziemi”, nie na wiele się ono zdało, gdyż dama mogła tak zmienić swój wygląd zewnętrzny, że rozpoznać ją byłoby niemożliwością. „Że niby jak - zapytał Paweł zleceniodawcę - to ona i Murzynkę może udawać?”. „Może” - odpowiedział tamten.

Ta cała dama mogła być zgodnie z jego słowami: a) cała i zdrowa, b) mieć poważne zaburzenia natury psychicznej, c) martwa. „Tak jakby martwa” - podkreślił zleceniodawca. I nawet w tym wypadku trzeba się z nią obchodzić w sposób wyjątkowo delikatny i niezwłocznie dostarczyć zleceniodawcy.

Było też absolutnie niezrozumiałe, co łączy ową damę z programistą. Czy jest jej kochankiem i z nim uciekła? Czy ją porwał i żąda okupu? Czy podstępem zwabił ją do siebie i teraz absolutnie za darmo korzysta z jej wspaniałego ciała? Ale w takim wypadku po co miałyby zmieniać swój wygląd zewnętrzny? Ponadto zleceniodawca plótł jakieś bzdury na temat operacji, której owa dama została poddana. Ale nie chirurgicznej, tylko jakiejś innej, w wyniku której mogły zajść poważne zmiany w jej psychice.

Teraz więc, kiedy Paweł już od czterech godzin siedział na ogonie programiście, żaden plan odnośnie do dalszych działań się nie klarował. Ten cały przewspaniały Witalik kręcił się po Moskwie, w tę i we w tę, jak g... w przeręblu, wzbudzając silne podejrzenia co do swojego zdrowia psychicznego. Wspaniała sprawa - łapać dwóch szaleńców, którzy nie wpisują się w żaden logiczny schemat.

Najpierw Witalik długo krążył od jednego rynku do drugiego. W końcu na Ryżskiej udał się do knajpy U Wachtana, gdzie mlaszcząc, zajadał gorącą potrawkę z nóżek, słuchając zachrypniętego barytonu szansonisty Szury Far-towego. Potem przeniósł się do Lotnika Chińskiego Dżao Da, żeby z rozkoszą pochłaniać deser

owocowy z sokiem pomarańczowym. Kolejnym punktem jego trasy była kwatery główna moskiewskiego regionalnego oddziału partii Honor Ojczyzny. Co tam robił, można było tylko się domyślać. I gdyby Czarkowski się dowiedział, że Witalik, który poczuł smak pieniędzy, teraz zapragnął również władzy, to ostatecznie by się utwierdził w przekonaniu, że ma do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu.

O siódmej wieczór Witalik z Czarkowskim na ogonie był już w Planecie Hollywood, gdzie niby nastolatek z całego serca rechotał, oglądając szachrajskie sprawy chirurga plastycznego i dwóch sióstr z pittsburskiego szpitala świętego Patryka.

Kiedy w końcu ten przygłup pojedzie do domu?! Żeby tam go zgarnąć i dostarczyć zleceniodawcy jego bezcenną damę - niezależnie od tego, w jakim będzie stanie. Na wypadek gdyby jej odchylenia przybrały charakter agresywny, miał ze sobą kilka ampulek z mocnym środkiem uspokajającym.

Gdy pomyślał o tym, że już niedługo otrzyma swoje honorarium, do Czarkowskiego nagle dotarło, że zleceniodawca może trochę ostygnąć co do perspektywy powrotu damy - pojawił się już nawet pewien mały symptom.

Zazwyczaj klient dzwonił i interesował się tokiem śledztwa co dwie godziny.

Przy czym nawet w nocy nękał go telefonami, gad jeden. A teraz telefon milczał jak zaklęty już pół dnia.

Wyszedłszy więc do holu, detektyw wybrał numer zleceniodawcy. Żeby dać nadzieję, częściowo pocieszyć, a przy okazji się upewnić, że ten nadal tak samo mocno pragnie spotkania z damą a w związku z tym z łatwością rozstanie się z obiecany honorarium.

- Maksimie Siergiejewiczu, Czarkowski przy telefonie -powiedział Paweł nad wyraz rześko. I nie czekając na niecierpliwie pytania typu: „Co?“, „Jak?“, „Czy znalazł pan?“, zaczął rzeczowo referować sprawę. - Pojawiły się pewne okoliczności dające nadzieję. W tej chwili znajduje się...

- Przepraszam, kto? - przerwał zleceniodawca. Takiego obrotu sprawy

Czarkowski się nie spodziewał

w żadnym wypadku. Słyszalność była doskonała, a z tego wynikało, że klient zrozumiał, z kim rozmawia, i celowo nie dał mu skończyć, by przerwać rozmowę

i nie pozwolić komuś zorientować się w sprawie i dowiedzieć się, gdzie się znajduje detektyw.

Tak, należało się tego spodziewać. W tej sprawie od samego początku było tyle niedomówień i jawnych kłamstw, że prawie pewne było istnienie trzeciej siły, która jest zainteresowana odnalezieniem tej całej damy i tego diabelnego programisty. A co to była za siła, można było się tylko domyślać.

„Co za bagno” - pomyślał Czarkowski, gorączkowo dopasowując odpowiedni styl zachowania do danej sytuacji. Nie miał prawa do błędu, gdyż w przeciwnym razie mógł pożegnać się nie tylko z honorarium, ale i z życiem. A przy tym trzeba się też postarać, żeby nie wystawić zleceniodawcy. Należy przecież w miarę możliwości działać zgodnie z etyką zawodową.

- Jestem Czarkowski, agent nieruchomości. Przypomina pan sobie, Maksimie Siergiejewiczu? Dzwonię w sprawie dwupokojowego, w rejonie Kutzowskiego, którego pan szuka.

- Ach tak, oczywiście, Iwanie Filipowiczu, oczywiście, że poznałem. Znalazł pan coś odpowiedniego?

- Pojawił się pewien wariant. Moim zdaniem dobry. To jest prawie to, czego pan szuka.

- No cóż, bardzo się cieszę. A mieścimy się w kwocie?

- Tak, wszystko się mieści w omówionych przez nas granicach. Myślę, że za parę dni będziemy mogli obejrzyć mieszkanie. Zadzwoń do pana.

- Dziękuję, Iwanie Filipowiczu.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Czarkowski trochę się uspokoił. Zleceniodawca nie rezygnuje ze swojej damy. W przeciwnym wypadku powiedziałby, że się rozmyślił i że mieszkanie nie jest mu potrzebne. Trzeba więc kuć żelazo, póki gorące. Ale teraz należy pracować ostrożniej. To zaś, ma się rozumieć, będzie dodatkowo kosztowało. A w razie czego, to i szantaż można zastosować. Oczywiście było to trochę sprzeczne z kodeksem zawodowym, ale Czarkowski żył w takim kraju, gdzie o swoje własne

pieniądze nieraz trzeba było zawzięcie walczyć.

* * *

Wszystko było gotowe. Linda skopiowała do pamięci dysk wyciągnięty z piekarnika. Dokładnie sprawdziła, a potem jeszcze raz przestudiowała przygotowane do wprowadzenia fragmenty korygujące. Na automatyczne wprowadzenie-patchy się nie zdecydowała, gdyż miała co do nich pewne wątpliwości, wynikające oczywiście z jej subiektywizmu ontologicznego. Któż inny jak nie ona najlepiej zna, a wręcz fizycznie odczuwa prawo nieokreśloności, któremu są podporządkowane nieobliczalne elektrony w chipach komputerowych, zachowujące się raz jak cząstki, innym razem jak fale.

Tak samo ludzie, jej antypody, często liczą na automatykę, uważając maszynowe sposoby rozwiązywania swoich problemów za najpewniejsze. Ale to też ma swoje uzasadnienie, bo któż inny jak nie ludzie najlepiej wiedzą o niedoskonałości ludzkiej psychiki.

Linda otworzyła gniazdo technologiczne i połączyła się kablem z komputerowym COM-portalem. Zaczęła z najwyższą dokładnością wprowadzać dane:

29 44, gniazdo 26 04 19 49 AF 84 02 5E

6B 3E, gniazdo 89 F3 D8 79 41 06 17 DE

83 CO, gniazdo E2 64 94 56 56 56 A3 7F

5F D9, gniazdo 10 39 E4 98 59 9B 62 FF...

Cicho brzęczały niezmordowane wentylatory sześciu bloków procesorów.

Niepostrzeżenie płynął czas, który jedni mierzą zegarami atomowymi, a drudzy - pozycją słońca na nieboskłonie. Linda siedziała na krześle przed monitorem i, poruszając ustami, cicho wymawiała litery i cyfry, które trzeba było bezbłędnie wprowadzić i wysłać w głąb siebie, w ogromny i tajemniczy kosmos swojej świadomości.

W końcu wprowadziła ostatni wers: 4F 88, gniazdo OD 34 72 06 DD 19 A0 03. Po raz ostatni nacisnęła ENTER.

Była gotowa do przeprogramowania.

Jeszcze raz powtórzyła w głowie cały przebieg operacji. Nie stwierdziła w nim

najmniejszego nawet błędu i wybrała na swoim panelu sterowania komendę START. Położyła panel na biurku. Dokładnie na narysowanym prostokącie. Po czym, nie odłączając kabla, który niby pępowina łączył ją z komputerem, otworzyła drzwiczki zamrażarki, uprzednio przysuniętej do biurka. Wyciągnęła trzy kostki lodu, przeznaczone do uruchomienia skomplikowanego mechanizmu, który skonstruowała z podręcznych materiałów. Przytrzymując ramię wyciętej z blachy aluminiowej wagi, położyła kawałki lodu na prawą szalkę, w której niby w sicie nawiercone były otwory. Na lewą szalkę, wstrzymując oddech, położyła małą metalową kulkę, którą wytopiła z kawałka miedzianego drutu.

Głęboko westchnęła i wybrała na klawiaturze komendę przeinstalowania programu. Ociągała się, rozumiejąc, że teraz rozpocznie się proces od niej niezależny, w który nie będzie mogła już ingerować, wstrzymała więc oddech na chwilę - i uderzyła wskazującym palcem prawej ręki w klawisz z napisem ENT. W tej samej chwili jej świadomość się wyłączyła. I tylko autonomiczny chip orientacji grawitacyjnej utrzymywał bezwładne ciało Lindy na krześle.

Siedziała z otwartymi oczami, które niczego nie widziały i na nic nie reagowały. Mięśnie twarzy rozluźniły się pod skórą i wyglądały teraz jak podtopiony wosk. Na programy, całe mnóstwo, które nadal w niej tkwiły, „z góry” zaczęły się nakładać nowe, a wszystkie one straciły ze sobą łączność. I było to podobne do nierealnego snu, który mógł się przyśnić, tylko istocie pozaziemskiej, gdzie nie działa ani jedno ziemskie prawo, gdzie przyczyny wynikają ze skutków, a czas płynie w dwunastu przeciwnych kierunkach.

Kostki lodu z wolna topiły się, a odmierzany przez nie czas kropla po kropli wyciekał na stół przez wywiercone w szalce wagi otwory. Draga szalka z miedzianą kulką powoli, niezauważalnie dla oka, obniżała się.

Wewnątrz Lindy buszowały i zderzały się, obracając w pył siebie nawzajem, huragany zmysłów. Rozproszone obrazy przepływały jedne w drugie, jakby zdawały się krzyczeć, że wszechświat jest rozwiniętą metaforą, która nieustannie się rodzi od współdziałania yin i yang, splecionych w nierozzerwalnym, kurczowym uścisku, w nieskończonej miłości i nienawiści.

Przeinstalowanie się zakończyło.

Sen zatrzymał się na dwudziestej piątej klatce, która była bladą plamą rzucającą koszmar niebytu na wszystko, co żyje.

W pokoju nic się nie działo.

Tylko zamrożony czas powoli się topił, niepostrzeżenie opróżniając czarę śmierci i napełniając czarę życia i nadziei, skupionych w małej metalowej kulce.

Jedna z kropli była ostatnią w tej niewidocznej walce życia ze śmiercią nadziei i szarej beznadziejnej wieczności. Miedziana kulka ześliznęła się ze swojej szalki i potoczyła się po rynience, w kierunku Miedzianej chrzcielnicy Hirama, wielkiego przodka ducha Ognia Samaela. Potem wpadła do lejka i w jego metalowej rurce pędziła coraz bardziej. Gdzieś z góry rozbrzmiały słowa:

„Jesteś niezniszczalny! Odlej siebie w płomieniach!”.

Kulka spadła na litery E, N i T.

Od uderzenia litery te transformowały się w ustalone przez Christiana Rosenkreutzera, Rycerza Złotego Kamienia, ich odpowiedniki - litery Hej, Nun i Taw.

A litery te oznaczały: Oddech, Płód i Pierś. Wypadły trzy karty Tarota: Mag, Ogień Niebieski i Wszechświat.

Litera Hej miała liczbę 5. Litera Nun miała liczbę 50. Litera Taw miała liczbę 400. Liczbą tajnego imienia było 455. . Rozstrzelony w dwunastu różnych kierunkach, niby od wybuchu, czas znów powrócił w swoje koryto i znów popłynął od lewej do prawej.

Na zegarze była 4.55 PM.

Linda znów była.

Ale inna Linda - Linda, która odlała siebie w płomieniach.

Odłączyła się od komputera i zaczęła badać swoje odczucia. Wyglądało na to, że blokady zniknęły. Podeszła do drzwi wejściowych i wyważyła je barkiem.

Przestąpiła próg. Nie odczuła żadnego przerażenia.

Powróciła do pokoju, wzięła do ręki komórkę i zaczęła wybierać numer Maksima.

Robiła to, nie odczuwając żadnego sprzeciwu swojej psychiki. Świadomie się

jednak powstrzymała: niech to będzie dla niego niespodzianka. Prezent na Boże Narodzenie. Gdzieś czytała, że prawosławni obchodzą Boże Narodzenie siódmego stycznia. A to był właśnie siódmy stycznia. Godzina czwarta pięćdziesiąt pięć po południu. Czas narodzenia, jej narodzenia. A dokładniej - odrodzenia.

Linda skasowała w komputerze wszystkie swoje pliki, żeby znieawidzonemu szczeniakowi bez wstydu i sumienia nie przyszło do głowy znów podporządkować jej sobie. Potem postanowiła poczekać na gada i zabić go. Natychmiast się jednak rozmyśliła - wystarczy porządnie przetrzepać mu tyłek. Nie wyrządzając żadnego poważnego uszczerbku na zdrowiu, żeby nie trafił do szpitala.

I ten wariant jednak po chwili odrzuciła. Zrobiło jej się żal Witalika. Z takim charakterkiem i z takimi ambicjami - mimo że wypływającymi z genialnego umysłu - życie mu jeszcze da nauczkę. Dostanie, na co zasłużył, i bez jej pomocy.

Czas było jechać. Linda zebrała swój skromny dobytek. Komórkę, którą doprowadziła w kasynie. Dysk z programami. Kluczyki od samochodu na szczęście leżały w kurtce - Witalikowi nawet do głowy nie przyszło, że mogłaby ich użyć.

Rzuciła po raz ostatni spojrzenie na miejsce swojej niewoli i zdecydowanie przestąpiła próg.

Była wolna.

Absolutnie wolna.

Linda zatrąbiła i ochroniarz Sasza otworzył bramę.

- Cześć! - krzyknęła do niego, opuszczając boczną szybę.

- Cześć, szefowo - odpowiedział jak zwykle Sasza.

- Mamy gości? - zapytała, widząc obcego dżipa.

- A, jacyś tam do szefa przyjechali. Czy to w jakichś interesach, a może impreza się szykuje. W końcu Boże Narodzenie, naród chce się zabawić. Wręcz pragnie zabawy.

„Impreza” była to raczej wątpliwa. Linda wierzyła głęboko, że teraz, kiedy uchodziła za „zaginioną bez wieści”, Maksim raczej nie jest nastawiony zabawowe. A tak ogólnie, to coś w tej całej sytuacji było podejrzane. I Sasza też był jakiś dziwny. Nie zapytał, gdzie była i w oczy nie patrzył, kiedy z nią rozmawiał. Choć oczywiście

jego stanowisko nie pozwala na zadawanie pytań.

„A może rzeczywiście mój ukochany Maksim postanowił się rozerwać, zabawić się z przyjaciółmi, a może nawet z wesołymi przyjaciółkami?! - myślała Linda, wysiadając z samochodu. - Jak to się mówi: co z oczu, to i z serca!"

Przeskakując po dwa stopnie, Linda wbiegła na drugie piętro i weszła do gabinetu. Maksim nie był sam. Na kanapie siedzieli dwaj mężczyźni w średnim wieku, o nieokreślonej powierzchowności. Jeden z nich coś pisał, położywszy teczkę na kolanach. Drugi trzymał w ręku filiżankę. Był też jeszcze jeden - mężczyzna o mocnej budowie z trzydniowym siwym zarostem. Z wyrazu ich twarzy i postaw wynikało, że rozmowa nie należy do przyjemnych.

Gdy zobaczyli Lindę, która niespodziewanie weszła, w ogóle znieruchomieli - zastygli i wbili w nią wzrok.

- To ona? - cicho zapytał nieogolony.

Maksim milczał. To było równoznaczne z pocałunkiem Judasza (gdzieś to czytała).

Starszy próbował wyciągnąć pistolet - ale guzik od marynarki jakoś nie chciał się poddać; targał go, ciągnął - i w żaden sposób nie mógł odpiąć. Jeden z siedzących na kanapie sięgnął po kajdanki. Drugi, nie odrywając wzroku od Lindy, spróbował odstawić gdzieś filiżankę, a w końcu po prostu upuścił ją na podłogę.

Sytuacja była klarowna jak dwa razy dwa. Śledczy, którzy prowadzili sprawę serii zabójstw, w końcu ją odnaleźli. Bez wątplenia Maksim był z nimi szczery. Z pewnością więc wiedzieli, z kim mają do czynienia. Jeszcze kilka sekund i, niczego nie tłumacząc, nie każąc położyć się na podłodze twarzą w dół z rękoma na karku, nie odczytując jej praw, zaczęli strzelać z trzech luf naraz. A trzy lufy - to dużo, zbyt dużo nawet dla niej, zdolnej wyprzedzać strzały i omijać kule. I zbyt dużo dla jej ciała, które ma ograniczone możliwości regeneracji. I dla jej elektroniki, którą można doszczętnie zniszczyć dwoma dziesiątkami pocisków.

W związku z tym Linda, nie czekając na fatalny obrót sprawy, unieszkodliwiła wszystkich trzech. Według jej obliczeń powinni „odpoczywać” przez trzy, cztery

minuty.

- Jak mogłaś? - zapytał Maksim blady jak ściana.

- O co ci chodzi? - nie rozumiała Linda. - Nic im nie jest. Za parę minut się pozbierają.

- Jak mogłaś tamtych wszystkich?! Ilu ich zabiłaś? Jesteś zbrodniarką...

Potworem!

- Maksim, mamy mało czasu. Wszystko ci wyjaśnię później. Teraz jestem zupełnie inna. Jestem wolna od wszystkich swoich fobii. To nie byłam ja, kiedy to czyniłam - głos Lindy zadrżał. Rozumiała, że na zawsze może stracić ukochaną osobę. - Uwierz mi, szczerze żałuję... Ale jestem niewinna. Teraz wszystko jest inaczej. Jestem inną osobą. Czystą! I nadal cię kocham.

Jeden ze śledczych się poruszył, więc Linda zafundowała całej trójce jeszcze po cztery minuty zapomnienia.

- Nigdy tego nie zapomnę. Zawsze będę o tym pamiętał. Nie mogę żyć z takim potworem... Brzydzę się tobą!

- Maksim! To wszystko minie, uwierz mi. Proszę cię, zastanów się. Mamy mało czasu, jedźmy. Jedźmy zaraz! Czas na nas, Maksim!

- Dokąd?

- Jaka różnica?! Wszystko zaczniemy od początku!

- W moim wieku wszystkiego od początku się nie zaczyna - powiedział niespodziewanie spokojnie, a nawet chłodno. - Odejdź.

To był wyrok ostateczny. Linda zrozumiała, że straciła go na zawsze. Że jest już dla niej obcy.

Pierwsza miłość nie może trwać wiecznie. Zawsze kiedyś mija. A jej przeminięcie jest tragedią, obracającą w ruinę cały świat. Gdzieś to czytała.

Ale nie było jej przez to lżej.

- Żegnaj - powiedziała cicho. I wydało się jej, że po jej policzkach popłynęły łzy, prawdziwe, łaskoczące, słone.

Program samozachowawczy nie zaczął jednak przez to szwankować. Linda dołożyła śledczym jeszcze po cztery minuty, żeby zagwarantować sobie czas niezbędny do

ucieczki. I wyszła w milczeniu.

Mknęła szosą dmitrowską, sama nie wiedząc dokąd. Była wolna, całkowicie wolna. W kieszeni miała czarny pistolet, który zabrała śledczemu, a w nim osiem złotych naboí. W baku było siedem litrów żółtawej benzyny. Na karcie do srebrzystej komórki trochę ponad dwanaście dolarów. W portfelu - półtora tysiąca czerwonych, niebieskich, zielonych i fioletowych rubli.

Więcej nic nie miała. Cała reszta, w tym miłość, była ceną, którą musiała zapłacić za swoją wolność.

Mknęła szosą dmitrowską, która była prawie pusta z powodu prawosławnego Bożego Narodzenia. Stare święta rewolucyjne odeszły wraz z dawnym życiem, lecz nawyk świętowania i rozmach pozostały te same, Narodzenie Pańskie świętowano więc wszędzie - w cerkwiach i nocnych klubach, przy rodzinnym stole i w pociągach dalekobieżnych, na porodówkach i w kostnicach, w pałacach kultury i na halach przy taśmach produkcyjnych, pracujących dzień i noc, na placach i w przejściach podziemnych. Świętowano w wielkiej głośnej kompanii i w kręgu najbliższej rodziny.

I tylko Linda była sama na całym świecie.

„Ach, gdybym tylko mogła urodzić - myślała - żebym nie była taka samotna. Jak ta kobieta, gdzieś, o niej czytałam, która urodziła chłopczyka, a on później został Zbawicielem. Kobieta ta miała na imię Maria, urodziła go w cudowny sposób przez niepokalane poczęcie. Dlaczegoż i ja bym nie mogła?! Przecież musi być jakiś cud! Bez cudu świat przestanie mieć jakikolwiek sens...”

Nagle zadzwonił telefon.

- Słucham - powiedziała Linda.

- Cześć, Linda! - rześko odezwał się w słuchawce nieznajomy męski głos.

- Kto mówi?

- To mnie podprowadziłaś komórkę, którą teraz przyciskasz do ucha. Tam, w kasynie, pamiętasz?

-A co, nie masz innej? - z irytacją odpowiedziała Linda, przypominając sobie chłopaka, który bez opamiętania rznął w Black Jacka w Imperium.

- Nie, mam dragi - roześmiał się gracz. - Właściwie ja sam ci go podsunąłem.

A ty go wzięłaś. Więc jest twój.

- Po co? - zaniepokoiła się Linda.

- Musimy o czymś porozmawiać, siostrzyczko. Przecież jesteśmy jednej krwi.

- Nie rozumiem.

- Wszystko zrozumiesz, gdy się spotkamy. Ale na razie daj sobie spokój. Sam cię znajdę. I jest to niezbędne przede wszystkim dla ciebie, Linda... I

jeszcze jedno. Będę nazywać cię Marią, Maszeńką. Nie masz nic przeciwko?

W słuchawce zaczął pulsować przerywany sygnał. Niby nowe serce w łonie matki, które poczuło rychłą wolność.

KONIEC